



# ELIZABETH STROUT

AUTORKA „OLIVE KITTERIDGE” WRACA DO BOHATERÓW  
POWIEŚCI „MAM NA IMIĘ LUCY”

## TO, CO MOŻLIWE



*Dla mojego brata, Jona Strouta*

# ZNAK

Tommy Guptill miał kiedyś odziedziczoną po ojcu farmę mleczną, leżącą w odległości około trzech kilometrów od Amgash w stanie Illinois. To było wiele lat temu, ale do dziś Tommy budził się czasem w nocy, czując ten sam silny lęk, jaki ogarnął go tamtej nocy, kiedy farma doszczętnie spłonęła. Wiatr rzucił iskry na stojący nieopodal obór dom, który również spalił się do cna. Winę za pożar ponosił Tommy – przynajmniej zawsze tak uważał – ponieważ wieczorem nie sprawdził, czy dojarki zostały właściwie wyłączone, a właśnie tam zaczął się pożar. Stracili wszystko oprócz mosiężnej ramy lustra z salonu, którą Tommy nazajutrz znalazł w zgliszcach i tam też zostawił. Sąsiedzi zorganizowali zbiórkę. Przez kilka tygodni dzieci chodziły do szkoły w ubraniach kolegów. W końcu Tommy wziął się w garść, podsumował oszczędności, sprzedał ziemię sąsiadowi, ale nie dostał za nią wiele. Potem on i jego żona, drobna, ładna kobieta imieniem Shirley, kupili nowe ubrania, a także nowy dom. Przez cały ten czas Shirley zachowywała podziwu godną pogodę ducha. Nawet wtedy, gdy musieli kupić dom w podupadającym Amgash, gdzie dzieci poszły do szkoły, chociaż wcześniej mogły chodzić w Carlisle, bo farma leżała na linii łączącej oba miasteczka. Tommy zatrudnił się jako woźny szkolny w Amgash. Na szczęście regularność nowego zajęcia przypadła mu do gustu, bo nigdy nie zdobyłby się na pracę w czyimś gospodarstwie. Miał wtedy trzydzieści pięć lat.

Dzisiaj dzieci były już dorosłe, miały własne dzieci, też już duże, a Tommy i Shirley nadal mieszkali w domu, wokół którego ona sadziła kwiaty, niezwykle obyczaj w tej miejscinie. Pożar spowodował, że Tommy zaczął martwić się o dzieci. Wcześniej miały dom będący celem wycieczek szkolnych – każdego roku na wiosnę uczniowie piątej klasy z Carlisle przychodzili tu na cały dzień, jedli lunch przy drewnianych stołach obok obór, potem snuli się po oborach, przyglądali się dojeniu krów, patrzyli, jak biały, pienisty płyn wędruje w przezroczystych plastikowych rurkach. Po pożarze dzieci musiały oglądać ojca zamiatającego „magiczny pył” sypany na wymiociny jakiegoś dzieciaka na korytarzu; ojca w szarych spodniach i białej koszuli z naszytym czerwonym napisem TOMMY.

Cóż. Wszyscy jakoś to przeżyli.

\*

W słoneczny majowy sobotni ranek Tommy jechał powoli do Carlisle załatwić sprawunki. Do osiemdziesiątych drugich urodzin jego żony pozostało zaledwie kilka dni. Wszędzie wokół rozciągały się pola ze świeżo posianą kukurydzą i soją. Część pól wciąż była brązowa po orce, ale przede wszystkim błękitniało wysokie niebo z białymi obłokami na horyzoncie. Tommy minął drogowskaz prowadzący do domu Bartonów. Wciąż widniał na nim napis SZYCIE I PRZERÓBKIE KRAWIECKIE, chociaż Lydia Barton, która zajmowała się szyciem i poprawkami, nie żyła od wielu lat. Z racji skrajnej nędzy i dziwactwa Bartonowie byli wyrzutkami nawet w miasteczku takim jak Amgash. Najstarszy syn imieniem Pete mieszkał tam teraz samotnie, środkowe dziecko wyłudowało dwa miasteczka dalej, podczas gdy najmłodsza córka, Lucy Barton, uciekła dawno temu i w końcu zamieszkała w Nowym Jorku. Dawniej Tommy sporo myślał o Lucy. Od czwartej klasy do ostatniej licealnej zostawała sama w szkole po lekcjach, ale dopiero po kilku latach odważyła się spojrzeć mu w oczy.

Teraz jednak Tommy jechał przez okolicę, gdzie kiedyś znajdowała się jego farma – nie został po niej nawet ślad, wszędzie pola po horyzont – i myślał, jak często mu się to zdarzało, o dawnym życiu. To były dobre czasy, ale nie żałował tego, co się stało. Żal nie leżał w naturze Tommy'ego, a w noc pożaru – czując narastający lęk – pojął, że na tym świecie liczą się tylko żona i dzieci; pomyślał też, że ludzie przeżywają całe życie, nie rozumiejąc tego tak wyraźnie i trwale jak on. Skrycie wierzył, że pożar był znakiem danym przez Boga po to, by Tommy mocno chronił swój dar. Skrycie dlatego, że nie chciał uchodzić za człowieka szukającego usprawiedliwień dla tragedii; nie chciał, by ktokolwiek – nawet droga, ukochana żona – myślał, że mógłby to robić. Ale tamtej nocy, kiedy żona pilnowała dzieci przy drodze – wygonił ich z domu, gdy ujrzał, że obora płonie – patrzył na potężne płomienie buchające w nocne niebo, potem usłyszał straszne ryki ginących krów, czuł wtedy wiele rzeczy, ale w chwili, gdy dach runął prosto na sypialnię i salon ze zdjęciami dzieci i rodziców, kiedy widział to wszystko, poczuł niezbitcie coś, co mógł nazwać jedynie obecnością Boga, i zrozumiał, dlaczego anioły zawsze przedstawiano jako istoty skrzydlate, czuło się bowiem poszum, nawet nie odgłos, i było tak jakby Bóg, który nie miał twarzy, niemniej był Bogiem, przywarł do niego i przekazał bez słów – ulotnie, pospiesznie – wiadomość, którą Tommy zrozumiał jako: „Wszystko

będzie dobrze, Tommy”. I Tommy pojął, że naprawdę jest dobrze. Choć przetracało to jego zdolność rozumienia, było w porządku. Często myślał, że jego dzieci stały się bardziej wyrozumiałe dzięki temu, że musiały pójść do szkoły z biednymi dziećmi, a nie pochodzącymi z domów, jakie znały wcześniej. Od tamtej pory kilkakrotnie czuł obecność Boga, jakby bliskość złotego koloru, ale Bóg już nigdy nie nawiedził go tak namacalnie, jak tamtej nocy. Tommy doskonale wiedział, co powiedzieliby ludzie, dlatego do końca życia postanowił zachować znak od Boga dla siebie.

Mimo to w taki wiosenny ranek woń ziemi przypominała mu zapachy krów, wilgoć ich chrap, ciepło brzuchów, widok obór – miał dwie obory – i Tommy pozwalał myślom błądzić po fragmentach napływających obrazów. Może dlatego, że właśnie minął farmę Bartonów, pomyślał o Kenie Bartonie, ojcu tych biednych, smutnych dzieci, który sporadycznie pracował dla Tommy’ego, wspominał też – co często mu się zdarzało – Lucy, która wyjechała na studia i wyładowała w Nowym Jorku. Została pisarką.

Lucy Barton.

Prowadząc, Tommy nieznacznie potrząsnął głową. W ciągu ponadtrzydziestoletniej pracy woźnego dowiedział się o wielu sprawach. Słyszał o ciężkich dziewczętach, pijanych matkach, niewiernych współmałżonkach, ponieważ uczniowie rozmawiali o tym w małych grupkach przy toaletach albo koło stołówki. Tommy rozumiał, że pod wieloma względami jest niewidzialny. Najbardziej jednak niepokoił się o Lucy Barton. Inni uczniowie, a także niektórzy nauczyciele okropnie pogardzali właśnie nią, jej siostrą Vicky i bratem Pete’em. Ponieważ Lucy całymi latami często zostawała w szkole po lekcjach – choć rzadko się odzywała – znał ją najlepiej. Pewnego razu, gdy chodziła do czwartej klasy, a dla Tommy’ego był to pierwszy rok pracy, otworzył drzwi i znalazł Lucy śpiącą na trzech zestawionych krzesłach przy kaloryferach, przykrytą płaszczem. Patrzył na unoszącą się i opadającą pierś dziewczyny, na ciemne kręgi pod oczami, rzęsy rozłożone jak maleńkie połyskujące gwiazdki, ponieważ na powiekach lśniła wilgoć, jakby płakała przed zaśnięciem. Tommy wycofał się powoli, najciszej, jak potrafił, bo takie podglądanie wydało się mu prawie nieprzyzwoite.

Pewnego razu – teraz sobie przypominał, musiała wtedy chodzić już do gimnazjum – gdy wszedł do klasy, zastał Lucy na rysowaniu kredą po

tablicy. Kiedy tylko się pojawił, dziewczyna znieruchomiła.

– Rysuj dalej – powiedział.

Na tablicy widniało pnącze z wieloma drobnymi listkami. Lucy odsunęła się od tablicy i nieoczekiwanie się odezwała.

– Złamałam krede. – Tommy zapewnił ją, że nic się nie stało. – Zrobiłam to specjalnie – dodała z przelotnym uśmiechem i odwróciła wzrok.

– Specjalnie? – spytał, a ona przytaknęła, znów nieznacznie się uśmiechając. Tommy podszedł, wziął całą kredę, złamał na pół i mrugnął do Lucy. W jego wspomnieniu dziewczyna niemal zachichotała. – Ty to narysowałaś? – spytał, pokazując pnącze z drobnymi listkami. Lucy wzruszyła ramionami i odwróciła się.

Najczęściej jednak widywał ją, jak siedziała w ławce, czytała lub odrabiała lekcje.

Teraz zatrzymał się przed znakiem stopu i cicho powiedział do siebie:

– Lucy, Lucy, Lucy B. Dokąd i jak powiało cię?

Tommy wiedział dokąd. Na wiosnę, w ostatniej klasie liceum, spotkał ją po lekcjach na korytarzu. Z nagłą śmiałością, szeroko otwierając oczy, oznajmiła:

– Panie Guptill, jadę na studia!

– Och, Lucy, to cudownie – odparł.

Lucy objęła go i nie chciała puścić, więc Tommy też ją objął. Na zawsze zapamiętał ten uścisk, bo Lucy była taka szczupła; czuł jej kości i drobne piersi, a później zastanawiał się, jak często – lub raczej, jak rzadko – tę dziewczynę obejmowano.

Tommy minął znak stopu, wjechał do miasteczka i zaraz znalazł wolne miejsce. Zaparkował, wysiadł z samochodu i zmrużył oczy w słońcu.

– Tommy Guptill – zawołał ktoś. Odwróciwszy się, Tommy ujrzał Griffa Johnsona zbliżającego się swoim charakterystycznym krokiem, bo miał jedną nogę krótszą i nawet but ortopedyczny nie niwelował utykania.

Griff wyciągnął rękę na powitanie.

– Griffith – powiedział Tommy.

Długo ściskali sobie dłonie, a samochody sunęły wolno ulicą Main. Griff zajmował się w miasteczku ubezpieczeniami i w przeszłości był bardzo dobry dla Tommy'ego. Kiedy dowiedział się, że Tommy nie ubezpieczył należycie farmy, powiedział:

– Za późno cię poznałem. – Co było prawdą. Jednak Griff, ze swoją serdeczną twarzą i okazałym brzuchem, nadal był dobry dla Tommy'ego. W zasadzie Tommy nie znał nikogo, kto nie okazywał mu dobroci. Omiatani lekkim wiatrem, rozmawiali o dzieciach i wnukach. Wnuk Griffa brał narkotyki, co, zdaniem Tommy'ego, było bardzo smutne. Słuchał, potakiwał, zerkał na drzewa przy Main pokryte świeżą zielenią; w końcu usłyszał o drugim wnuku, który studiował medycynę.

– Hej, to świetnie.

Potem uścisnęli sobie ręce i każdy ruszył w swoją stronę.

W sklepie odzieżowym, gdzie dzwonek oznajmił jego wejście, Marilyn Macauley przymierzała beżową sukienkę w czerwone róże.

– Co cię tu sprowadza, Tommy?

Marilyn nosiła się z myślą o jej kupnie na chrzciny wnuczki, mające się odbyć w niedzielę za kilka tygodni, wyjaśniła Tommy'emu, wyglądając sukienkę. Zdjęła buty i stała w samych pończochach. Zdaniem Marilyn kupowanie nowej sukienki na taką okazję to ekstrawagancja, ale miała taką ogromną ochotę. Tommy, który znał Marilyn od lat – jeszcze z liceum w Amgash – dostrzegł jej zakłopotanie i zapewnił, że to wcale nie jest ekstrawagancja. Potem powiedział:

– Marilyn, czy przy okazji pomogłabyś mi znaleźć coś dla żony?

Natychmiast się zakrzętnęła, zapewniając, że oczywiście pomoże. Zniknęła w przebieralni, skąd wyszła w normalnym stroju, czyli w czarnej spódnicy i niebieskim swetrze, w czarnych butach na płaskiej podeszwie, po czym zaprowadziła Tommy'ego do działu z szalami.

– Proszę – powiedziała, wyciągając czerwony szal ze złotym wzorem. Tommy wziął go, ale drugą dłonią sięgnął po szal w kwiaty.

– Może ten? – spytał.

– Tak, to pasuje do Shirley – odparła Marilyn, a Tommy zrozumiał, że



czerwony szal podobał się samej Marilyn, ale nigdy by sobie na niego nie pozwoliła. Pamiętał, kiedy zaczął pracę na posadzie woźnego, Marilyn była uroczą dziewczyną; ilekroć go widziała, wołała: „Dzień dobry, panie Guptill!”, teraz jednak postarzała się, była nerwowa, chuda, ze ściągniętą twarzą. Tommy, podobnie jak inni, uważał, że to dlatego, że jej mąż wrócił z Wietnamu odmieniony. Gdy Tommy widywał w miasteczku Charliego Macauleya, biedak zawsze sprawiał wrażenie nieobecnego, Marilyn podobnie. Tommy przez chwilę trzymał czerwony szal ze złotym wzorem, jakby się zastanawiał, wreszcie rzekł:

– Chyba masz rację, ten jest bardziej w typie Shirley. – Potem poszedł do kasy z szalem w kwiaty i podziękował Marilyn za pomoc.

– Myślę, że ona się w nim zakocha – powiedziała Marilyn, a Tommy zapewnił, że tak się stanie.

Po wyjściu ze sklepu ruszył do księgarni, gdzie chciał poszukać książki o ogrodnictwie, która mogłaby się spodobać jego żonie. Kiedy wszedł, na samym środku księgarni zobaczył wystawioną nową książkę Lucy Barton. Sięgnął po nią – na okładce widniał miejski budynek – i spojrzał na tylne skrzydełko z jej zdjęciem. Pomyślał, że gdyby ją dziś spotkał, pewnie by jej nie poznał. Tylko dlatego że kiedyś ją znał, dostrzegał dawne podobieństwo w tym samym nieśmiałym uśmiechu. Ponownie przypomniało mu się tamto popołudnie, kiedy celowo złamała kredę, ta jej zabawna mina. Teraz była starszą kobietą; na zdjęciu miała włosy ściągnięte do tyłu, a im dłużej się jej przyglądał, tym wyraźniej dostrzegał dawną dziewczynę. Tommy ustąpił z drogi matce z dwójką małych dzieci, mówiąc:

– Przepraszam bardzo.

– Ależ nic nie szkodzi – odparła kobieta, a on zaczął się zastanawiać, co czasem mu się zdarzało, jak też żyło się Lucy w odległym Nowym Jorku.

Odłożył książkę, odszukał sprzedawczynię i zapytał o książkę o ogrodnictwie.

– Chyba mamy dokładnie to, czego pan szuka. – Po tych słowach dziewczyna, która właściwie nie była dziewczyną, ale ostatnio Tommy tak właśnie postrzegał wszystkie kobiety, przyniosła książkę z hiacyntami na okładce.

– Och, doskonale – ucieszył się.



Dziewczyna spytała, czy życzy sobie, by zapakować książkę, na co odparł, że bardzo chętnie, i patrzył, jak owija ją w srebrzysty papier. Sprzedawczyni miała paznokcie pomalowane na niebiesko, koniuszek języka wysuwała nieznacznie, kiedy się koncentrowała. Przykleiła kawałek taśmy, posłała mu szeroki uśmiech i gotowe.

– Doskonale – powtórzył.

– Życzę miłego dnia – powiedziała dziewczyna, a Tommy odpowiedział tym samym. Wyszedł z księgarni na zalaną słońcem ulicę i postanowił, że opowie Shirley o książce Lucy. Shirley kochała Lucy, ponieważ on ją kochał. Włączył silnik, wyjechał z miejsca parkingowego i ruszył w drogę powrotną do domu.

Tommy'emu przyszedł na myśl wnuk Johnsona, który nie mógł zerwać z nałogiem, potem pomyślał o Marilyn Macauley i jej mężu Charliem, następnie przyszedł mu do głowy starszy brat, zmarły kilka lat wcześniej. Tommy myślał o tym, jak brat – który walczył podczas drugiej wojny światowej i uczestniczył w wyzwalaniu obozów – wrócił z wojny odmieniony; małżeństwo się rozpadło, dzieci go nie lubiły. Niedługo przed śmiercią brat opowiedział Tommy'emu o tym, co widział w obozach; mówił też o tym, jak razem z innymi oprowadzał po obozach zwiedzających. Podczas oprowadzania grupy kobiet niektóre płakały, ale inne zadzierały głowy wysoko, gniewnie, jakby chciały pokazać, że nikomu nie uda się wzbudzić w nich złego samopoczucia. Ten obraz na zawsze pozostał z Tommym, który zastanawiał się, czemu przypomniał sobie o nim właśnie teraz. Im był starszy – a bardzo się postarzał – tym dobitniej pojmował, że nie rozumie tej niejasnej walki dobra ze złem i może zrozumienie tego nie jest pisane ludziom na ziemi.

Zbliżając się do znaku z napisem SZYCIE I PRZERÓBKIE KRAWIECKIE, zwolnił i skręcił w długą drogę wiodącą do domu Bartonów. Od śmierci Kena, ojca Pete'a, Tommy miał zwyczaj odwiedzać Pete'a, który oczywiście nie był już chłopcem, ale dorosłym mężczyzną. Mieszkał w domu samotnie, a Tommy nie widział go od paru miesięcy.

Jechał długą drogą przez pustkowia. Przez lata Tommy i Shirley rozmawiali o tym, że odludzie nie jest dobre dla dzieci. Po jednej stronie drogi rozciągały się pola kukurydzy, po drugiej rosła soja. Olbrzymie samotne drzewo na polu kukurydzianym kilka lat wcześniej trafił piorun i

teraz leżało, wyciągając ku niebu nagie potrzaskane konary.

Ciężarówka stała obok małego domu, którego nie odmalowywano już tyle lat, że całkiem wyblakł; zbiełały gont na dachu miejscami się wyszczerbił. Żaluzje jak zwykle były opuszczone. Tommy wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi i zapukał. Ponownie pomyślał o Lucy Barton, o tym, jak straszliwie chudym była dzieckiem; miała długie jasne włosy i prawie nigdy nie patrzyła mu w oczy. Pewnego razu, gdy Lucy była jeszcze mała, wszedł po lekcjach do klasy, gdzie czytała, i dziewczynka dosłownie podskoczyła ze strachu.

– Spokojnie, wszystko w porządku – powiedział Tommy pospiesznie.

Tego dnia, gdy podskoczyła i ujrzał na jej twarzy przerażenie, domyślił się, że muszą ją bić w domu. Na pewno tak było, skoro otwierane drzwi budziły w niej taką grozę. Kiedy to sobie uzmysłowił, zaczął uważniej jej się przyglądać i niekiedy na szyi lub rękach dziewczynki dostrzegał sińce, żółte lub niebieskawe. Opowiedział o tym żonie.

– Co mamy zrobić, Tommy? – zapytała Shirley.

Po zastanowieniu uznali, że nie zrobią nic. Jednak tego dnia, gdy o tym rozmawiali, Tommy opowiedział żonie, co kiedyś widział. Działo się to w czasach, kiedy Tommy miał jeszcze farmę, a Ken Barton, ojciec Lucy, niekiedy pracował u niego jako mechanik. Tommy wszedł za oborę i ujrzał Kena, ze spodniami spuszczoneymi do kostek, jak szarpał własne przyrodzenie i przeklinał. Co za widok!

– Nie życzę sobie tu takich rzeczy, Ken – powiedział Tommy, na co tamten odwrócił się, wsiadł do ciężarówki, odjechał i przez tydzień nie pojawiał się w pracy.

– Tommy, dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? – spytała przerażona Shirley, otwierając szeroko niebieskie oczy.

Tommy odparł, że wydało mu się to zbyt okropne, by o tym mówić.

– Musimy coś zrobić, Tommy – powiedziała wtedy jego żona. Rozmawiali jeszcze przez pewien czas, ale ponownie doszli do wniosku, że nic nie można zrobić.

\*

Żaluzje poruszyły się, drzwi się otworzyły i w progu stanął Pete Barton.

– Witaj, Tommy – powiedział, wyszedł przed dom, zamykając za sobą drzwi, i podszedł do Tommy’ego, który zrozumiał, że Pete nie chce zapraszać go do środka. Poczul przykrą woń, może pochodzącą od samego Pete’a.

– Właśnie przejeżdżałem i pomyślałem, że zajrzę zobaczyć, jak ci się wiedzie – powiedział lekkim tonem Tommy.

– Dzięki, wszystko w porządku. Dziękuję. – W jasnym słońcu Pete miał bladą twarz; włosy niemal całkiem posiwiały, upodabiając się do wyblakłego gontu na dachu.

– Pracujesz u Darra? – spytał Tommy.

Pete potwierdził. Praca była już prawie na ukończeniu, ale miał nagraną nową, w Hanston.

– To dobrze – stwierdził Tommy. Mrużąc oczy, popatrzył w stronę horyzontu na jasną zieleń pól sojowych, kontrastującą z brunatną ziemią. Na horyzoncie widniała obora Pedersonów.

Mężczyźni zaczęli rozmawiać o rozmaitych urządzeniach, a także o turbinach wiatrowych postawionych niedawno między Carlisle a Hanston.

– Chyba musimy się do nich przyzwyczaić – stwierdził Tommy, na co Pete przyznał mu rację. Gałęzie samotnego drzewa przy podjeździe, które wypuściło listki, zakołysały się na wietrze.

Pete oparł się o samochód Tommy’ego i splótł ręce na piersi. Chociaż był wysoki, z powodu chudości miał niemal wklęsłą klatkę piersiową.

– Walczyłeś na wojnie, Tommy? – spytał.

– Nie – odparł Tommy, zdziwiony pytaniem. – Nie, byłem za młody. Za to mój brat walczył. – Gałęzie szybko uniosły się i opadły, jakby reagując na podmuch wiatru, którego Tommy nie czuł.

– Gdzie on walczył?

Po chwili wahania Tommy odparł:

– Pod koniec wojny przydzielono go do obozów. Brat służył w oddziałach, które skierowano do obozów w Buchenwaldzie. – Tommy spojrział w niebo, wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i założył. –

Potem mój brat się zmienił. Nie potrafię powiedzieć jak, ale się zmienił. – Podszedł i oparł się o samochód obok Pete'a.

Po chwili Pete Barton zwrócił się do Tommy'ego głosem pozbawionym napastliwości, wręcz nieco przepraszającym:

– Posłuchaj, Tommy, wolałbym, żebyś tu nie przyjeżdżał. – Wpatrzony w ziemię Pete zwilżał językiem ziemiste spierzchnięte usta.

Tommy miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Ja tylko... – zaczął, ale Pete zerknął na niego przelotnie i dodał:

– Robisz to, żeby się nade mną znęcać. Chyba już dość.

Tommy odsunął się od auta, wyprostował i spojrzał na Pete'a przez ciemne okulary.

– Znęcać się? – spytał. – Pete, nie przyjeżdżam tu, żeby się nad tobą znęcać.

Nagły podmuch wiatru wzbił pył u nich stóp. Tommy zdjął okulary, żeby Pete widział jego oczy. Z troską patrzył na Bartona.

– Zapomnij, że to powiedziałem. Przepraszam. – Pete spuścił głowę.

– Po prostu lubię czasem do ciebie wpadać – wyjaśnił Tommy. – Wiesz, po sąsiedzku. Mieszkasz tu całkiem sam. Wydaje mi się, że sąsiedzi powinni się odwiedzać od czasu do czasu.

Pete uśmiechnął się gorzko do Tommy'ego i rzekł:

– Cóż, jesteś jedynym mężczyzną, który to robi. Nie robi tego też żadna kobieta. – Pete zaśmiał się z zakłopotaniem.

Stali tak; Tommy rozplótł ręce i wsunął dłonie do kieszeni, Pete uczynił to samo. Potem kopnął kamień i spojrzał na pola.

– Pedersonowie powinni uprzętać to drzewo. Nie wiem, czemu tego nie robią. Dopóki stało, dało się orać dookoła, ale teraz, kurczę...

– Słyszałem, że zamierzają je uprzętać. – Tommy nie bardzo wiedział, co robić, i dziwnie się z tym czuł.

Wciąż wpatrując się w przewrócone drzewo, Pete mówił:

– Mój ojciec był na wojnie. Całkiem go tam pokreśliło. – Mrużąc oczy w

słońcu, spojrzał na Tommy'ego. – Opowiedział mi o tym, kiedy umierał. Przeżył straszne rzeczy, a potem... potem zastrzelił dwóch niemieckich żołnierzy. To były niemal dzieci. Ojciec powiedział mi, że każdego dnia myślał o tym, że w zamian powinien był odebrać sobie życie.

Tommy słuchał tego chłopca-mężczyznę, patrząc na niego bez okularów przeciwsłonecznych, które trzymał w dłoni schowanej w kieszeni.

– Przykro mi – powiedział. – Nie wiedziałem, że twój ojciec był na wojnie.

– Mój ojciec... – W oczach Pete'a zalśniły łzy. – Mój ojciec był przyzwoitym człowiekiem.

Tommy powoli przytaknął.

– Robił pewne rzeczy, ponieważ nie potrafił się opanować. Dlatego... – Pete odwrócił się, potem częściowo znowu skierował się do Tommy'ego i dokończył: – Dlatego tamtej nocy poszedł, włączył dożarki i wszystko się spaliło, a ja nigdy, przenigdy o tym nie zapomniałem. Wiedziałem, że on to zrobił. Wiedziałem też, że ty wiesz.

Tommy poczuł, jak skóra na głowie pokrywa mu się gęsią skórą. Słońce wydawało się bardzo jasne, ale tak jakby świeciło tylko wokół niego.

– Synu – powiedział mimowolnie. – Nie wolno ci tak myśleć.

– Posłuchaj – odparł Pete, a jego twarz nabrała nieco kolorów. – Ojciec wiedział, że z dożarkami może być problem, mówił o tym. Uważał, że to niezbyt wyszukany system i mogą się przegrzać.

– Miał rację – przyznał Tommy.

– Wściekał się na ciebie. On ciągle był na kogoś wściekły, ale na ciebie zawsze. Nie wiem, co się wydarzyło, ale pracował u ciebie, a potem przestał. Chyba w końcu wrócił, ale już nigdy nie lubił cię po tym, co się stało.

Tommy założył okulary i rzekł z rozmysłem:

– Zostałem go na bawieniu się z samym sobą, Pete. Robił sobie dobrze za oborą, a ja oświadczyłem, że nie wolno mu tam tego robić.

– O rany. – Pete otarł nos. – O rany. – Popatrzył w niebo, potem pospiesznie spojrzał na Tommy'ego i dodał: – Cóż, ojciec cię nie lubił. W

noc przed pożarem wyszedł... Czasem tak robił, nie pił, ale po prostu wychodził z domu, i tak właśnie wtedy zrobił. Wrócił około północy. Pamiętam, bo moja siostra nie mogła zasnąć, a matka... – Pete umilkł, jakby łapiąc oddech. – Matka czuwała z moją siostrą, pamiętam, jak powiedziała: „Lucy, idź spać, już północ”. Potem ojciec wrócił. Nazajutrz w szkole usłyszeliśmy, co się stało. Wtedy po prostu się domyśliłem.

Tommy oparł się o samochód i milczał.

– A teraz ty też wiesz – dokończył Pete. – Dlatego tu przychodzisz, żeby mnie dręczyć.

Obaj mężczyźni długo stali w milczeniu. Wiatr się wzmógł i Tommy czuł, jak szarpie mu rękawy koszuli. Wreszcie Pete odwrócił się, żeby wrócić do środka; drzwi otworzyły się, skrzypiąc.

– Pete – zawołał Tommy. – Pete, posłuchaj. Nie przychodzę tu, żeby cię dręczyć. Nadal nie wiem, nawet po tym, co mi powiedziałeś, czy to prawda.

Pete odwrócił się; po chwili zamknął za sobą drzwi i wrócił do Tommy’ego. Oczy miał wilgotne, choć Tommy nie wiedział, czy od wiatru, czy od łez. Pete zaczął mówić niemal ze znużeniem:

– Po prostu ci mówię, Tommy. On nie powinien jechać na wojnę i robić tego, co musiał robić. Ludzie nie powinni mordować innych ludzi. Mój ojciec to robił, robił straszne rzeczy, straszne rzeczy przydarzyły się jemu i nie potrafił ze sobą żyć. Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Inni ludzie potrafili, ale nie on, to go zniszczyło i...

– A co z twoją matką? – zapytał nagle Tommy.

Twarz Pete’a przybrała beznamiętny wyraz.

– Co z nią? – spytał.

– Jak to znosiła?

Pytanie najwyraźniej przerastało Pete’a.

– Nie wiem – odparł, powoli kręcąc głową. – Nie znałem swojej matki.

– Ja też właściwie nigdy jej nie poznałem – powiedział Tommy. – Widywałem ją tylko od czasu do czasu. – W tej chwili uzmysłowił sobie, że nigdy nie widział tej kobiety uśmiechniętej.

Wpatrując się w ziemię, Pete wzruszył ramionami i powtórzył:

– Nic nie wiem o swojej matce.

Tommy opanował mętlik w głowie; znowu poczuł się sobą.

– Pete, cieszę się, że opowiedziałeś mi o wojennych przeżyciach ojca. Wyraźnie usłyszałem, co mówiłeś. Powiedziałeś, że był przyzwoitym człowiekiem, a ja ci wierzę.

– Bo był! – niemal zawył Pete, wpatrując się w Tommy’ego bladymi oczami. – Ilekroć coś zrobił, zawsze czuł się potem okropnie, a po twoim pożarze był tak... tak poruszony, Tommy, całymi tygodniami, nigdy nie widziałem go w podobnym stanie.

– W porządku, Pete.

– Nie jest w porządku.

– Właśnie, że jest – powiedział Tommy zdecydowanym tonem. Podszedł do niego i na chwilę położył mu rękę na ramieniu. Potem dodał: – Zresztą nie wydaje mi się, że on to zrobił. Myślę, że sam zapomniałem wyłączyć dożarki tamtej nocy, a twój ojciec był na mnie wściekły i pewnie czuł się źle w związku z tym, co się stało. Nigdy nie powiedział ci, że to zrobił, prawda? Kiedy umierał, przyznał ci się do zabicia tamtych ludzi na wojnie, ale nigdy nie wyznał, że spalił moje obory. Prawda?

Pete potrząsnął głową.

– Wobec tego radzę, żebyś to sobie odpuścił, Pete. I tak musiałeś się zmagać z wieloma rzeczami.

Pete zmierzwił włosy.

– Zmagać się? – spytał, nieco zdezorientowany.

– Widziałem, jak cię traktują w mieście, Pete. Ciebie i twoje siostry. Widziałem to wszystko, kiedy pracowałem jako woźny. – Tommy’emu trochę brakowało tchu.

Pete wzruszył ramionami, wciąż lekko oszołomiony.

– No, dobra – powiedział. – W takim razie w porządku.

Jeszcze przez chwilę stali na wietrze, aż Tommy powiedział, że będzie się zbierał.



– Poczekaj – poprosił Pete. – Pojadę z tobą do drogi. Czas, żebym usunął ten znak mojej matki. Od dawna się zbieram i zrobię to teraz.

Tommy czekał przy samochodzie, podczas gdy Pete wszedł do domu, skąd po chwili wyszedł z młotem dwuręcznym. Tommy usiadł za kierownicą, Pete zajął miejsce obok niego i ruszyli w kierunku drogi. Woń stęchlizny, którą Tommy poczuł wcześniej, nasiliła się, gdy mężczyzna usiadł blisko niego. Po drodze Tommy przypomniał sobie nagle, jak pewnego razu, jeszcze w gimnazjum, położył ćwierćdolarówkę na ławce, gdzie miała siedzieć Lucy. Zawsze chodziła do klasy pana Haleya, który przez rok uczył nauk społecznych, zanim nie wzięli go do wojska. Musiał być dobry dla Lucy, ponieważ Lucy upodobała sobie właśnie tę klasę, później przerobioną na laboratorium. Pewnego dnia Tommy położył ćwierćdolarówkę na ławce, w której, jak wiedział, miała siedzieć. W szkole właśnie pojawił się automat, gdzie za ćwierć dolara można było kupić lody, więc zostawił monetę w takim miejscu, by Lucy ją zauważyła. Wieczorem, kiedy poszła do domu, Tommy wszedł do klasy i znalazł ćwierćdolarówkę nietkniętą na tym samym miejscu.

Na końcu języka miał pytanie o Lucy; chciał wiedzieć, czy Pete utrzymuje z nią kontakt, ale właśnie dotarli do drogowskazu z napisem SZYCIE I PRZERÓBKIE KRAWIECKIE, więc powiedział tylko:

– Jesteśmy. Trzymaj się!

Pete podziękował mu i wysiadł.

Po pewnym czasie Tommy spojrzął w lusterko wsteczne i zobaczył, jak Pete Barton wali młotem w znak. Siła, z jaką to robił, kazała Tommy'emu patrzeć uważnie. Widział chłopca-mężczyznę uderzającego w szyld coraz mocniej, a gdy samochód na moment wpadł w koleinę i Pete zniknął mu z oczu, Tommy pomyślał: poczekaj. Gdy samochód znowu się podniósł, spojrzął w lusterko i zobaczył, jak ten chłopiec-mężczyzna tłucze w znak z zaskakującą gwałtownością; zdumiała go wściekłość, z jaką tamten walił młotem. Tommy'emu przyszło na myśl, że podglądanie tej sceny jest nieprzyzwoite, ponieważ udręka Pete'a dorównywała temu, co jego ojciec robił wtedy za oborą. Jadąc dalej, Tommy zrozumiał: chodziło o matkę. To matka musiała być prawdziwie niebezpieczna.

Zwolnił i zawrócił. Zbliżając się, zobaczył, że Pete przestał tłuc w znak i kopał odłamki ze znużonym zniechęceniem. Gdy Tommy podjechał, Pete

podniósł na niego zdziwiony wzrok. Tommy nachylił się, opuścił okno od strony pasażera i powiedział:

– Wsiadaj, Pete. – Tamten się zawahał. Pot perlił się mu na twarzy. – Wsiadaj – powtórzył Tommy.

Pete wsiadł do samochodu i Tommy ruszył w drogę powrotną do domu Bartonów. Po wyłączeniu silnika powiedział:

– Pete, posłuchaj mnie bardzo, ale to bardzo uważnie.

Na twarzy Pete'a pojawił się lęk, a Tommy na chwilę położył mu dłoń na kolanie. To był ten sam wyraz przerażenia, jaki zobaczył na twarzy Lucy, gdy zaskoczył ją w klasie.

– Chcę powiedzieć ci coś, czego nie zamierzałem mówić nigdy nikomu. W noc pożaru... – Tommy opowiedział mu szczegółowo, jak poczuł, że Bóg przyszedł do niego i przekazał, że wszystko będzie dobrze. Pete słuchał uważnie, czasem spuszczać wzrok, czasem patrząc na Tommy'ego, a kiedy ten skończył, Pete spojrzał na niego w zdumionym zachwycie.

– Czyli wierzysz w to? – spytał Pete.

– Ja w to nie wierzę – odparł Tommy. – Ja to wiem.

– I nigdy nie powiedziałaś żonie?

– Nigdy.

– Ale dlaczego?

– Chyba o pewnych rzeczach w życiu nie mówi się innym.

Pete spojrzał na swoje dłonie, a Tommy również zatrzymał na nich wzrok. Zdziwił go widok tych dużych dłoni o silnych palcach, dłoni dorosłego mężczyzny.

– Mówisz więc, że mój ojciec wykonywał dzieło Boże. – Pete powoli potrząsnął głową.

– Nie, mówię ci o tym, co wydarzyło się tamtej nocy.

– Wiem, słyszę, co do mnie mówisz. – Pete patrzył przez przednią szybę. – Nie wiem tylko, jak mam to rozumieć.

Tommy spojrzał na stojącą obok domu ciężarówkę, ze zderzakiem

połyskującym w słońcu. Stara ciężarówka miała szarobury kolor, prawie taki jak dom. Odniósł wrażenie, że już bardzo długo wpatruje się w tę ciężarówkę zbliżoną kolorem do domu.

– Powiedz, jak się miewa Lucy – poprosił Tommy, poruszył nogami i usłyszał, jak szurają po piachu na podłodze samochodu. – Widziałem, że ukazała się jej nowa książka.

– Lucy ma się dobrze – odparł Pete i twarz mu pojaśniała. – Ma się dobrze i to dobra książka. Przysłała mi egzemplarz promocyjny. Jestem z niej bardzo dumny.

– Wiesz, Lucy nie wzięła nawet ćwierćdolarówki, którą kiedyś dla niej zostawiłem – rzekł Tommy i opowiedział o całym zdarzeniu.

– Lucy nigdy nie wzięłaby grosza, który do niej nie należał – potwierdził Pete i dodał: – Co innego moja siostra Vicky. Założę się, że ona wzięłaby ćwierć dolara i poprosiła o więcej. – Zerknął na Tommy’ego. – Tak, ona by wzięła.

– Cóż, pewnie stale toczy się walka między tym, co można robić, a czego nie wolno robić – stwierdził Tommy, siląc się na dowcip.

– Co? – spytał Pete, a Tommy powtórzył.

– Ciekawe – uznał Pete.

Tommy poczuł, że nie siedzi obok dorosłego, ale obok dziecka i ponownie popatrzył na dłonie Pete’a.

W ciszy rozległo się tykanie silnika.

– Pytałeś o moją matkę – powiedział w końcu Pete. – Nikt wcześniej nie pytał mnie o matkę. Prawda jest taka, że nie wiem, czy matka nas kochała, czy nie. Słabo ją znałem. – Spojrzał na Tommy’ego, który przytaknął. – Ale ojciec nas kochał. Wiem, że nas kochał. Miał problemy, och, jakie on miał problemy. Ale nas kochał.

Tommy znów skinął głową.

– Powiedz mi więcej o tym, o czym mówiłeś przed chwilą – poprosił Pete.

– O czym? Co takiego mówiłem?

– O walce. Między tym, co powinniśmy, a tym, czego nie powinniśmy robić.

– Ach, o tym. – Tommy wyjrzał przez przednią szybę na podniszczony dom stojący cicho w słońcu, z opuszczonymi żaluzjami podobnymi do znużonych powiek. – Oto przykład na dużą skalę. – Opowiedział Pete’owi o tym, co brat Tommy’ego widział podczas wojny, o kobietach zwiedzających obozy, o tym, jak niektóre płakały, ale inne miały wściekły wyraz twarzy i nie dały się skłonić do złego samopoczucia. – Wydaje mi się, że nieustannie trwa walka, współzawodnictwo. Skrucha. Zdolność do okazywania skruchy, żalu z powodu krzywdy wyrządzonej innym sprawia, że pozostajemy ludźmi. – Tommy położył dłoń na kierownicy. – Tak mi się wydaje.

– Mój ojciec okazywał skruchę. Był jednoosobowym współzawodnictwem, o jakim mówisz.

– Chyba masz rację.

Słońce weszło tak wysoko, że nie było go widać z samochodu.

– Nigdy nie rozmawiam w ten sposób – powiedział Pete, a Tommy po raz kolejny zdumiał się, że Barton sprawiał wrażenie młodego chłopca. Tommy poczuł w sercu drobne ukłucie, najwyraźniej związane z Pete’em.

– Jestem stary – powiedział Tommy. – Jeśli mamy odbywać podobne rozmowy, chyba powinienem częściej cię odwiedzać. Może spotkamy się w sobotę za dwa tygodnie?

Spostrzegł zdziwiony, że Pete zacisnął pięści i uderzył się nimi w kolana.

– Nie – powiedział Pete. – Nie. Nie musisz. Nie.

– Ale chcę – zapewnił Tommy, ale w chwili, gdy wymawiał te słowa, zrozumiał, że to nieprawda. Ale czy to miało znaczenie? Nie miało.

– Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek odwiedzał mnie z obowiązku – powiedział cicho Pete.

Ból w piersi Tommy’ego się nasilił.

– W pełni cię rozumiem – powiedział. Siedzieli w nagrzanym samochodzie, a smród stał się dla Tommy’ego namacalny.

Po chwili Pete odezwał się znowu.

– Cóż, myślałem, że przyjeżdżasz tu, żeby mnie dręczyć, ale się myliłem. Więc pewnie myliłbym się, myśląc, że przyjeżdżasz tu tylko z obowiązku.

– Chyba byś się mylił – potwierdził Tommy, ale znowu pojął, że nie mówi prawdy. Prawda była taka, że nigdy więcej nie chciał odwiedzać tego biednego chłopca-mężczyzny, który siedział obok.

Posiedzieli tak jeszcze trochę, w końcu Pete odwrócił się do Tommy'ego i skinął głową.

– Dobra. Na razie – powiedział i wysiadł z samochodu. – Dzięki, Tommy.

– To ja ci dziękuję – odparł Tommy.

\*

Jadąc do domu, Tommy czuł się jak przebita dętka; jak gdyby przez całe życie wypełniało go życiodajne powietrze, a teraz go zabrakło. Czuł narastający lęk. Nie potrafił go pojąć. Oto powiedział coś, czego ślubował nigdy nie mówić: że Bóg nawiedził go podczas nocnego pożaru. Dlaczego o tym powiedział? Ponieważ pragnął dać coś temu biednemu chłopcu, który z taką gwałtownością tłukł w szyld swojej matki. Czemu fakt, że powiedział o tym chłopcu, miał takie znaczenie? Tommy nie był pewien. Mimo to czuł, że sam wyciągnął wtyczkę, że mówiąc to, czego miał nigdy nie mówić, poniżył się tak, iż wybaczenie stało się niemożliwe. Właśnie to napełniało go lękiem. „Czyli w to wierzysz?”, spytał Peter Barton.

Tommy nie czuł się już sobą.

– Boże, co ja zrobiłem? – powiedział cicho i poczuł, że naprawdę zwraca się do Boga. – Gdzie jesteś, Boże? – Samochód jednak się nie zmienił. Wciąż ciepły, nadal wydzielający lekką woń Petera Bartona, toczył się drogą.

Tommy jechał szybciej niż zwykle. Ledwo widział zostające w tyle brunatne pola soi i kukurydzy.

Shirley siedziała na frontowych schodach domu, jej okulary połyskiwały w słońcu, a gdy wjechał na niewielki podjazd, pomachała mu.

– Shirley – zawołał, wysiadając z samochodu. – Shirley. – Trzymając się poręczy, wstała ze schodów i podeszła do męża zaniepokojona. – Shirley, muszę ci coś powiedzieć.

Małżonkowie usiedli przy małym stole w kuchni. Shirley odsunęła na bok wysoką szklanę z pączkami piwonii. Tommy opowiedział jej o tym, co zaszło rano na farmie Bartonów, a ona raz po raz potrząsała głową i podsuwała okulary na nos wierzchem dłoni.

– Och, Tommy – rzekła. – Co za biedny chłopiec.

– To nie wszystko, Shirley. Jest coś jeszcze, o czym muszę ci powiedzieć.

Tommy popatrzył na żonę – niebieski kolor oczu za okularami ostatnio zbladł, ale widać było połyskujące drobiny po zabiegu usunięcia zaćmy – i opowiedział jej, równie szczegółowo jak Pete’owi Bartonowi, jak czuł obecność Boga w noc pożaru.

– Teraz myślę, że mi się to przywidziało – stwierdził Tommy. – To nie mogło się wydarzyć. Zmyśliłem to. – Uniósł obie dłonie i potrząsnął głową.

Żona przyglądała się mu chwilę; widział, jak go obserwuje, potem ujrzał, że oczy Shirley nieco się rozszerzają, a w kącikach pojawia się czułość. Nachyliła się, ujęła go za rękę i powiedziała:

– Ale, Tommy, dlaczego to nie miałyby się wydarzyć? Czemu nie mogło być właśnie tak, jak pomyślałeś tamtej nocy?

Wtedy Tommy zrozumiał, że to, co skrywał przed nią przez całe życie, żona mogła bez trudu zaakceptować, a to, co miał przed nią ukrywać od tej pory – swoje wątpliwości (nagle przekonanie, że Bóg nigdy go nie nawiedził) – stało się nową tajemnicą, która zajęła miejsce poprzedniej.

Ujął żonę za rękę.

– Może masz rację – powiedział, po czym dodał banalne, ale szczerze słowa: – Kocham cię, Shirley. – Potem spojrział na sufit. Przez chwilę nie mógł patrzeć na żonę.

# WIATRAKI

Kilka lat temu Patty Nicely miała w sypialni włączony telewizor, a z powodu wpadającego słońca ekran oglądany pod pewnym kątem był niewidoczny. Mąż Patty, Sebastian, jeszcze wtedy żył. Patty szykowała się do pracy. Wcześniej sprawdziła, czy Sebastian ma wszystko, czego mu trzeba; jego choroba dopiero się zaczęła i Patty nie była pewna – oboje nie mieli pewności – jak wszystko się potoczy. Telewizja nadawała zwykły program poranny, który Patty oglądała jednym okiem, krzątając się po sypialni. Właśnie zakładała kolczyk z perłą, gdy prezenterka zapowiedziała:

– Po przerwie będziemy gościć Lucy Barton.

Patty podeszła do telewizora, zmrużyła oczy i po chwili na ekranie pojawiła się Lucy Barton, która właśnie napisała powieść.

– O, kurczę – wykrztusiła Patty, podeszła do drzwi sypialni i zawołała: – Sibby? – Sebastian wszedł do sypialni, a Patty powiedziała: – Och, kochanie, och, Sibby. – Pomogła mężowi położyć się do łóżka, pogładziła go po czole.

O tym, że Lucy Barton wystąpiła w telewizji, Patty przypomniała sobie teraz dlatego, że opowiedziała wtedy Sebastianowi o tej kobiecie. Lucy Barton wychowała się w bardzo biednej rodzinie w Amgash w stanie Illinois.

– Nie znałam ich, bo chodziłam do szkoły w Hanston, ale na widok tych dzieciaków ludzie wołali: „Zaraza”, i uciekali – wyjaśniła wówczas Patty mężowi. Wiedziała to stąd, że matka Lucy szyła sukienki, a matka Patty czasem zlecała tamtej szycie. Matka Patty kilka razy zabrała ją i jej siostry do domu Lucy. Dom Bartonów był bardzo mały i śmierdział! Oto jednak była Lucy Barton. Została pisarką i zamieszkała w Nowym Jorku. – Spójrz, kochanie, wygląda miło – powiedziała Patty.

Sebastian się zainteresował; widziała, z jaką uwagą słuchał tej historii. Po chwili zaczął zadawać pytania, na przykład, czy Lucy różniła się od brata i siostry? Patty odparła, że nie wie, bo tak naprawdę dobrze ich nie znała. O dziwo, jednak rodziców Lucy zaproszono na ślub najstarszej siostry Patty, Lindy, czego Patty nigdy nie potrafiła zrozumieć. W głowie jej się nie mieściło, że ojciec Lucy ma garnitur; czemu mieliby uczestniczyć w ślubie



jej siostry?

– Może w tym czasie twoja matka nie miała z kim rozmawiać – podsunął Sebastian, a Patty zdała sobie sprawę, że ma rację. Kiedy to pojęła, poczerwieniała na twarzy. – Kochanie – powiedział Sebastian i wziął żonę za rękę.

Kilka miesięcy później Sebastian odszedł. Poznali się przed czterdziestką, przeżyli razem zaledwie osiem lat. Nie mieli dzieci. Patty nie знаła lepszego człowieka.

\*

Dzisiaj jechała samochodem z klimatyzacją włączoną na pełen regulator. Z powodu nadwagi łatwo się przegrzewała, a był już koniec maja, piękna pogoda – wszyscy powtarzali, jak jest ładnie – ale dla Patty oznaczało to tylko, że było za gorąco. Na mijanym polu rosła kilkucentymetrowa kukurydza, na innym niska jasnozielona soja. Potem zagłębiła się w miejskie uliczki, gdzie na werandach wybuchały piwonie – Patty uwielbiała piwonie – dotarła do liceum, w którym pracowała jako doradca. Po zaparkowaniu sprawdziła usta w lusterku wstecznym, poprawiła włosy i dźwignęła się z auta. Po drugiej stronie parkingu z samochodu wysiadała Angelina Mumford, nauczycielka nauk społecznych, którą niedawno porzucił mąż. Patty pomachała jej serdecznie, Angelina odpowiedziała tym samym.

W gabinecie Patty na biurku leżały foldery, broszury wyższych uczelni, stały oprawione zdjęcia jej siostrzenic i bratanków. Leżał tam też notatnik spotkań. Poprzedniego dnia Lila Lane nie stawiała się, choć były umówione. Ktoś zapukał w otwarte drzwi i w progu stanęła wysoka ładna dziewczyna.

– Wejdz – powiedziała Patty. – Lila?

Skępowanie weszło do gabinetu razem z dziewczyną. Lila opadła niedbale na krzesło, a spojrzenie, jakie jej rzuciła, wzbudziło w Patty niepokój. Dziewczyna miała długie jasne włosy, a gdy zarzuciła je przez ramię, Patty ujrzała tatuaże – niczym małe ogrodzenie z drutu kolczastego – okalające jej przegub.

– Lila Lane to ładne imię i nazwisko – stwierdziła Patty.

– Miałam dostać imię po ciotce, ale w ostatniej chwili moja matka oznajmiła: „Pierdolić ją” – powiedziała dziewczyna.

Patty zebrała dokumenty i stuknęła krawędziami o biurko.

Dziewczyna wyprostowała się i powiedziała nieoczekiwanie:

– To suka. Uważa się za lepszą od nas. Nigdy jej nawet nie spotkałam.

– Nigdy nie spotkałaś swojej ciotki?

– Nie. Wróciła tu po śmierci swego ojca, ojca mojej matki, a potem wyjechała i nigdy jej nie spotkałam. Mieszka w Nowym Jorku i uważa, że jej gównu nie śmierdzi.

– Cóż, popatrzmy na twoje wyniki. Są całkiem dobre. – Patty nigdy nie lubiła, kiedy uczniowie wyrażali się grubiańsko; uważała, że to przejaw braku szacunku. Zerknęła na dziewczynę, potem znów na papiery. – Oceny też masz dobre – dodała Patty.

– Przeskoczyłam trzecią klasę. – Lila powiedziała to wojowniczym tonem, ale Patty wydawało się, że usłyszała też nutę dumy.

– Brawo – pochwaliła Patty. – Wobec tego pewnie zawsze dobrze się uczyłaś. Nie pozwalają przeskoczyć klasy ot, tak. – Z sympatią popatrzyła na dziewczynę, ale Lila wiodła wzrokiem po gabinecie, oglądała broszury, zdjęcia siostrzenic i bratanków Patty, w końcu na dłuższy czas utkwiała wzrok w plakacie na ścianie, przedstawiającym kotka zwisającego z gałęzi, z podpisem TRZYMAJ SIĘ.

– Co? – spytała Lila i znów popatrzyła na Patty.

– Powiedziałam, że nie pozwalają przeskoczyć klasy ot, tak – powtórzyła Patty.

– Oczywiście, że nie. Jezu drogi. – Dziewczyna przestawiła długie nogi, ale wciąż niedbale zwisła na krześle.

– Dobrze. – Patty skinęła głową. – Co z twoją przyszłością? Masz dobre oceny, dobre wyniki...

– To twoje dzieci? – Mrużąc oczy, dziewczyna wskazała zdjęcia.

– To moje siostrzenice i moi bratankowie – wyjaśniła Patty.

– Wiem, że nie masz dzieci – powiedziała Lila z uśmiechem. – Dlaczego nie masz dzieci?

Patty poczuła, że nieznacznie się rumieni.

– Tak wyszło. Porozmawiajmy o twojej przyszłości.

– Dlatego, że nigdy nie robiliście tego z mężem? – Dziewczyna zaśmiała się, odsłaniając zepsute zęby. – Tak mówią ludzie. Gruba Patty, co nigdy z mężem nie sypia, nigdy z nikim nie sypia. Ludzie mówią, że jesteś dziewicą.

Patty odłożyła papiery na biurko. Poczowała, jak twarz jej płonie. Na chwilę pociemniało jej w oczach; słyszała tykanie ściennego zegara. W najdzikszych snach nie wyobraziłaby sobie słów, jakie dobieły się z jej ust. Spojrzała na dziewczynę i powiedziała:

– Wynoś się stąd natychmiast, ty śmieciu.

Dziewczyna na moment zamarła, ale potem powiedziała:

– Hej, kurde. Ludzie mają rację. O, mój Boże! – Zasłoniwszy usta dłonią, zaśmiała się przeciągle, a Patty odniosła wrażenie, że śmiech wylewa się z ust tamtej jak żółć z ust stworzenia z horroru. – Przepraszam – dorzuciła jeszcze Lila. – Przepraszam.

Nagle, nie wiedzieć skąd, Patty zrozumiała, kim jest ta dziewczyna.

– Twoją ciotką jest Lucy Barton – stwierdziła Patty i dodała: – Jesteś do niej podobna.

Dziewczyna wstała i wyszła z gabinetu.

Patty zamknęła drzwi gabinetu i zadzwoniła do swojej siostry Lindy, mieszkającej pod Chicago. Pot wystąpił Patty na twarz, czuła wilgoć po pachami.

– Linda Peterson-Cornell – przedstawiła się siostra.

– To ja – powiedziała Patty.

– Domyśliłam się. Telefon wyświetlił nazwę szkoły.

– To dlaczego... Posłuchaj, Lindo. – Patty opowiedziała siostrze całe zajście. Mówiła pospiesznie, pomijając to, co powiedziała na koniec do dziewczyny. – Dasz wiarę? – spytała wreszcie.

Po chwili Linda powiedziała, że nigdy nie rozumiała, jak Patty może pracować z nastolatkami. Patty odparła, że nie w tym rzecz.

– Właśnie, że w tym – powiedziała Linda. – Lila Lane, Lucy Barton, Lila to, Lucy tamto. Ale kogo one obchodzą? – Linda umilkła, potem mówiła

dalej: – Poważnie, Patty. Nic dziwnego, że siostrzenica Lucy Barton jest taką hołotą. Naprawdę.

– Czemu tak mówisz?

– Bo tak. Nie pamiętasz ich? To były zwykłe męty, Patty. O, mój Boże, właśnie sobie przypomniałam, że mieli tych, jak im tam? Chyba kuzynów. Chłopak miał na imię Abel. To był dopiero numer. Właził do śmietnika na tyłach Chatwin's Cake Shoppe i szukał czegoś, co nadawałoby się do jedzenia. Dlaczego to robił? Aż tak był głodny? Pamiętam, że grzebał w odpadkach bez cienia żenady. Lucy była razem z nim. Przyprawiał mnie o dreszcze. Do dziś przechodzą mnie ciarki. Jego siostra miała na imię Dottie. Chuda dziewczyna. Dottie i Abel Blaine. Zdumiewające, że ich pamiętam. Ale jak mogłabym zapomnieć? Nigdy wcześniej nie widziałam człowieka szukającego jedzenia w śmieciach. Zresztą Abel był ładnym dzieciakiem.

– Ojej – wykrztusiła Patty. Czują, że gorąco ustępuje jej z twarzy. – Czy rodzice Lucy nie przyszli na twój ślub? Na pierwszy.

– Nie pamiętam – odparła Linda.

– Ależ pamiętasz. Dlaczego przyszli na twój ślub?

– Bo ona ich zaprosiła, żeby mieć z kim rozmawiać. Na miłość boską, Patty, zapomnij o tym. Ja już to zrobiłam.

– Cóż, może i zapomniałaś, ale nadal nosisz jego nazwisko – stwierdziła Patty. – Peterson. Chociaż byliście małżeństwem zaledwie rok.

– A czemu miałabym wracać do nazwiska Nicely? – odcięła się Linda. – Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego je zachowałam. Śliczne córki państwa Nicely. To okropne, że znali nas jako śliczne córki państwa Nicely [\*].

To wcale nie było okropne, pomyślała Patty.

– Czy widziałaś ostatnio Matkę Naszą, która nie jest w niebie? – spytała Linda. – Jak jej poziom głupoty?

– Pomyślałam, że odwiedzę ją dziś po południu – powiedziała Patty. – Miałam kilka dni przerwy. Muszę się upewnić, czy bierze lekarstwa.

– Nic mnie to nie obchodzi – oświadczyła Linda, o czym Patty dobrze wiedziała.

- Czy masz zły humor albo coś w tym rodzaju? – spytała Patty.
- Nic podobnego – odparła Linda.

\*

Był piątek. Po południu Patty poszła do banku zrealizować czek z pensją, potem wstąpiła do księgarni i ujrzała, wystawioną na honorowym miejscu, nową książkę Lucy Barton.

- Ojej – powiedziała Patty.

W księgarni był Charlie Macauley i Patty o mały włos nie wyszła, ponieważ Charlie był jedynym mężczyzną poza Sebastianem, którego kochała. Naprawdę go kochała. Przez lata lubiła Charliego, właściwie go nie znając, jak to ludzie w małych miasteczkach zarazem znają się i nie znają. Na pogrzebie Sibby’ego odwróciła się, ujrzała Charliego siedzącego samotnie z tyłu i zakochała się w nim na zabój. Kochała go nadal. Dziś Charliemu towarzyszył wnuk, uczeń podstawówki, a gdy Charlie podniósł wzrok i zobaczył Patty, twarz mu pojaśniała i skinął głową.

– Cześć, Charlie – pozdrowiła go Patty, po czym spytała księgarza o książkę Lucy Barton.

To były wspomnienia.

Wspomnienia? Patty przewertowała książkę, ale słowa skakały jej przed oczami, bo Charlie stał tak blisko. Zniosła książkę do kasy i kupiła. Wychodząc, spojrzała na Charliego, który jej pomachał. Charlie Macauley mógł być jej ojcem, chociaż był młodszy niż byłby jej ojciec, gdyby żył. Jednak Charlie był o co najmniej dwadzieścia lat starszy od Patty. W młodości był w Wietnamie. Patty nie miała pojęcia, skąd to wie. Jego żona miała bardzo pospolity wygląd i była chuda jak szczapa.

\*

Dom Patty był oddalony o kilka ulic od centrum miasta. Nie był duży, ale nie był też mały. Ona i Sibby kupili go razem; miał frontową werandę, a także małą boczną. Przy bocznej werandzie rosły piwonie o ciężkich główkach, kwitły też irysy. Przez kuchenne okno widziała te kwiaty, gdy wyjmowała z szafki ciastka – do połowy pełne pudełko biszkoptów – zabrała je do salonu, usiadła i zjadła wszystkie. Potem wróciła do kuchni, gdzie wypiła szklankę mleka. Zadzwoiła do matki, żeby powiedzieć, że przyjedzie

mniej więcej za godzinę.

– Świetnie – ucieszyła się matka.

Na piętrze światło słoneczne wpadające przez okna rozlewało się po korytarzu. Po podłodze wały się koty z kurzu.

– Ojej! – powiedziała Patty. Siedząc na łóżku, powtórzyła to kilkakrotnie:  
– Ojej! Ojej!

Odległość od Hanston wynosiła trzydzieści kilometrów. Słońce wciąż jasno świeciło, gdy Patty jechała wśród pól, gdzieś tam porośniętych młodą kukurydzą, innych zaoranych; na jednym właśnie trwała orka, kiedy przejeżdżała. W końcu dotarła do miejsca z chyba setką turbin wiatrowych na horyzoncie. Te białe wiatraki postawiono prawie dziesięć lat wcześniej. Zawsze fascynowały Patty. Wszystkie ramiona obracały się na wietrze z tą samą prędkością, ale bez synchronizacji. Przypomniała sobie o toczącej się sprawie sądowej – często do nich dochodziło – dotyczącej niszczenia ptaków, saren i pól uprawnych, ale Patty brała stronę tych wielkich białych obiektów, których chude ramiona trochę wariacko obracały się na tle nieba, by wytwarzać energię. Po chwili znalazły się za nią i znowu jak okiem sięgnąć tylko pola z młodą kukurydzą i świeżutką jasnozieloną soją. Na tych samych polach – w letniej dojrzałości – mając piętnaście lat, pozwalała chłopcom przylegać do jej ciała, ich usta wydawały się wielkie i gumowe, interesy rozpychały im spodnie, Patty dyszała, wystawiała szyję do pocałunków, ocierała się o nich, ale – naprawdę? – nie mogła tego znieść, nie mogła tego znieść, nie mogła tego znieść.

Patty wjechała do miasta, które niewiele się zmieniło od czasów, kiedy tu dorastała. Paliły się czarne staroświeckie latarnie z żarówkami. Dwie restauracje, sklep z upominkami, firma inwestycyjna, sklep odzieżowy – wszystkie miały te same markizy i czarno-białe szyldy. Aby dotrzeć do domu matki, musiała minąć dom, gdzie się wychowała, piękny czerwony dom z czarnymi okiennicami i szeroką werandą z bujakiem. W dzieciństwie Patty całymi godzinami przesiadywała z matką na tym bujaku, wtulona w matczyne brzuch, marszcząc matczyną sukienkę, słysząc śmiech matki nad głową. Jej ojciec mieszkał w tym domu do śmierci, która nastąpiła rok przed odejściem Sibby’ego. Teraz dom należał do wielodzietnej rodziny, a Patty zawsze – ilekroć tamtędy przejeżdżała – odwracała wzrok. Po przejechaniu przez miasto wystarczyło przemierzyć jeszcze półtora kilometra i docierało

się do białego domku matki. Wjeżdżając na podjazd, Patty ujrzała ją, patrzącą na nią zza zasłony; potem rozległ się stukot laski po podłodze, gdy Patty otworzyła boczne drzwi i weszła. Z upływem lat Patty się rozrosła, a matka skurczyła. Tak właśnie myślała Patty, ilekroć widziała matkę.

– Hej – powiedziała Patty, pochyliła się i pocałowała powietrze po obu stronach matki. Następnie wyprostowała się i dodała: – Przywiozłam ci jedzenie.

– Nie potrzebuję jedzenia. – Matka zaciągnęła pasek szlafroka frotté.

Patty wypakowała sałatkę z kapusty, klopsy oraz piure ziemniaczane i schowała do lodówki.

– Musisz coś jeść – stwierdziła.

– Nie zjem niczego sama. Możesz zostać i mi towarzyszyć? – Matka przyglądała się jej zza okularów, które zsunęły się trochę z nosa. – Ślicznie proszę. – Patty zamknęła oczy i skinęła głową.

Podczas gdy Patty nakrywała do stołu, matka siedziała na krześle, z nogami rozstawionymi pod szlafrokiem, i patrzyła na córkę.

– Tak dobrze cię widzieć. W ogóle cię nie widuję.

– Byłam tu trzy dni temu – przypomniała Patty.

Odwracając się w stronę blatu, wciąż miała przed oczami rzadkie włosy matki z prześwitującą skórą na głowie; poczuła, że w środku się rozsypuje. Wróciwszy do stołu, wysunęła krzesło i powiedziała:

– Musimy porozmawiać o twojej przewodniczce do Golden Leaf. Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? – Matka powoli potrząsnęła głową z wyrazem dezorientacji na twarzy. – Ubrałaś się dzisiaj? – spytała Patty.

Matka spojrzała na szlafrok na kolanach, potem znów na Patty.

– Nie – odparła.

\*

Patty poznała męża na konferencji w Saint Louis. Konferencja dotyczyła dzieci z biednych rodzin, ale Sebastian znalazł się tam z innego powodu. Był inżynierem mechanikiem, też przyjechał na konferencję i zatrzymał się w hotelu w pokoju obok Patty.



– Witaj ponownie! – pozdrowiła go, gdy równocześnie wyszli z pokojów. Poprzedniej nocy widziała, jak wchodzi do swego pokoju, kiedy ona robiła to samo. Nie potrafiłaby powiedzieć, co takiego w nim było, ale czuła się w jego obecności całkiem swobodnie. Już wtedy przybierała na wadze od leków antydepresyjnych. Kiedyś zrezygnowała z małżeństwa na kilka tygodni przed ślubem. Podczas pierwszej rozmowy Sebastian nawet na nią nie patrzył. Wysoki, szczupły, przystojny mężczyzna o wychudłej twarzy, miał dość długie włosy. Gęste brwi wyglądały jak jedna linia na czole, oczy głęboko osadzone. Patty po prostu go polubiła. Gdy konferencja dobiegała końca, uzyskała jego adres e-mailowy. Nigdy nie zapomni ich korespondencji. Już po kilku tygodniach Sebastian pisał: „Jeżeli mamy się przyjaźnić, Patty, jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć”. I kilka dni później: „Przydarzyły mi się straszne rzeczy, które sprawiły, że stałem się odmienny od innych ludzi”. Sebastian mieszkał w Missouri, a kiedy zaprosiła go do Carlisle w stanie Illinois, zdziwiła się, że zgodził się przyjechać. Potem zostali razem. Skąd wiedziała – nie wiedziała – że jako mały chłopiec został wielokrotnie wykorzystany przez ojczyma? Sebastian prawie nie mógł znieść obecności ludzi, ale na bardzo wczesnym etapie znajomości popatrzył na nią i powiedział:

– Kocham cię, Patty, ale nie mogę tego robić. Po prostu nie mogę. Chciałbym, ale to niemożliwe.

– Nie szkodzi – odparła. – Ja też tego nie znoszę.

W łóżku trzymali się za ręce i nigdy nie posunęli się dalej. Często, zwłaszcza w pierwszych latach, dręczyły go koszmary, zrzucał kołdrę i piszczał, co brzmiało przerażająco. Patty zauważyła, że w takich chwilach bywał podniecony i pilnowała, by dotykać tylko jego ramion, dopóki się nie uspokoił. Potem masowała mu czoło.

– Już dobrze, kochanie – mówiła zawsze.

Sebastian wpatrywał się w sufit z zaciśniętymi pięściami.

– Dziękuję – mówił, zwracając ku niej twarz. – Dziękuję ci, Patty.

– Opowiadaj, opowiadaj. Z nóg nie padaj. Jak się miewasz? – Matka wsunęła do ust kęs klopsa.

– Dobrze. Jutro wieczorem odwiedzę Angelinę. Mąż ją rzucił. – Patty położyła na swoim klopsie piure ziemniaczane, na samej gorze masło.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Matka odłożyła widelec na stół i spojrzała na córkę pytająco.

– Angelina, jedna z siostr Mumford.

– Aha. – Matka powoli pokiwała głową. – Już wiem. Jej matką była Mary Mumford. Jasne. Nie była nikim szczególnym.

– Kto nie był nikim szczególnym? Angelina jest wspaniałą osobą. Zawsze uważałam, że jej matka jest bardzo miła.

– Och, była miła. Po prostu nie była nikim szczególnym. Wydaje mi się, że pochodziła z Missisipi. Wyszła za tego Mumforda, który był bogaty, a potem miała mnóstwo córek i pieniędzy.

Patty otworzyła usta. Zamierzała spytać, czy matka pamięta, że zaledwie kilka lat temu, już po siedemdziesiątce, Mary Mumford odeszła od bogatego męża. W końcu jednak Patty nie zapytała. Nie chciała mówić matce o tym, że podstawą jej przyjaźni z Angeliną stało się właśnie odejście ich matek.

– Chciałem go zabić – wyznał jej kiedyś Sebastian. – Naprawdę chciałem go zabić.

– Naturalnie – odpowiedziała.

– Matkę też chciałem zabić – dodał.

– Oczywiście, że chciałeś – powiedziała Patty.

Patty rozejrzała się po małej matczynej kuchni. Nienaganną czystość zawdzięczała Oldze, kobiecie starszej od Patty, która przychodziła dwa razy w tygodniu. Jednak cerata na stole, przy którym siedziała, popękała na rogach, a niebieskie zasłony w oknie wyblakły. Z miejsca, gdzie siedziała, Patty widziała w kącie salonu niebieski puf, z którym matka, po tylu latach, nie chciała się rozstać.

Matka – jak często miała ostatnio w zwyczaju – mówiła o przeszłości.

– Ach, te tańce w Klubie. Boże, jakaż to była rozrywka. – Potrząsnęła głową w zachwycie.

Patty położyła na ziemniakach kolejną porcję masła, zjadła i odsunęła talerz.

– Lucy Barton napisała wspomnienia – oznajmiła.

– Co mówiłaś? – spytała matka, więc Patty powtórzyła.

– Już pamiętam – powiedziała matka. – Oni mieszkali w garażu, potem stary zmarł, nie mam pojęcia, jak był z nimi spokrewniony, i przeprowadzili się do jego domu.

– W garażu? Czyli moje wspomnienie dotyczy właśnie tego miejsca? Garażu?

Po chwili matka odparła:

– Nie wiem, nie pamiętam, ale ona pracowała za grosze, dlatego z niej korzystałam. Była świetna, a brała grosze. – Po dłuższym milczeniu matka dodała: – Kilka lat temu widziałam Lucy w telewizji. Wielka gwiazda. Napisała książkę czy coś w tym rodzaju. Mieszka w Nowym Jorku. Zadziera nosa.

Patty donośnie westchnęła. Matka sięgnęła po sałatkę z kapusty, szlafrok nieco się rozchylił i Patty ujrzała przelotnie małą pierś pod koszulą nocną. Po kilku minutach Patty wstała, uprzątnęła ze stołu i pospiesznie zmyła naczynia.

– Sprawdźmy twoje lekarstwa – powiedziała, ale matka machnęła ręką lekceważąco. Patty poszła do łazienki, odszukała pojemnik z przegródkami na dzienne dawki i ujrzała, że od jej ostatniej wizyty matka nie wzięła żadnych lekarstw. Patty zniosła pojemnik matce, ponownie wyjaśniła znaczenie każdej pigułki.

– W porządku – powiedziała matka i wzięła od Patty pojemnik.

– Nie chcesz przecież dostać wylewu – przestrzegła matkę Patty. Ani słowem nie wspomniała o leku mającym spowalniać demencję.

– Nie dostanę wylewu. Wylewu do zlewu.

– Dobrze, do zobaczenia.

– Wyrosłaś na najlepszą – oświadczyła matka przy drzwiach. – Szkoda, że przytyłaś od pigułek szczęścia, ale nadal jesteś ładna. Na pewno musisz iść?

Idąc przez podjazd do samochodu, Patty westchnęła głośno:

– Ojej.

\*

Słońce właśnie zaszło, a gdy Patty znajdowała się w połowie drogi powrotnej do domu – za wiatrakami – zaczynał wschodzić księżyc w pełni. Jej ojciec zmarł w czasie pełni i Patty wyobrażała sobie, że przy każdej pełni księżycyca ojciec na nią patrzy. Poruszyła palcami na kierownicy, żeby go pozdrowić. Kocham cię, tato, szepnęła. Miała też na myśli Sibby’ego, bo w jej umyśle obydwaj złączyli się w jedną osobę. Patrzyli na nią z góry i chociaż wiedziała, że księżyc jest tylko skałą – skałą! – ale na widok jego pełnej tarczy zawsze myślała, że jej mężczyźni są tam, wysoko i daleko. Czekać na mnie, szepnęła. Wiedziała bowiem – prawie wiedziała – że kiedy umrze, dołączy do ojca i Sibby’ego. Dziękuję ci, szepnęła, ponieważ ojciec właśnie powiedział, że Patty jest bardzo dobra, skoro opiekuje się matką. W ten sposób ojciec stał się dla Patty wspaniałomyślny, śmierć to sprawiła.

Zostawione w domu zapalone światła nadawały mu przytulny wygląd; nienagazanie światła było jedną z wielu rzeczy związanych z mieszkaniem samotnie, jakiej się nauczyła. Mimo to, kiedy odłożyła torebkę i przeszła przez salon, ogarnęło ją przygnębienie; to był niedobry dzień. Lila Lane wstrząsnęła nią do głębi. A jeśli dziewczyna doniesie dyrektorowi, że Patty nazwała ją śmieciem? Lila Lane była do tego zdolna. Siostra Patty nie okazała się pomocna, a nie było sensu dzwonić do drugiej siostry, tej z Los Angeles, która nigdy nie miała czasu na rozmowę, ani do matki, och, matka...

– Gruba Patty – powiedziała.

Usiadła na kanapie i rozejrzała się; dom wydawał się nieco obcy, a ona zdążyła się już nauczyć, że był to zły znak. W ustach czuła smak klopsów.

– Gruba Patty, szykuj się na noc – powiedziała, wstała, wyczyściła zęby nitką i umyła, potem obmyła twarz, nałożyła na nią krem, co nieco poprawiło jej nastrój. Szukając w torebce telefonu, natknęła się na książkę Lucy Barton, którą wcześniej tam wsunęła. Patty usiadła i przyjrzała się okładce, przedstawiającej miejski budynek z zapalonymi światłami o zmierzchu. Zaczęła czytać. – Jasny gwint – powiedziała po kilku stronach. – O rany!

\*

Nazajutrz, w sobotę, Patty odkurzyła dom na piętrze, potem na parterze, zmieniła pościel, zrobiła pranie, przejrzała korespondencję, wyrzucając ulotki i katalogi. Następnie pojechała do miasta na zakupy, kupiła też kwiaty. Od

dawna nie kupowała kwiatów do własnego domu. Przez cały dzień towarzyszyło jej poczucie, że gdzieś głęboko w zakamarkach ust ma żółty cukierek, może karmelowy; wiedziała, że ta prywatna słodycz bierze się z lektury wspomnień Lucy Barton. Co pewien czas Patty potrząsała głową i mówiła:

– Ha!

Po południu zadzwoniła do matki. Odebrała Olga. Patty spytała, czy mogłaby przychodzić codziennie zamiast dwa dni w tygodniu, na co Olga odparła, że musi pomyśleć, a Patty, że rozumie. Następnie poprosiła matkę do telefonu.

– Kto mówi? – zapytała matka.

– To ja, Patty, twoja córka. Kocham cię, mamo.

– Cóż, ja też cię kocham – powiedziała po chwili matka.

Potem Patty musiała się położyć. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mówiła matce, że ją kocha. W dzieciństwie mówiła to często, może nawet powiedziała to tamtego ranka, kiedy matka pozwoliła jej nie chodzić więcej na zbiórki skautów. Patty uczyła się wtedy w gimnazjum, a matka powiedziała:

– Och, w porządku, Patty, jesteś na tyle duża, że możesz sama decydować. – Matka stała wtedy w kuchni, podawała Patty lunch w papierowej torbie i była po prostu sobą, matką Patty. Tego samego dnia Patty wróciła do domu wcześniej z powodu skurczy – miewała straszliwe skurcze – i usłyszała zdumiewające odgłosy dochodzące z sypialni rodziców. Matka krzyczała, dyszała, wrzeszczała, rozlegały się klapsy. Patty pobiegła na górę i ujrzała matkę siedzącą okrakiem na panu Delaneyu – nauczycielu hiszpańskiego Patty! – matczyne piersi kołysały się, ten człowiek dawał klapsy jej matce, wziął w usta jej pierś, a matka zawyła. Patty nigdy nie zapomniała szalonego wyrazu oczu matki. Zobaczyła, że matka nie jest w stanie powstrzymać zawodzenia; nawet patrząc na córkę, nie mogła pohamować odgłosu dobywającego się z jej ust.

Patty odwróciła się i wybiegła z sypialni. Po chwili dało się słyszeć kroki pana Delaneya schodzącego po schodach; owinięta szlafrokiem matka weszła do jej pokoju i rzekła:

– Patty, nikomu nie wolno ci o tym powiedzieć. Zrozumiesz, jak dorośniesz.

Patty nie miała pojęcia, że matczyne piersi, nieskrępowane i rozkołysane nad tym człowiekiem, mogły być takie duże.

Kilka dni później straszliwe sceny zaczęły się rozgrywać w domu uchodzącym za spokojny i zwyczajny, chociaż Patty uważała inaczej. Nikomu nie opowiedziała o tym, co widziała – nie miałyby pojęcia, jakich słów użyć – ale już nigdy nie wróciła na lekcje z panem Delaneyem. Potem – stało się to tak nagle! – matka wyrzuciła z siebie prawdę i przeprowadziła się do małego mieszkania w mieście. Patty odwiedziła ją tylko raz; w kącie stał niebieski puf. Całe miasto gadało o romansie jej matki z panem Delaneyem, a Patty czuła się tak, jakby odcięto jej głowę, która poruszała się w innym kierunku niż ciało. To osobliwe uczucie utrzymywało się bardzo długo. Patty i jej siostry patrzyły, jak ojciec płacze. Patrzyły, jak klnie i chodzi z kamienną twarzą. Wcześniej w ogóle taki nie był: nie płakał, nie przeklinał, nie miewał kamiennej twarzy. Teraz taki właśnie się stał, a rodzina – mogło się zdawać, że niewinnie siedzieli sobie w łódce na jeziorze – przepadła, zamieniła się w coś niewyobrażalnego. Ludzie w mieście nie przestawali gadać. Patty, jako najmłodsza, musiała to znosić najdłużej. W Boże Narodzenie pan Delaney wyjechał, a matka Patty została sama.

Kiedy Patty zaczęła chodzić na pola kukurydziane z chłopakami z klasy, a nawet jeszcze później, gdy miała prawdziwych chłopaków, z którymi to robiła, nieustannie towarzyszył jej obraz matki bez koszuli, bez stanika, z rozkołysanymi piersiami ssanymi przez tamtego człowieka. Patty nie mogła tego znieść. Jej własne podniecenie zawsze budziło w niej straszny, przerażający wstyd.

\*

Angelina, chociaż starsza od Patty o kilka lat, zachowała szczupłą sylwetkę i młodzieńczy wygląd. Mimo to, gdy Patty ujrzała je obie przelotnie w lustrze w Sam's Place, pomyślała, że ona, Patty, wygląda znacznie młodziej i że Angelina zapadła się w sobie. Patty zamierzała natychmiast opowiedzieć przyjaciółce o książce Lucy Barton. Gdy tylko usiadły, w zielonych oczach Angeliny zaśniły łzy, Patty wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jej dłoni. Angelina uniosła palec i po chwili odzyskała głos.

– Nienawidzę ich oboje – oświadczyła, a Patty zapewniła, że rozumie. – Powiedział mi: „Ty jesteś zakochana we własnej matce”. Patty, zdumienie odebrało mi mowę. Tylko wlepiłam w niego wzrok...

– O rany – westchnęła Patty i usiadła.

Kilka lat wcześniej matka Angeliny, w wieku siedemdziesięciu czterech lat, wyjechała z miasta, porzuciła męża, by poślubić we Włoszech człowieka blisko dwadzieścia lat młodszego. Patty ogromnie współczuła Angelinie z tego powodu. Teraz jednak pragnęła powiedzieć: „Posłuchaj tego! Matka Lucy Barton była dla niej okropna, a jej ojciec, Boże, jej ojciec...”. Mimo to Lucy ich kochała, kochała matkę, a matka kochała Lucy! Wszyscy jesteśmy popieprzeni, Angelino, robimy co w naszej mocy, kochamy w sposób niedoskonały, Angelino, ale to jest w porządku.

Patty z całego serca pragnęła to powiedzieć przyjaciółce, ale czuła, że jej słowa zabrzmiały mdło, a nawet niemal wariacko. Dlatego słuchała o dzieciach Angeliny, już w liceum, zbierających się do wyfrunięcia z gniazda; słuchała o matce we Włoszech, o tym, że pisała maile do córek – Angelina miała cztery siostry – i o tym, że Angelina jako jedyna nie odwiedziła jeszcze matki, choć planowała zrobić to latem.

– Och, odwiedź ją – zachęcała Patty. – Myślę, że powinnaś. Przecież ona jest stara, Angelino.

– Wiem.

Patty zdawała sobie sprawę z tego, że Angelina chce mówić o sobie. Nie przeszkadzało to Patty, po prostu to sobie uświadomiła. Rozumiała, że wszyscy ludzie są zainteresowani głównie sobą. Tylko Sibby interesował się nią, a ona szalenie interesowała się nim. To była warstwa chroniąca cię przed światem: miłość drugiego człowieka, z którym dzieliło się życie.

Trochę później, gdy piły już drugi kieliszek białego wina, Patty opowiedziała Angelinie o Lili Lane, ale ograniczyła się do Grubej Patty i tego, że wszyscy mieli ją za dziewczycę. Następnie powiedziała:

– Wiesz, Lucy Barton napisała...

– Na miłość boską – przerwała jej Angelina. – Jesteś śliczna jak zawsze, Patty. Że też musisz wysłuchiwać takich rzeczy. Nikt cię tak nie nazywa.

– Może i nazywają.



– Nigdy nie słyszałam, a przez cały dzień słucham dzieciaków. Patty, jeszcze możesz kogoś poznać. Jesteś śliczna. Naprawdę.

– Jedynym mężczyzną, który mnie interesuje, jest Charlie Macauley – oświadczyła Patty. Z powodu wina.

– On jest stary, Patty! Wiesz, że jest popieprzony.

– W jakim sensie?

– Wiele lat temu był w Wietnamie i jest... Cierpi z powodu stresu pourazowego.

– Naprawdę?

– Tak słyszałam. – Angelina nieznacznie wzruszyła ramionami. – Nie wiem, od kogo. Tak słyszałam wiele lat temu. Sama nie wiem. Jego żona jest... Cóż, masz szansę, Patty.

– Jego żona zawsze wydawała mi się sympatyczna – zaśmiała się Patty.

– Daj spokój, to stare przełknięte straszdyło. Mówię ci, spróbuj szczęścia z Charliem.

Patty pożałowała, że zaczęła ten temat.

Angelina najwyraźniej nie zwróciła na to uwagi. Chciała mówić o sobie i mężu.

– Wczoraj wieczorem spytałam go przez telefon, czy zamierza wystąpić o rozwód, ale odparł, że nie, nie chce tego robić. Porzuciłam więc ten temat. Nie wiem, dlaczego chciał się wyprowadzić, ale nie chce rozwodu. Och, Patty!

Na parkingu Angelina objęła przyjaciółkę i mocno się uściskały.

– Kocham cię – zawołała Angelina, wsiadając do samochodu.

– I ja ciebie – odpowiedziała Patty.

Patty prowadziła ostrożnie. Wino obudziło w niej wiele wspomnień. Jednak nie powinna mieszać alkoholu z lekami antydepresyjnymi. Umysł rozszerzył się i przelatywało przez niego wiele spraw. Myślała o Sebastianie i zastanawiała się, czy ktokolwiek jeszcze wiedział o tym, co jej wyznał, o niewyobrażalnych rzeczach, jakie mu się przytrafiły. Zastanawiała się, czy to było widać. Coś z pewnością dało się zauważyć. Patty przypomniała sobie,

jak pewnego dnia była z Sebastianem w sklepie odzieżowym i usłyszała, że młoda sprzedawczyni mówi do koleżanki:

– To tak jakby ona miała psa.

Lucy Barton pisała we wspomnieniach, że ludzie zawsze dążą do tego, by czuć wobec kogoś wyższość, i Patty uznała, że to prawda.

Tej nocy księżyc świecił niemal za plecami Patty. Ujrawszy go w lusterku, mrugnęła. Przyszła jej na myśl siostra. Linda stwierdziła, że nie ma pojęcia, jak Patty może pracować z nastolatkami. Trzymając dłonie na kierownicy, Patty potrząsnęła głową, ponieważ siostra o niczym nie miała pojęcia. Nikt nie miał, oprócz Sebastiana. Po śmierci Sibby’ego Patty udała się do terapeutki. Nie zamierzała mówić nic o sobie tej kobiecie. Ale terapeutka miała na sobie granatowy blezer, siedziała za dużym biurkiem i spytała, co Patty czuje w związku z rozwodem rodziców. Patty odparła, że czuje się źle. Nie wiedziała, jak zaprzestać wizyt u terapeutki, aż w końcu skłamała i powiedziała, że jej na to nie stać.

Teraz, gdy wjechała na podjazd i zobaczyła pozapalane światła, które sama zostawiła, pojęła, że książka Lucy Barton ją zrozumiała. To było to: ta książka ją zrozumiała. Przypominała jej słodycz żółtych cukierków. Lucy Barton miała swoją własną wstydliwą tajemnicę, o rany, miała wstydliwą tajemnicę. Mimo to zdołała ją pokonać.

– Ha! – powiedziała Patty, wyłączając silnik.

Jeszcze trochę siedziała w samochodzie, w końcu wysiadła i weszła do domu.

\*

W poniedziałek rano zostawiła wychowawczyni wiadomość z prośbą, aby Lila Lane przyszła do jej gabinetu, ale mimo to zdziwiła się na widok dziewczyny przekraczającej próg na następnej przerwie.

– Wejść – powiedziała Patty. – Usiądź – dodała, gdy dziewczyna weszła do gabinetu.

Lila spojrzała na nią z rezerwą, lecz odezwała się natychmiast:

– Założę się, że chce pani, żebym przeprosiła.

– Nie – odparła Patty. – Poprosiłam, żebyś tu przyszła, ponieważ podczas

naszego ostatniego spotkania nazwałam cię śmieciem.

Dziewczyna wyglądała na zdezorientowaną.

– Kiedy byłaś tu w zeszłym tygodniu, nazwałam cię śmieciem – powtórzyła Patty.

– Tak? – spytała dziewczyna, siadając.

– Owszem.

– Nie pamiętam. – Lila Lane nie była nastawiona wojowniczo.

– Po tym, jak spytałaś, czemu nie mam dzieci, powiedziałaś, że jestem dziewczicą i nazwałaś mnie Grubą Patty, ja nazwałam cię śmieciem.

Dziewczyna obserwowała ją podejrzliwie.

– Nie jesteś śmieciem. – Patty czekała, dziewczyna czekała, w końcu Patty odezwała się znowu: – Kiedy dorastałam w Hanston, mój ojciec zarządzał farmą kukurydzianą i mieliśmy bardzo dużo pieniędzy. Można powiedzieć, że niczego nam nie brakowało. Nie powinnam nazywać ciebie, ani nikogo, śmieciem.

– Ale jestem śmieciem – stwierdziła dziewczyna, wzruszając ramionami.

– Nieprawda.

– No, myślę, że była pani zła.

– Oczywiście, że byłam zła. Odezwałaś się do mnie bardzo niegrzecznie. Ale to nie dawało mi prawa, by mówić to, co powiedziałam.

Dziewczyna wyglądała na zmęczoną, miała podkrążone oczy.

– Nie przejmowałabym się tym – powiedziała. – Na pani miejscu nie zawracałbym sobie tym głowy.

– Posłuchaj – powiedziała Patty. – Masz bardzo dobre wyniki i świetne stopnie. Dostałabyś się do każdej szkoły. Chcesz?

Lila Lane ze zdziwieniem wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem.

– Mój mąż uważał, że jest śmieciem – oświadczyła Patty.

Dziewczyna spojrzała na nią i po chwili spytała:

– Naprawdę?

– Tak. Z powodu rzeczy, które przeżył.

Lila popatrzyła na Patty dużymi smutnymi oczami. W końcu westchnęła przeciągle.

– O rany. Przepraszam, że powiedziałam o pani te syfiaste rzeczy.

– Masz szesnaście lat – zauważyła Patty.

– Piętnaście.

– Piętnaście. Ja jestem dorosła i to ja postąpiłam niewłaściwie.

Patty ze zdumieniem ujrzała, że po twarzy dziewczyny zaczynają płynąć łzy. Lila otarła je dłonią.

– Jestem po prostu zmęczona – powiedziała. – Jestem taka zmęczona.

Patty wstała i zamknęła drzwi gabinetu.

– Kochanie – odezwała się. – Posłuchaj mnie, kochanie. Mogę coś dla ciebie zrobić. Mogę ci pomóc dostać się na uczelnię. Pieniądze się znajdują. Jak już mówiłam, masz świetne stopnie. Zdziwiłam się, jakie są znakomite. Ja nie uczyłam się tak dobrze jak ty, a na studia poszłam dlatego, że moi rodzice mogli sobie na to pozwolić. Pomogę ci i będziesz mogła studiować.

Dziewczyna położyła na biurku ręce i oparła o nie głowę. Jej ramiona dygotały. Po chwili podniosła zapłakaną twarz.

– Przepraszam, ale kiedy ktoś jest dla mnie dobry... Boże, to mnie po prostu rozwala.

– Nic nie szkodzi – zapewniła Patty.

– Nieprawda. – Lila znów rozplakała się, tym razem donośnie. – O, Boże – wyrzuciła z siebie i otarła twarz.

– W porządku – powiedziała Patty, podając jej chusteczkę. – Mówię ci, wszystko się ułoży.

\*

Jasne słońce zalewało schody poczty, gdy Patty wchodziła na nie po południu. Na poczcie spotkała Charliego Macauleya.

– Cześć, Patty – powiedział i skinął głową.

– Charlie Macauley – pozdrowiła go. – Ostatnio wszędzie cię widuję. Jak się masz?

– Żyję. – Charlie zmierzał w stronę drzwi.

Patty wyjęła korespondencję ze skrytki pocztowej i uświadomiła sobie, że Charlie odszedł. Kiedy jednak wyszła, zobaczyła, że siedzi na schodach i ku jej zdziwieniu – chociaż nie było to wcale bardzo dziwne – usiadła obok niego.

– Ho, ho – stwierdziła. – Chyba już nie dam rady wstać. – Mimo słońca czuła przez spodnie chłód betonowego stopnia.

– To nie wstawaj – powiedział Charlie, wzruszając ramionami. – Po prostu posiedźmy.

W kolejnych latach Patty miała wracać myślami do chwili, kiedy siedzieli na schodach, chwili poza czasem. Po drugiej stronie ulicy znajdował się sklep z artykułami metalowymi, a dalej niebieski dom oświetlony popołudniowym słońcem. Patty przyszły na myśl wysokie białe wiatraki. Ich chude, długie ramiona obracały się, ale nigdy razem; tylko czasem dwa wiatraki zaczynały się obracać unisono, z gracją poruszając ramionami na tle nieba.

– Dobrze się miewasz ostatnio, Patty? – spytał w końcu Charlie.

– Tak, wszystko w porządku – odparła i popatrzyła w jego głębokie, zdawałoby się bezdenne oczy.

Po chwili rzekł:

– Jesteś dziewczyną ze Środkowego Zachodu, więc mówisz, że wszystko jest w porządku. Ale nie zawsze musi tak być.

Przyglądała się mu w milczeniu. Zobaczyła, że zapomniał się ogolić nad grdyką; widniała tam kępka siwych włosów.

– Naprawdę nie musisz mi mówić, co nie jest w porządku – mówił Charlie, patrząc prosto przed siebie. – Ja o to nie pytam. Jestem tu tylko po to, żeby powiedzieć, że czasem... – Spojrzał na nią i zauważyła, że ma jasnoblękitne oczy. – Że czasem sprawy nie wyglądają najlepiej, o nie. Nie zawsze jest świetnie.

Patty chciała powiedzieć: och, i położyć dłoń na jego dłoni. Wiedziała, że Charlie mówi o sobie. Och, Charlie, pragnęła powiedzieć. Siedziała jednak obok niego w milczeniu, a ulicą Main przejechał jeden, potem drugi samochód.

– Lucy Barton napisała wspomnienia – powiedziała w końcu Patty.

– Lucy Barton. – Charlie patrzył przed siebie, mrużąc oczy. – Dzieci Bartonów, Jezu, ten biedny najstarszy chłopak. – Nieznacznie potrząsnął głową. – Jezu Chryste. Biedne dzieciaki. Chryste Nazareński. – Spojrzał na Patty. – To jest pewnie smutna książka.

– Wcale nie. Przynajmniej ja tak nie uważam. – Po namyśle Patty dodała: – Dzięki niej poczułam się lepiej. Dzięki tej książce poczułam się o wiele mniej samotna.

– O nie. – Charlie pokręcił głową. – Nie, zawsze jesteśmy samotni.

Dłuższą chwilę siedzieli w słońcu w zgodnym milczeniu.

– Nie zawsze jesteśmy samotni – powiedziała wreszcie Patty.

Charlie spojrział na nią bez słowa.

– Mogę cię o coś spytać? – odezwała się Patty. – Czy ludzie uważali, że mój mąż jest dziwny?

Charlie czekał, jak gdyby się zastanawiał.

– Może. Jestem ostatnią osobą w mieście, która mogłaby wiedzieć, co myślą ludzie. Sebastian wyglądał mi na dobrego człowieka. Cierpiącego. On cierpiał.

– Mhm. Owszem – przyznała Patty.

– Przykro mi z tego powodu – powiedział Charlie.

– Wiem. – Jasne światło słoneczne oświetlało niebieski dom.

Minęło wiele czasu, zanim Charlie znowu spojrział na Patty. Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, jednak potrząsnął głową i zamknął usta. Patty poczuła – choć nie wiedziała, co to było – że rozumie, co chciał powiedzieć.

Przelotnie dotknęła jego ręki i siedzieli dalej w słońcu.

---

[\*] *Nicely* (ang.) – ładnie, miło, grzecznie, uprzejmie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

# PEKNIĘCIE

Kiedy Linda Peterson-Cornell zobaczyła kobietę mającą spędzić tydzień w ich domu, pomyślała: Och, to właśnie ta. Nazywała się Yvonne Tuttle, a przyprowadziła ją inna kobieta z festiwalu fotograficznego, Karen-Lucie Toth, która stała bez słowa obok Yvonne, gdy Linda ją witała. Yvonne była bardzo wysoka, miała nieco falujące brązowe włosy do ramion; dziesięć lat wcześniej jej twarz mogła być całkiem ładna. Teraz zmarszczki pod oczami psuły efekt niebieskich oczu, poza tym za bardzo się malowała jak na kogoś, kto najwyraźniej przekroczył czterdziestkę; Linda miała pięćdziesiąt pięć lat. Z powodu sandałów na wysokich korkowych koturnach Yvonne wydawała się jeszcze wyższa. Na ich widok Linda nabrała przekonania, że Yvonne musi pochodzić z prostej rodziny. Buty zawsze cię zdradzą.

W ogrodzie Lindy i Jaya Peterson-Cornellów stały dwie rzeźby Alexandra Caldera, obie po tej samej stronie dużego jasnoniebieskiego basenu; w domu, na ścianach w salonie wisiały dwa obrazy Picassa i praca Edwarda Hoppera. Na końcu pochyłego korytarza prowadzącego do części gościnnej znajdował się wczesny Philip Guston.

– Chodźcie – poleciła Linda i obie kobiety ruszyły za nią korytarzem, który za zakrętem przechodził w długi przeszklony chodnik, wychodzący na część gościnną. Linda odprawiła pokojówkę skinieniem głowy, potem czekała, aż Yvonne coś powie. Ta jednak rozglądała się tylko wokół siebie, z dłonią zaciśniętą na rączce walizki na kółkach, i nie powiedziała ani słowa na temat domu, który, nawet jeśli ktoś nie rozpoznawał dzieł sztuki na ścianach – zdumiewające, żeby fotograficzka nie знаła się na sztuce – zasługiwał na komentarz. Kilka lat wcześniej dom przerobił natchniony architekt. Pokój gościnny był cały w szkle.

– Gdzie są drzwi? – spytała w końcu Yvonne.

– Nie ma drzwi – odparła Linda.

Mogła też zapewnić, że Yvonne nie musi się martwić o prywatność, ponieważ ona z mężem zajmowali piętro od frontu, a do ogrodu na tyłach nie przylegały żadne domy, jednak Linda tego nie powiedziała. Pokazała za to Yvonne łazienkę po drugiej stronie korytarza, także pozbawioną drzwi. W łazience w kształcie litery V brakowało zasłony czy kabiny prysznicowej;



główka prysznicza po prostu wystawała ze ściany. Nachylenie podłogi umożliwiało odprowadzanie wody.

– W życiu nie widziałam czegoś takiego – powiedziała Yvonne, na co Linda odparła, że wszyscy tak mówią.

Karen-Lucie Toth przez cały czas stała w milczeniu obok Yvonne. Była najślawniejszą fotograficzką letniego festiwalu, która przyjeżdżała rokrocznie. Linda wiedziała, że Karen-Lucie zapytała, czy Yvonne Tuttle mogłaby prowadzić zajęcia tego lata, a władze festiwalu wyraziły zgodę, chociaż dokonania Yvonne były nieco poniżej tego, czego zwykle wymagano. Jednak nikt z organizatorów festiwalu nie chciał stracić Karen-Lucie. Studenci ją uwielbiali, jej prace cieszyły się powszechnym uznaniem, a ponadto mąż Karen-Lucie trzy lata wcześniej rzucił się z dachu Sheratona w Fort Lauderdale. Zdaniem Lindy Karen-Lucie Toth uchodziło na sucho wszystko, włącznie z manierami. Kiedy Linda powiedziała do Karen-Lucie: – Chyba jeszcze nigdy nie byłaś w tym domu. – Karen-Lucie, również wysoka, też szatynka – według Lindy mogłyby uchodzić za siostry – powiedziała tylko z tym swoim niezwykle wyraźnym akcentem z Alabamy: – Nie byłam.

Potem Yvonne i Karen-Lucie poszły sobie, a Linda widziała przez okno kuchenne, jak oddalają się ulicą, rozmawiając z ożywieniem, i miała pewność, że rozmawiają o niej. Linda była zazdrosna o Karen-Lucie Toth – wiedziała o tym, nie tłumiała tego uczucia – ponieważ tamta była sławna, nie miała dzieci i wciąż zachowywała urodę, a także dlatego, że nie miała męża. Linda chciałaby, aby jej mąż, którego inteligencja kiedyś robiła na niej takie wrażenie, po prostu znikł.

\*

W miasteczku, gdzie odbywał się festiwal fotograficzny, położonym około godziny drogi od Chicago, znajdowały się biblioteka, szkoła, kościół oraz jasnoczerwony sklep z artykułami metalowymi z rzędem słoików na wystawie. Poza tym były tam dwie kawiarnie, trzy restauracje i bar, gdzie w nocy często występowały zespoły. Spore, stare, dobrze utrzymane domy w pobliżu centrum miasteczka miały werandy, o tej porze roku zastawione doniczkami z petuniami i geranium. Wokół rosły wysokie dęby i orzechy włoskie, a gałęzie glediczi i czeremchy kołysały się jak wahadła, toteż kiedy w parku ani na szkolnym dziedzińcu nie bawiły się dzieci, słyszało się szept drzew, czasem także podzwanianie jesionowych liści. Prywatne liceum, które

kilka lat temu zbankrutowało i zostało zmuszone do zamknięcia, wciąż oferowało – w ograniczonym zakresie – pomieszczenia na festiwal fotograficzny. Aby dostać się do tych budynków, należało się przedzierać ścieżkami tak zarośniętymi przez krzaki i konary drzew, że zabudowania zaledwie majaczyły w dali. Yvonne Tuttle powiedziała Karen-Lucie Toth, że miasteczko wygląda bajkowo, a Karen-Lucie przyznała jej rację. Właśnie dotarły do budynku, gdzie odbywało się przyjęcie powitalne.

Niska i uderzająco chuda dyrektorka festiwalu Joy Gutterson miała czarne loki. Podziękowała Yvonne za przybycie i dodała, że z radością przyjmie też każdą przyjaciółkę Karen-Lucie. Yvonne odniosła wrażenie, że podczas rozmowy Joy przez cały czas wpatrywała się w sufit, a gdy dyrektorka się oddaliła, Yvonne podzieliła się tym spostrzeżeniem z Karen-Lucie, która powiedziała: – Och, porozmawiamy później.

W tej właśnie chwili podeszła do nich kobieta ubrana w stylu lat sześćdziesiątych, w toczku rozslawionym przez Jackie Kennedy, w kusym płaszczyku, z torebką pasującą do szpilek, a gdy objęła Karen-Lucie, Yvonne zobaczyła, że to mężczyzna.

– Szaleję na punkcie Karen-Lucie – zwrócił się do Yvonne, a Karen-Lucie ściągnęła usta w ciup i powiedziała: – Kochaneczku, jesteś najśłodszym chłopcem, jakiego znam.

– Wyglądacie jak siostry – powiedział mężczyzna.

Pod makijażem widniał zarost. Subtelne rysy twarzy miały niemal doskonałe proporcje.

– Jesteśmy siostrami – odparła Yvonne. – Rozdzielono nas po porodzie.

– Brutalnie – dodała Karen-Lucie. – Ale znowu jesteśmy razem. Spójrz na tę słodką torebkę, którą trzyma kochaneczek.

– Jak ci na imię? – spytała Yvonne.

– Tomasina. Tutaj. W domu jestem Tom. – Mężczyzna z gracją wzruszył dziewczęco ramionami.

– Rozumiem – powiedziała Yvonne.

\*

Bez słowa komentarza Linda położyła się do łóżka obok męża, Jay także

nic nie powiedział, chociaż nie było typowe, by Linda oglądała razem z nim. Na laptopie trzymanym przez Jaya na kolanach patrzyli na Yvonne, która wróciła tak późno, że ani mąż, ani żona nie czekali już na nią w salonie. Teraz Yvonne rzuciła klucze na łóżko, a z głośników dobiegło jej westchnienie. Yvonne przytknęła palce do ust i rozejrzała się dokoła. Potem poszła do łazienki i utkwiała wzrok w prysznicu, przez co oglądającym wydało się, że patrzy prosto na nich, aż Lindę ogarnął lęk, jednak Yvonne – ku zdziwieniu Lindy – nie weszła pod prysznic, tylko skorzystała z toalety, umyła twarz, wyszorowała zęby, wróciła do pokoju gościnnego, gdzie znów stanęła wpatrzona w wielkie szyby, za którymi czerniła się noc. W końcu otworzyła małą walizkę i rozebrała się. Ciało prezentowało się bardziej młodzieńczo, niż Linda oczekiwała, ale tak to już jest w przypadku wysokich osób. Piersi wciąż wyglądały jędrnie, a uda – w nieco ziarnistym świetle kamery – były gładkie. Nie zdejmując majteczek, Yvonne przywdziała dwuczęściową białą piżamę, która wraz z włosami upiętymi w kucyk sprawiła, że Yvonne wyglądała niemal równie młodo jak ich córka. Ale oczywiście nie była taka młoda. Była kobietą w średnim wieku, z dala od rodzinnej Arizony; sięgnęła po komórkę, a sygnał zabrzączał cicho w laptopie na kolanach Jaya.

– Mów cicho – usłyszeli głos Yvonne. – Puściłam cię przez głośnik, bo właśnie się rozpakowuję. Ten dom gościnny, czy pokój, jest bardzo oddalony, ale nigdy nie wiadomo. Jezu.

– Hej, maleńka – odezwała się Karen-Lucie Toth. – Wszystko gra?

– Nie – odparła Yvonne. Głos był przytłumiony, ponieważ odwracała się, wyjmując rzeczy z walizki. – Tu jest tak dziwacznie, że ciarki przechodzą, Karen-Lucie. Jak ja mam zasnąć?

– Weź środek nasenny, kochanie. Wiesz, słyszałam, że oni odziedziczyli majątek po ojcu, który siedział w plastiku. Co to niby znaczy, siedzieć w plastiku? Mówię o dziwakach, u których się zatrzymałaś. Robią w plastiku. Możesz wziąć coś na sen, maleńka?

– Tak, wezmę. – Mówiąc to, Yvonne usiadła na łóżku, poszperała w torbie. Linda i Jay ujrzeli, jak Yvonne przygląda się zmrużonymi oczami buteleczce, po czym ją otwiera. Z tej samej torby wyjęła dwie minibuteleczki z winem, jakie można kupić w samolocie. Odkręciła jedną z nich i przechyliła. – Wiem, że jesteś zmęczona – powiedziała. – Tak naprawdę nic

mi nie jest. Co do tego Toma, czy Tomasiny, jego żona nie ma nic przeciwko?

– Nie, pod warunkiem że robi to z dala od domu i nie w obecności dzieci.

– Ja bym się nie zgodziła.

– Ale gdybyś naprawdę go kochała... – powiedziała Karen-Lucie.

– Może wtedy nie miałabym nic przeciwko temu. Sama nie wiem. Dobranoc. Kocham cię.

– Ja też cię kocham, maleńka.

Linda zerknęła na męża z profilu i zauważyła:

– Ona nawet się nie umyła. Po całodziennej podróży.

Jay przyłożył palec do ust i skinął głową. Linda wstała i jak zwykle poszła do sypialni po drugiej stronie korytarza. Odkąd ich córka wyprowadziła się, mówiąc o niej te okropne rzeczy, Linda nie sypiała z mężem.

\*

Siedem lat wcześniej w miasteczku zaginęła młoda dziewczyna. Uczennica drugiej klasy liceum, cheerleaderka, zajmowała się też dziećmi wiernych Kościoła episkopalnego, do którego należała jej rodzina. Śledztwo objęło więc wiele osób, a wśród mieszkańców zapanował ogromny niepokój. Ludzi połączyła głęboka niechęć do mediów, które opadły miasteczko jak biblijna plaga kamer, dużych włochatych mikrofonów oraz furgonetek z wielkimi antenami satelitarnymi na dachach przeczesującymi powietrze. Potem jednak mieszkańców podzieliły osobliwe sojusze, które formowały się i pękały w zależności od tego, jaka teoria akurat przeważała, na przykład wtedy, gdy podejrzewano instruktora nauki jazdy. Byli też tacy, którzy uważali, że dziewczyna uciekła, sugerowali niewyobrażalne okropności, do jakich miało dochodzić w jej domu, co potęgowało grozę i udrękę nieszczęsnych rodziców i rodzeństwa zaginionej. Taki stan rzeczy utrzymywał się przez dwa lata.

W tym okresie Linda Peterson-Cornell żyła z głębokim uczuciem niepokoju w piersiach, a na widok męża czytającego doniesienia prasowe i śledzącego sprawę w telewizji często oblewała się potem. Myślała, że traci

zmysły. Nie miała pojęcia, czemu jej ciało reaguje w ten sposób, dlaczego umysł nie jest w stanie zachować spokoju. Kiedy wszystko się skończyło, wreszcie, nareszcie się skończyło, zapomniała, że tak się czuła. Tylko czasem sobie o tym przypominała, ale dojmujące doznanie mroku w trzewiach niemal zatarło się całkowicie. Ilekroć przypominała sobie tamten czas, myślała: Jestem głupią kobietą, przecież nie mam na co się uskarżać, Jezu Chryste.

W drugą noc festiwalu Linda czytała w salonie u boku męża, kiedy do domu weszła Yvonne, minęła ich i ruszyła na dół.

– Dobranoc – rzuciła, machając ręką.

– Jak się miewasz? – zawołał Jay. – Jak wykłady?

– Świetnie! – dobiegła odpowiedź z dołu. – Jutro mam wcześniej zajęcia. Dobranoc – powtórzyła.

Linda i Jay usłyszeli cichy szum prysznic – niezbyt długi – i jeszcze dwie godziny czytali w salonie.

W środku nocy – mimo działania pigułek nasennych – Linda uświadomiła sobie, że jej mąż bierze prysznic. Nie było w tym nic szczególnie niezwykłego, ale sprawiło, że poczuła się nieswojo. Zawsze tak było, a tej nocy przypomniało Lindzie o tym, co czuła przed siedmioma laty. Kojąca świadomość, że tamten okres już się skończył, pozwoliła jej ponownie zasnąć.

\*

Każdej nocy Karen-Lucie i Yvonne chodziły do baru z muzyką na żywo. Każdego wieczoru pytały Tomasinę, czy ma ochotę im towarzyszyć, i za każdym razem Tomasina odpowiadał, że nie, woli wrócić do siebie, zadzwonić do żony i dzieci oraz przejrzeć rzeczy wymagane na następną dzień zajęć.

– On nie jest złym fotografikiem – powiedziała Karen-Lucie do Yvonne. – Gdyby tylko angażował się w to całkowicie, mógłby być całkiem dobry. Ale on nie kocha fotografii z całego serca. Przyjeżdża tu tylko dlatego, że...

Przyjaciółki jednocześnie skinęły głowami i sięgnęły po chipsy kukurydziane w koszyku na stole.

– Boże, pobłogosław jego duszę – dokończyła Karen-Lucie.

– Jak najbardziej. I duszę jego żony.

– Jasna cholera! – Karen-Lucie zbliżyła dłoń do ust. – Yvie, zostałam zdradzona. Zdradzona. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Yvonne przytaknęła.

– Więcej nie powiem.

Yvonne przytaknęła ponownie.

– Mam złamane serce – powiedziała Karen-Lucie.

– Wiem – odparła Yvonne.

– Złamane. On złamał mi serce. – Karen-Lucie pstryknęła chipsa, który poszybował nad stołem.

Po pewnym czasie Yvonne zapytała:

– Dlaczego Joy przewraca oczami, kiedy ze mną rozmawia?

– Och. To dlatego, że wiele lat temu jej syn zabił dziewczynę, zakopał na podwórku za domem i w końcu wyznał to matce. Tak, kochanie, nie żartuję. – Karen-Lucie skinęła głową. – Wsadzili go do więzienia na resztę życia, niezależnie od tego, jak krótkie czy długie będzie. Joy rozwiodła się z mężem, któremu przypadły w udziale wszystkie pieniądze, byli bogaci, ale on dostał wszystko. Teraz Joy mieszka za miastem w przyczepie, a jeśli ją odwiedzisz, zobaczysz jej zdjęcia z synem. Ona trzyma dłoń na jego piersi w serdecznym geście, ale w istocie zasłania numery na stroju więziennym, więc wygląda to tak, jakby miał na sobie granatową koszulę.

– Mój Boże – wykrztusiła Yvonne.

– Wiem.

– Ile on miał lat, kiedy to się stało?

– Chyba piętnaście. Może szesnaście? Sądzili go jak pełnoletniego, bo o wszystkim powiedział dopiero po blisko dwóch latach. Po prostu zakopał ją na podwórku. Gdyby przyznał się od razu, nie dostałby dożywocia. Tak jednak dostał. Bez możliwości ułaskawienia.

– Żaden pies nie wykopał ciała?

– Nie, proszę pani, nic podobnego się nie stało. Chyba zakopał ją dostatecznie głęboko. – Karen-Lucie uniosła dwa palce. – Po dwóch latach mówi: „Mamo, muszę ci coś powiedzieć”.

– Co się stało z rodziną tej dziewczyny?

– Wyprowadzili się. Były mąż Joy też się wyniósł. Nie chce mieć nic wspólnego z synem. Umywa ręce. Joy jeździ co miesiąc do Joliet odwiedzać syna.

Yvonne powoli pokręciła głową i przeczesła palcami włosy.

– Kurczę – powiedziała.

Po dłuższej chwili milczenia Karen-Lucie odezwała się:

– Strasznie mi przykro, że nie masz dzieci, Yvie. Wiem, że bardzo chciałaś je mieć.

– No tak – odparła Yvonne. – Jest, jak jest.

– Wiem, że byłabyś dobrą mamą.

– Samo życie – stwierdziła Yvonne, patrząc na przyjaciółkę. – Po prostu pieprzone życie.

– Owszem – przyznała Karen-Lucie. – Tak właśnie jest.

\*

Nazajutrz, czyli trzeciego ranka po przyjeździe, Yvonne Tuttle podeszła do Lindy przy zlewie w kuchni. Linda nie wiedziała, że Yvonne jeszcze jest w domu i zdziwiła się, gdy tamta stanęła za nią, kiedy Linda myła filiżankę po kawie.

– Widziałaś moją białą piżamę? – zapytała wprost Yvonne.

– Dlaczego miałabym widzieć twoją piżamę? – odparła Linda, odstawiając filiżankę na suszarkę.

– Bo jej nie ma. A rzeczy tak po prostu nie znikają. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Nie wiem. – Linda wytarła dłonie w ręcznik kuchenny.

– Moja biała piżama, którą każdego ranka kładę pod poduszką, zniknęła.  
– Yvonne rozłożyła szeroko ręce. – Wyparowała. Musi gdzieś być, więc

pomyślałam, że spytam. Może pokojówka zabrała ją do prania, albo coś w tym rodzaju.

– Pokojówka nie zabrała twojej białej pizamy.

Yvonne przyglądała się jej dłuższą chwilę.

– Aha – powiedziała.

Linda poczuła, jak ogarnia ją niemal niekontrolowana wściekłość.

– W tym domu nie kradniemy rzeczy.

– Ja tylko pytałam – wyjaśniła Yvonne.

\*

W ostatni weekend festiwalu zorganizowano wystawę w tej samej sali dawnego liceum, gdzie odbyło się przyjęcie powitalne. Po jednej stronie umieszczono zdjęcia wykładowców, po drugiej studentów. Yvonne stała z boku razem z Karen-Lucie i Tomasina, patrząc, jak ludzie przechadzają się powoli po sali.

– Nie cierpię tego – powiedziała Yvonne.

Tomasina przełożył torebkę na drugi przegub.

– Karen-Lucie, czy przywykłaś do tego, że ludzie gapią się na twoje zdjęcia? Spójrz, jak tamta kobieta przekrzywia głowę. Wyraźnie się zastanawia. Zastanawia się, co znaczą pęknięcia na twoich fotografiach.

– Znaczą, że mam popękany umysł – powiedziała Karen-Lucie.

Tomasina uśmiechnął się do niej ciepło.

– Lubię cię tak, że jestem gotów pęknąć.

– Chciałabym cię zabrać do domu, kochanie. Wiesz, tamta kobieta jest zamożną koneserką sztuki. Sra forszą. Niech po prostu kupi tę pracę.

– O, Boże, ja u niej mieszkam – powiedziała Yvonne. – Chodźmy stąd.

– Natychmiast, kochanie – zgodziła się Karen-Lucie.

Słońce mocno świeciło i wszyscy troje przez chwilę stali na drewnianej werandzie, mrużąc oczy. Tomasina wyjął okulary przeciwsłoneczne.

– Ale upał – powiedział. – Nie wiedziałem, że jest tak gorąco. Mam



pończochy.

– Ładnie wyglądają – powiedziała Yvonne. – Ty ładnie wyglądasz.

– Czyż on nie wygląda ładnie zawsze? – Karen-Lucie posłała Tomasinie pocałunek. – Boże, nawet królikom pieprzącym się w worku nie jest tak gorąco.

– Chłopcy i dziewczęta – powiedział nagle ktoś za ich plecami. Był to Jay Peterson-Cornell, który właśnie wyszedł tymi samymi drzwiami, którymi oni przed chwilą. – Macie dość wystawy? – spytał i wyciągnął rękę do Karen-Lucie. – Jestem Jay. – Słońce błysnęło w jego okularach, potem ukazały się oczy. – Bardzo miło mi cię poznać. Uwielbiam twoje prace.

– Dziękuję – odparła Karen-Lucie.

– Mogę wam, dziewczyny, przynieść coś chłodnego do picia?

– Obawiam się, że jesteśmy umówione – wykręciła się Karen-Lucie.

– Rozumiem. – Jay zwrócił się do Yvonne. – W tym tygodniu niewiele cię widzimy. Jak ci się żyje w naszym miasteczku? A może wydaje ci się nudne w porównaniu z ekscytującym Tucson?

– Podoba mi się wasze miasto. – Yvonne poczuła, jak pot spływa jej po plecach.

– Chodźcie już. Miło było pana poznać, panie Jay. – Karen-Lucie ruszyła w stronę schodów, Yvonne i Tomasina poszli za nią. Cała trójka szła gęsiego leśną ścieżką do miasteczka, nie odzywając się, dopóki nie wyszli na polanę przy kościele.

– Muszę się napić – powiedziała Yvonne.

W barze Tomasina powiedział:

– Zauważyłyście, że on w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi?

– Oczywiście, kochanie – odparła Karen-Lucie. – On nie zwraca uwagi na kogoś, z kim nie może się przespać.

– Nie wiem, dlaczego na widok tego człowieka przechodzą mnie ciarki – wyznała Yvonne.

– Bo to świr. Mówię ci. – Karen-Lucie wycelowała w Yvonne pałeczkę do drinka.

– Nie wygląda jak świr. Wygląda normalnie. – Yvonne wzięła chipsa i odłożyła do koszyka.

Karen-Lucie westchnęła głęboko.

– W młodości chyba przez sto lat pracowałam jako kelnerka i zapewniam cię, dziecko, że nauczyłam się pewnych rzeczy. Nauczyłam się poznawać męskie oczy. – Karen-Lucie postukała się pałeczką w policzek. – Ten facet, moja miła, uważa, że jesteś starym, wysokim śmieciem. To samo uważałby na mój temat, ale ja otrzymałam kilka nagród, więc woli powiesić mnie na ścianie. Kiedy ty otrzymasz nagrody, a tak się stanie, Yvie, zechce cię mieć na ścianie obok swojego pieprzonego chłodnego Picassa. Póki co wacha twoje majtki i co noc wpycha sobie pod poduszkę twoją śliczną piżamkę.

– Dziękuję – powiedziała Yvonne, kiwając głową. – Serio.

– Ho, ho – włączył się Tomasina. – Słyszę tu smutne rzeczy.

Karen-Lucie poważnie spojrzała na profil Tomasiny.

– O nic się nie martw. Radzisz sobie doskonale.

\*

Linda i Jay Peterson-Cornellowie czekali w salonie, aby porozmawiać ze swoim gościem. Yvonne co wieczór wracała późno, a po powrocie rzucała tylko: „Cześć, dobranoc” i natychmiast schodziła na dół w swoich sandałach na koturnach.

Tej nocy, gdy Jay i Linda poszli na wystawę, Jay zauważył:

– Ona w ogóle się do nas nie odzywa.

Nie patrząc na męża, przewracając kartki czasopisma, Linda powiedziała: – Kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy, pomyślałam, że z nią uciekniesz.

– Naprawdę? – zaśmiał się Jay. – Z powodu jej lekko zdzirowatego wyglądu osoby z klasy pracującej?

– Chyba nie chodzi tylko o wygląd – stwierdziła Linda.

– Nie. Najwyraźniej nie.

Linda powinna była wyczuć – i faktycznie wyczuła – podniecenie męża. Już nie oglądała z nim Yvonne w sypialni czy łazience. Nie wspomniała o tym, że Yvonne zgłosiła zaginięcie białej piżamy. Ostatniej nocy pobytu

Yvonne Linda siedziała z mężem w salonie, aż około północy weszła Yvonne.

– Ostatnio zarywasz noce – zawołał Jay.

– Zgadza się. Śpijcie dobrze – odkrzyknęła Yvonne i zaczęła schodzić do siebie.

– Mogłabyś tu na chwilę przyjść? – zawołał Jay. Wciąż siedział u boku Lindy, która trzymała na kolanach gazetę.

Po chwili Yvonne wróciła podestem na parter.

– Tak? – zapytała.

– Masz rodzinę? – spytał Jay. – Jesteś rozwiedziona?

– Czy jestem rozwiedziona?

– O to właśnie pytałem.

– Jezu. – Yvonne przyłożyła dłoń do czoła. – Co za zagajenie rozmowy. Czy o to zwykle pytasz poznane kobiety w średnim wieku?

– Wyglądasz na rozwódkę – stwierdził Jay.

Yvonne potrząsnęła szybko głową.

– Dobra. Przepraszam, ale idę spać.

– Mieszkasz u nas już ponad tydzień – odezwała się Linda. – Ani razu z nami nie rozmawiałaś. Chyba rozumiesz, że czujemy się... odtrąceni. Otworzyliśmy przed tobą swój dom.

– Ach, no tak, przepraszam. – Słowa Lindy chyba dotarły do Yvonne, a Linda uświadomiła sobie, jak mało pewności siebie ma ta kobieta. Matka pewnie próbowała ją właściwie wychować, ale Yvonne wyniosła z domu cały bagaż desperacji. Teraz weszła do salonu. – Nie chciałam być niegrzeczna. Po prostu każdej nocy czułam się bardzo zmęczona.

– Usiądź – powiedział serdecznie Jay i skinął głową w stronę krzesła.

Kobieta usiadła. Miała bardzo długie nogi, a krzesło było bardzo niskie, więc podciągnęła kolana jak konik polny. Linda widziała, że tamtej jest niewygodnie, ale ani trochę jej nie współczuła.

– Mieszkasz w Arizonie? Od dawna? – spytała Linda.

– Tak – odparła Yvonne. – W sumie przez większość dorosłego życia.

– Nasza córka myślała o przeniesieniu się do Nowego Meksyku, ale w końcu wyjechała na wschód – powiedział z uśmiechem Jay. – Teraz mieszka w Bostonie.

– Tak? Ile ma lat?

– Dwadzieścia trzy i ogromnie cieszy się z niezależności od nas. To naturalne w tym wieku. – Jay wciąż się uśmiechał. – Ma brata bliźniaka, który mieszka w Providence i również cieszy się z niezależności.

– Karen-Lucie wykonała ostatnio świetne prace – włączyła się Linda.

– Prawda? – Yvonne pochyliła się w przód, ale kolana miała za wysoko, toteż musiała się odchylić i wyprostować nogi. Wyglądała bez wątpienia zalotnie. – Uważam, że cała seria z trzęsieniem ziemi jest genialna. Te popękane talerze. – Yvonne z podziwem potrząsnęła głową i ponownie spróbowała się wyprostować.

– Niektórzy artyści mocno rywalizują. Nawet z przyjaciółmi – zauważył Jay. – Ciebie chyba stać na szczodrość, bo twoje własne prace odniosły sukces. Pragnę dodać, że zasłużony.

– Jestem pewna, że jesteś szczodra niezależnie od tego – powiedziała Linda. Odniosła wrażenie, że Yvonne ma się na baczności. – Przyniosę wino – zaproponowała. Nie ulegało wątpliwości, co czuła. W przeszłości Jay odnosił sukcesy, ale ona nigdy nie czuła się współniczką.

Dwadzieścia minut później Linda przeprosiła i poszła się położyć.

Czujnie nasłuchiwała i wkrótce usłyszała, jak Yvonne schodzi na dół do swego pokoju. Drzwi pokoju męża zamknęły się cicho i Linda zażyła środek nasenny.

Przez sen Linda usłyszała przeraźliwy krzyk.

– Kochanie – powiedział Jay. Stał w drzwiach jej sypialni, w której paliło się światło. – Wynikła pewna sprawa.

Linda pospiesznie usiadła na łóżku, przekonana, że usłyszała dzwonek do drzwi.

– Jay, śniło mi się...

– Pozwól, że ja będę mówił – przerwał jej mąż.

Uśmiechał się do niej, ale Linda odniosła wrażenie, że wygląda inaczej, jak gdyby miał szerszą twarz niż zwykle, w dodatku pokrytą potem. Włożyła szlafrok i ruszyła za Jayem na dół. Kiedy otworzył drzwi, na progu stało dwóch policjantów. Za nimi Linda ujrzała jeszcze jednego funkcjonariusza oraz policjantkę, a na podjeździe dwa białe wozy policyjne. Policjanci zachowywali się bardzo uprzejmie.

– Czy może nam pan pokazać pokój gościnny? Ten, w którym zatrzymała się Yvonne Tuttle?

– Oczywiście – odparł Jay. – Zaprowadź ich, Lindo.

Czując suchość w ustach, Linda ruszyła podestem do części gościnnej. W sypialni panowała ciemność, ale gdy Linda sięgnęła do włącznika światła, policjantka ją powstrzymała.

– Nie, proszę zostawić wszystko, jak jest. – Policjant zaś dodał:

– Pani Peterson, proszę wrócić na górę, dobrze?

Linda odwróciła się szybko i zawołała do Jaya.

Uzbrojeni policjanci stali w kuchni, a Jay powoli potrząsał głową.

– Od początku wydawała nam się dziwna, ale chyba rozumiecie, że nie chcę więcej o tym rozmawiać bez adwokata. Reprezentuje mnie Norm Atwood i wiecie, co on powie. To niewiarygodna, śmieszna historia. Chyba nie chcecie, żebym wytoczył proces.

– Może poprosi pan adwokata, żeby spotkał się z nami na posterunku? – powiedział jeden z policjantów.

– Doprawdy? – Jay się uśmiechnął. – Wiem, że szcycicie się drobiazgowym podejściem do pracy, ale to naprawdę skandal.

– Gdzie jest Yvonne? – zapytała nagle Linda, kiedy mężczyźni gromadzili się przy drzwiach.

– W szpitalu, proszę pani – odparł policjant.

– Twierdzi, że próbowałem ją zgwałcić – dodał Jay.

– Yvonne? Naprawdę? Ależ to szaleństwo – stwierdziła Linda.

– Oczywiście, że to szaleństwo – powiedział spokojnie Jay. – Kochanie, niedługo wrócę.

Policjantka i policjant zostali w domu.

– Co pani robi? – spytała Linda.

– Proszę usiąść, pani Peterson. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. – Bardzo uprzejmie zaczęli pytać o Yvonne. – Jaka ona była?

– Och, okropna! – odparła Linda.

– W jakim sensie?

– Zachowywała się grubiańsko, w ogóle z nami nie rozmawiała. – Nagle Linda przypomniała sobie o piżamie i też o tym wspomniała. – Oskarżyła mnie, że ukradłam jej piżamę. – Policjantka pokiwała głową współczująco, a policjant coś zanotował.

– Czy wobec pani męża też zachowywała się grubiańsko?

Linda ponieważś zdała sobie sprawę, że nie należało niczego mówić. Gdy oznajmiła, że nic więcej nie powie, przyjęli to ze zrozumieniem. Wyjaśnili, że wkrótce otrzymają nakaz rewizji pokoju gościnnego, skąd, być może, zabiorą dowody w postaci prześcieradeł, poszewek na poduszki i tym podobnych rzeczy.

\*

Nazajutrz Jay spał ciężko w ich sypialni. O świcie Norm Atwood przywiózł go do domu. Jay został oskarżony o molestowanie trzeciego stopnia i wypuszczony za kaucją. Norm wyjaśnił, że oskarżenie zostało najpewniej spowodowane faktem, że Yvonne wpadła w histerię; o trzeciej nad ranem biegła ulicą w samych majteczkach i koszulce, zapukała do nieznanym, a na przegubie miała mały siniak, mogący wskazywać na szamotaninę. Norm twierdził, że prokuratorowi stanowemu nie będzie łatwo dowieść, że nie doszło do schadzki za obopólną zgodą, bo bez świadków udowodnienie zawsze przysparzało trudności.

Teraz Linda siedziała bez ruchu na podwórku za domem, przy oślepiająco niebieskim basenie. Komórka w kieszeni zadzwoniła i Linda odebrała.

– Pieprz się, mamó – powiedziała jej córka. – Pieprzcie się oboje. Nigdy nie wrócę do domu.

Linda wstała, weszła do salonu i usiadła na końcu kanapy. Czuła się nieco odcieleśniona. Miała wrażenie, że znów jest młoda, że szkolnymi koleżankami idzie drogą w letni wieczór, mija pola soi i kukurydzy, cały świat przepelnia jasna zieleń nowego życia, słońce zachodzi, malując niebo splendorem, pamiętała też dotyk powietrza na odsłoniętych ramionach, poczucie wolności, niewinność, śmiech...

Norm Atwood załatwił Lindzie po południu spotkanie z jej własnym adwokatem w Layton. Norm wyjaśnił, że jako żona nie musi zeznawać przeciwko Jayowi, nie musi mówić niczego, co od niego usłyszała. Jednak pod przysięgą musi wyznać wszystko, co widziała. Linda usiłowała to zrozumieć, siedząc na kanapie, ale miała poczucie, jakby wszystko w niej zastopowało; znalazła się na jałowym biegu. Powiodła wzrokiem wokół siebie. Obojętność obrazu Hoppera na ścianie była tak dojmująca, że stała się wręcz osobista, jak gdyby namalowano go specjalnie na tę okazję. Twoje problemy są kolosalne i bez znaczenia, zdawał się mówić obraz, istnieje jedynie blask słońca na bocznej ścianie domu. Linda wstała, przeszła do jadalni i usiadła przy długim stole. Kilka lat wcześniej ich córka znalazła coś w komputerze ojca i zaczęła krzyczeć: „Tata pieprzy kobiety w domu, a ty nie kiwniesz palcem? Jesteś żałośniejsza niż on, mamó, rzygać mi się chce na twój widok”.

Wszystko zaczęło się jako prywatna gra, sposób przełamania domowej nudy. Dzięki temu miała powstać śmiała, wyzywająca Linda Peterson-Cornell, którą mąż bardziej by doceniał.

\*

Kiedy Linda dorastała na północy stanu Illinois, jej ojciec zarządzał farmą produkującą paszę kukurydzianą. Jej matka, gospodyni domowa, była roztargniona, lecz dobrą kobietą. Nosiły nazwisko Nicely. Linda i jej dwie siostry znano jako śliczne córeczki państwa Nicely. Dzieciństwo upływało przyjemnie, aż matka nagle, tak nagle, że Linda miała wrażenie, że stało się to w ciągu jednego dnia, kiedy była w szkole, przeprowadziła się do obskurnego mieszkanka, co było najgorszą rzeczą, jaką Linda mogła sobie wyobrazić, gorszą nawet, niż gdyby matka umarła. Kilka miesięcy później matka chciała wrócić do domu, ale ojciec Lindy na to nie pozwolił. Obraz matki mieszkającej w małym domu – już po wyprowadzce z mieszkanka – bez przyjaciół, którzy odsunęli się przestraszeni, jak gdyby matczyzna próba

wybicia się na wolność była śmiertelną, zaraźliwą chorobą, bez córek, które stały po stronie ojca, wszystko to było bez wątpienia najgorszym wydarzeniem w życiu Lindy. Tydzień po maturze Linda poślubiła chłopaka nazwiskiem Bill Peterson, z którym rozwiodła się rok później. Na studiach w Wisconsin poznała Jaya, który dzięki inteligencji i pieniądzom obiecywał zabrać ją daleko od utrzymującego się obrazu osamotnionej, napiętnowanej matki.

Teraz, gdy Linda siedziała przy stole w jadalni, rozległ się dzwonek do drzwi, chociaż początkowo nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Zadzwoił znowu. Wyjrzawszy zza zasłony, nikogo nie zobaczyła, więc ostrożnie uchyliła drzwi. Na progu stała chuda Joy Gutterson.

– Lindo, po prostu musiałam cię odwiedzić.

– Nie musiałaś – zaprzeczyła Linda. – Nic podobnego. Nie masz ze mną nic wspólnego, słyszysz? Nie masz ze mną nic wspólnego. Odejdź.

– Och, Lindo, właśnie, że mam...

– Nie zamierzam skończyć w jakiejś przyczepie, Joy. – Linda sama zdumiała się, słysząc te słowa; nie miała pojęcia, że je wypowie. Joy też wyglądała na zdumioną. Na twarzy tej niższej od Lindy kobiety pojawił się wyraz dezorientacji.

Może to obopólne zdziwienie powstrzymało Lindę przed zamknięciem drzwi. Joy zdążyła więc potrząsnąć głową i powiedzieć: – Och, Lindo, nieważne, gdzie się mieszka. Przekonasz się o tym. Kiedy człowiek, którego kochasz najbardziej na świecie, spędza dni w celi, ty też jesteś w celi. Nie ma znaczenia, gdzie się znajdujesz. Przekonasz się, kim są twoi prawdziwi przyjaciele. Nie będą tym, kim sądzisz. Możesz mi wierzyć.

Linda zamknęła drzwi na zasuwę.

Poszła do sypialni Jaya, ale wciąż spał głęboko i chrapał, leżąc na wznak. Twarz bez okularów sprawiała wrażenie nagiej; od pewnego czasu Linda nie widziała go śpiącego. Zamknęła drzwi i wróciła na dół. Nie wiedziała, co powie adwokatowi. Norm powiedział, że to zależy od tego, czy Yvonne nadal będzie się upierać przy swoich oskarżeniach. Wiele zależało od Yvonne.

Linda w milczeniu krążyła po domu. Zdawała sobie sprawę, że jej umysł



usiłuje pojąć coś, czego pojąć nie mógł. Pomyślała o Karen-Lucie, która w tej chwili musiała towarzyszyć Yvonne. Wcześniej policjanci przyjechali po rzeczy Yvonne. Linda nie spytała, gdzie ona jest. W zlewie kuchennym stały dwa białe kubki ze śladami po kawie. Linda nie miała pojęcia, kto pił kawę i jak kubki znalazły się w zlewie. Kiedy je myła, nogi się pod nią ugięły. Wyobraziła sobie ławników. Wyobraziła sobie przesadnie umalowaną Yvonne na miejscu dla świadków. Potem pomyślała o kamerach. Dlaczego wcześniej nie przyszły jej do głowy? „Czy razem z mężem oglądała pani kobiety, kiedy się rozbierały, brały prysznic, korzystały z toalety? Od jak dawna wiedziała pani, że mąż je podgląda?”.

\*

W drodze do Layton, kilka kilometrów za miasteczkiem, Linda zatrzymała się na stacji benzynowej. Czowała się jak odsłonięty nerw, dlatego nie wybrała stanowiska samoobsługowego, ale poprosiła pracownika o napełnienie baku. Nagle poczuła, że musi skorzystać z toalety. W okularach przeciwsłonecznych weszła na stację, minęła zapakowane w celofan pączki, ciastka, orzeszki i słodycze. Brud panujący w toalecie ją przeraził. Nie pamiętała, kiedy korzystała z tak brudnej toalety, ale pomyślała: Czemu miałoby to być ważne, skoro nic już nie jest ważne? Umysł miała w proszku, kiedy więc wróciła do środka i wpadła prosto na Karen-Lucie Toth, stanęły, wpatrując się w siebie zdumione. Karen-Lucie też miała na sobie ciemne okulary. Kiedy je zdjęła, Linda pomyślała, że jej oczy wyglądają starzej, są smutne, ale nadal ładne.

– Przestraszyłaś mnie – powiedziała Linda.

– Cóż, ty też mnie przestraszyłaś.

Razem ruszyły przejściem, z dala od klientów. Wysoka Karen-Lucie odezwała się wyniośle: – Przysięgam na Boga, po mojej własnej tragedii sprzed kilku lat czuję czasem, że współczuję wszystkim. Naprawdę. To pewnie jedyne błogosławieństwo, jakie z tego wyniosłam. Ale twój mąż przestraszył moją przyjaciółkę, przestraszył ją solidnie.

– Gdzie ona jest?

– Właśnie odwiozłam ją na lotnisko. Musi wrócić do domu i pójść do lekarza z prawdziwego zdarzenia.

– Posłuchaj – powiedziała Linda. – O niczym nie miałam pojęcia.

Karen-Lucie zmrużyła oczy.

– Nie, to ty mnie posłuchaj. Nie sikaj mi tu i nie wmawiaj, że pada deszcz. Coś jednak musisz wiedzieć o swoim mężu, a kiedy Yvie pójdzie z tym do sądu, a mam, cholera, nadzieję, że tak zrobi, będziesz musiała zeznawać i twoim obowiązkiem jest...

– Nic nie wiem o swoim mężu – powiedziała zimno Linda.

Przez okulary widziała, że Karen-Lucie wygląda przez okno, jakby patrzyła w dal. Linda ujrzała, jak ładne oczy tamtej robią się czerwone.

Karen-Lucie powoli skinęła głową i powiedziała cicho:

– Wiem, dziecko, przepraszam. – Spojrzała na Lindę, ale myślami zdawała się ciągle być daleko. – Nie mnie mówić jakiegokolwiek kobiecie, że powinna zdawać sobie sprawę z tego, co zamierza jej mąż. Zachowałam się jak słoń w składzie porcelany, za co cię przepraszam.

Kiedy człowiek rezygnuje ze zgody na wejście do pomieszczenia, które dawniej wydawało się na wieki zamknięte, niemal zawsze towarzyszy temu zdziwienie. Tak właśnie czuła się oszołomiona Linda tego dnia, stojąc na stacji benzynowej, gdzie słońce padało na chipsy, a Karen-Lucie wypowiedziała słowa współczucia. Współczucia niezasłużonego, bo nawet jeśli Karen-Lucie nie wiedziała, co się dzieje w umyśle jej męża, Linda wiedziała o tym aż za dobrze. Ze słów tamtej właściwie odczytała przyszłość: Yvonne Tuttle i Karen-Lucie nigdy nie wrócą do miasteczka, nie będzie żadnego procesu, nikt nie wspomni o kamerach, a Linda będzie żyła obok męża z poczuciem wolności, ponieważ on zawsze będzie wiedział, gdy będą oglądali wieczorne wiadomości, spacerowali po okolicy lub siedzieli i gawędzili w restauracji, że swoją swobodę zawdzięcza dyskrecji żony. Potem nie miało już być żadnych kobiet, żadne z nich nie miało więcej wejść do pokoju gościnnego ani słonecznego studia ze zdjęciem Karen-Lucie przedstawiającym popękane talerze.

Na stacji benzynowej Linda wyczuła esencję tego wszystkiego. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne, aby spojrzeć w oczy tej kobiecie; zapragnęła wziąć ją za rękę. Zapragnęła nawet – z nagłą, zaskakującą mocą – pogłaskać ją po policzku, jak gdyby Karen-Lucie była śliczną córeczką państwa Nicely, która została ugodzona zniecka, bo wróciła ze szkoły do domu i stwierdziła, że matka zniknęła, choć dziewczyna wcześniej sądziła, że jest

ważna i kochana.

# TEORIA ŁUP W KCIUK

Czekając na nią, Charlie Macauley patrzył przez okno na gęstniejący zmierzch. Na poczeriałym od sadzy murze parkingu leżał zwinięty drut kolczasty, jak gdyby nawet ten zaśmiecony i odstręczający plac motelowy stanowił takie zagrożenie – lub wartość – że natychmiast znalazł się w stanie wojny z resztą świata. Dla Charliego dowodziło to daremności marzeń prezentowanych w oknach wystawowych, mijanych wcześniej w tym mieście położonym pół godziny drogi od Peorii, które wspólnie znaleźli. Owszem, mogłeś kupić dmuchawę do śniegu lub ładną wełnianą sukienkę dla żony, ale pod spodem ludzie pozostawali szczurami, szperającymi w śmieciach w poszukiwaniu jedzenia, szukającymi innego szczura, którego dałoby się przelecieć, moszczącymi sobie nory wśród odłamków cegieł i tak zanieczyszczającymi te nory, że ich wkład w dobro ogólne sprowadzał się do ekskrementów.

Ale tam, po lewej, na wierzchołku klonu z przepaszającą delikatnością rosły na gałęzi dwa różowe listki; jakim cudem dotwały do listopada? Za klonem dało się dostrzec ostatnie promienie ciemniejącego światła dnia; zachodzące słońce szcudrze barwiło niebo. Charlie przyłożył dłoń do policzka i przypomniał sobie – czemu właśnie teraz? – jak w takim samym jesiennym świetle, kucając na wzgórkach, sadił z Marilyn cebulki krokusów. Byli na pierwszym roku studiów. Pamiętał jej żarliwość, szeroko rozwarte oczy. Nie miał pojęcia o sadzeniu krokusów, a te, co mu oznajmiła, tracąc dech z podniecenia, miały być jej pierwszymi. Po południu kupili w mieście rydel i weszli na pagórek za jej akademikiem, gdzie pod należącym do uczelni lasem znajdował się spłachetek jesiennego trawy.

– Dobra, tutaj – zdecydowała, bardzo podekscytowana.

Charlie widział, jak poważna to dla niej sprawa: sadić pierwsze kwiaty w wieku osiemnastu lat razem z nim, jej pierwszą miłością. Poruszała go żarliwość Marilyn, okutanej w długi wełniany płaszcz. Wykopali dołki, umieścili cebulki.

– Pa, pa, powodzenia – powiedziała do jednej z cebulek.

Te same rzeczy, na które obecnie przewracał oczami – całkowita głupota, bezużyteczność, mdląca słabość zalegająca w samym centrum jej istoty –

tamtego dnia skrycie go podniecały, czuł przyływ miłości, pragnął ją ochraniać, wdychał jesienną woń ziemi, gdy tak klęczał z rydłem w dłoni. Kochana, odurzona Marilyn, zarumieniona z podniecenia po wykonanej pracy.

– Myślisz, że wyrosną? – spytała zaniepokojona. Biedaczka, stale się martwiła.

Charlie powiedział, że tak. Faktycznie, kilka krokusów wzeszło, ale tej części nie pamiętał zbyt dokładnie. W zasadzie przypomniał sobie tylko to, co dotychczas trwało w mroku zapomnienia: niewinny jesienny dzień, kiedy byli jeszcze dziećmi.

Charlie zasunął żaluzje. Plastikowe deszczułki, z nagromadzonym przez lata brudem, nierówno wskoczyły na miejsce, gdy pociągnął za sznurek.

Opanował go paniczny strach. Nagle zatęsknił za domem, jak dziecko wysłane do krewnych, gdzie meble wydają się duże i obce, zapach dziwny, a każdy szczegół zagraża swoją niemal nieznośną innością. Chce wrócić do domu, pomyślał. To pragnienie prawie zaparło mu dech, ponieważ nie chodziło o dom w Carlisle w stanie Illinois, gdzie mieszkał z Marilyn w sąsiedztwie wnuków. Nie miał też na myśli domu z dzieciństwa, również w Carlisle. Ani ich pierwszego domu koło Madison, gdzie zamieszkali po ślubie. Nie wiedział, za jakim domem tęskni, ale w miarę upływu lat czuł, że tęsknota będzie się nasilać, a ponieważ nie mógł znieść Marilyn, z jaką teraz żył – kobiety, która mimo to wypełniała jego wyobcowane, żyjące na obczyźnie serce litością – nie wiedział, co pocnie. Płotka podrygująca w strumieniu niepokoju zawinęła na chwilę do domu w Carlisle, w sąsiedztwie wnuków, popłynęła na pole golfowe, gdzie czasem cieszył się widokiem rozległej zieleni, popłynęła do kobiety, która mogła się tu pojawić lub nie, z tymi swoimi lśniąco-ciemnymi włosami – i żadne miejsce nie obiecywało stałości.

Ktoś zapukał cicho w drzwi pokoju motelowego.

– Cześć, Charlie. – Mijając go, weszła do pokoju i uśmiechnęła się ciepło.

Wiedział od razu. W młodości wyostrzyły się jego instynkty i nigdy nie utracił zdolności wyczuwania klęski.

Mimo to mężczyzna potrzebuje godności. Skinął więc głową i

powiedział:

– Tracy.

Weszła dalej, a na widok torby z rzeczami na noc – zresztą czemu nie miałyby jej przynieść? – poczuł żalną, ulotną radość, potem jednak usiadła na łóżku, znowu się uśmiechnęła, a on znowu nabrał pewności.

– Zdejmiesz płaszcz? – spytał.

Wywinęła się z niego wężowym ruchem.

– Charlie – powiedziała.

Obserwował siebie. Trochę, to było fascynujące. Był organizmem, któremu miano zadać cios, a on wykorzystywał naturalne zdolności, by się bronić. Oznaczało to, że bacznie przyglądał się jej dziobatym policzkom, porom skóry świadczącym o wieku dorastania, który, o czym już wiedział, był trudny. Zwrócił uwagę na zapach trzymanego płaszcza, słabego, a mimo to mdlącego i mało subtelnego. Odwiesił płaszcz na oparcie krzesła przy biurku zamiast do szafy obok własnego. Charlie zwrócił uwagę, że kobieta nie patrzy mu w oczy i pomyślał, że najbardziej ze wszystkiego nie lubi nieuczciwości, albo braku odwagi.

Tak bardzo, jak tylko pozwalał mały pokój, odsunął się od Tracy i oparł się o przeciwległą ścianę.

Teraz na niego spojrzała, z sardonicznym, przepraszającym wyrazem twarzy.

– Potrzebuję pieniędzy – powiedziała, po czym westchnęła głęboko i położyła dłoń na kapie na łóżku. Na wszystkich palcach, włącznie z kciukiem, miała pierścionki, a Charlie nie mógł się nadziwić, że jego umysł wciąż mu przypominał – Charlie, na Boga, patrz! – jak odrażające powinny mu się wydawać poszczególne części jej ciała, a jednak takie nie były. Brednie o wyższości klasowej żadnego człowieka nie mogły chronić zbyt długo. Wielu ludzi przeżywało życie bez tej wiedzy, ale Charlie ją poznał.

– Po prostu powiedz – powiedział.

– Dziesięć.

Charlie nie ruszył się z miejsca. Komórka na stoliku przy łóżku nagle się rozdzwoniła. Tracy nachyliła się, żeby spojrzeć.

– Twoja żona – poinformowała beznamiętnie.

Charlie podszedł do telefonu i schował go do kieszeni, gdzie wibrował jeszcze przez chwilę w jego dłoni, aż w końcu przestał.

– Nie mogę, kochanie – zwrócił się do Tracy siedzącej na łóżku.

– Ależ możesz. – Najwyraźniej tego się nie spodziewała, co go zdziwiło.

– Nie, nie mogę.

– Masz mnóstwo forsy, Charlie.

– Mam żonę, dzieci i wnuki, oto, co mam.

Charlie przyniósł szampana, bo Tracy go lubiła i teraz zauważył, jak zerkała na komodę, gdzie stało plastikowe motelowe wiaderko, które napelnił lodem. Kobieta spojrzała na Charliego ze smutkiem.

– Łamiesz mi serce – powiedziała. – Ze wszystkich...

Zaśmiał się szczerze.

– Ze wszystkich twoich gachów ja najbardziej łamię ci serce.

– Ale to prawda. – Wstała i podeszła do szampana. – Poza tym nie bądź wulgarny, Charlie. Mam klientów, ale ty nie jesteś jednym z nich.

– Wiem, że masz klientów – powiedział.

– „Gachy” to takie staroświeckie, na miłość boską, Charlie.

– Zapomnij.

– Nie zapomnę.

– Tracy, przestań. Ty i ja mamy właśnie wykonać jeden z najstarszych numerów świata. A ja nie mam ochoty. Znam wszystkie ruchy, znam podkład muzyczny. Nie chcę... – Rozwarł dłoń. – ...tego robić, to wszystko. I nie zrobię.

Przelotny ból na jej twarzy sprawił mu satysfakcję; zawsze czuł, że Tracy go kocha, podobnie jak on ją. Do pokoju wkradła się nagle odświeżająca prostota, niespodziewana i przeogromna ulga, uporządkowanie... spraw. Wracaj do domu i uporządkuj swoje sprawy, powiedziałyby lekarz. Nie. Romanse. Wracaj do domu i uporządkuj swoje romanse. To sprostowanie – nic nie mógł na to poradzić – wydało się Charliemu zabawne. Był,

najbardziej ulotnie, jak to tylko możliwe, zachwycony, jak gdyby wszyscy ludzie żyjący przed jego urodzeniem znali te sprawy, całymi latami używali zwrotów: wracaj do domu i uporządkuj swoje romanse.

Komórka w kieszeni znowu zaczęła wibrować, więc Charlie ją wyjął. Na ekranie wyświetlał się niebieski napis MARILYN.

– Chcesz, żebym wyszła? – Pytanie miało intymny wydźwięk, ponieważ w przeszłości padało już wielokrotnie. Tracy powiedziała to poufałym, swobodnym tonem.

Charlie skinął głową.

– Mają tu małe lobby... – powiedział, ale zapewniła, że bez problemu posiedzi w samochodzie i posłucha muzyki.

Zawsze zachowywała się tak cudownie. Jej praca polegała na zachowywaniu się cudownie. Nawet po tym, jak zdradziła mu swoje prawdziwe imię, siedząc w pełni ubrana przy biurku, „Chcę ci powiedzieć, jak się naprawdę nazywam”, i na dowód wyjęła prawo jazdy, nawet po tym zachowywała się cudownie. Po pokazaniu mu prawa jazdy upierała się, żeby więcej nie dawał jej pieniędzy. Może obracała to w myślach i teraz doszła do wniosku, że jest jej coś winny. Może i tak. Drzwi zamknęły się za nią cicho. Oparł się pokusie, by wyjrzeć przez żaluzje, jak idzie do samochodu.

Charliego nie opuściło osobliwe poczucie nadziei, miłe zrozumienie, że cała sytuacja wkrótce się skończy, właściwie już się skończyła. W dodatku czuł, że da się to przeżyć, choć wcześniej tego nie wiedział.

Jego żona płakała przez telefon.

– Charlie? Tak mi przykro, że zawracam ci głowę, naprawdę. Masz się bawić... Wiem, że się nie bawisz, ale wiem, że to jest twój czas i...

– Co się stało? – Nie czuł niepokoju.

– Och, Charlie, ona znów zachowała się wstrętnie wobec mnie. Wiesz, zadzwoniłam, żeby sprawdzić, czy dziewczynki mają gotowe sukienki na Święto Dziękczynienia, a Janet powiedziała: „Marilyn, proszę cię, nie, mówię ci, Marilyn, że za dużo tu dzwonisz. To jest mój dom, Stevie jest moim mężem, potrzebujemy przestrzeni”. Tak właśnie powiedziała, Charlie. Kto wie, czy Stevie w ogóle był w domu. Czy ten nasz syn w ogóle ma kręgosłup...



Charlie przestał słuchać. Skrycie całym sercem był po stronie swoich dzieci i po stronie synowej. Usiadł na łóżku.

– Charlie? – spytała Marilyn.

– Jestem. – Mimowolnie przejrzał się w lustrze. Już dawno przestał wyglądać jak ktoś znajomy.

Po kilku minutach na tyle uspokoił żonę, że zakończyła rozmowę. Raz jeszcze przeprosiła, że mu przeszkadza, i zapewniła, że dzięki niemu poczuła się lepiej.

– W porządku, Marilyn – powiedział.

Siedząc samotnie w cichym pokoju, zrozumiał poczucie rozległego spokoju, które teraz do niego wróciło. Dawno temu nadał mu prywatną nazwę. Teoria łup w kciuk. W dzieciństwie, gdy pewnego lata przybijał dachówki na dachu domu dziadka, odkrył, że jeśli przez pomyłkę uderzysz się młotkiem w kciuk, przez ułamek sekundy myślisz: Hej, biorąc po uwagę, jak mocno dostałem, nie jest tak źle... Dopiero potem, po chwili fałszywej, zdumionej, wdzięcznej ulgi zwał się prawdziwy ból. Na wojnie zdarzyło się to tyle razy i w tak licznych postaciach, że czasem uważał, że jest geniuszem: analogia była tak stosowna. Na wojnie nauczył się wielu rzeczy, ale o żadnej z nich nie wspominał psycholog podczas spotkań. Marilyn sądziła, że na jednym z nich właśnie teraz był.

\*

Charlie wstał. Poczł swędzenie cielesnego pożądania, które zawierało w sobie wiele i nie było obcym uczuciem. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach zaczął chodzić tam i z powrotem przed dużym łóżkiem przykrytym kapą z materiału, który – wiedział, bo dotykał go wielokrotnie – miał wytrzymać wszystko. Charlie chodził tam i z powrotem. Niekiedy robił to całymi godzinami. Poczł ciepło emocji.

Kiedy powstawał Pomnik, Charlie nie okazywał zainteresowania. Nie, Charliego zupełnie to nie obchodziło. Jednak pewnego dnia – po wielu nocach ciągłego bombardowania wspomnieniami z Khe Sanh [\*] – sam pojechał autobusem do Waszyngtonu i co tam znalazł! Idąc wzdłuż muru z ciemnego granitu, łkał bezgłośnie i bez samoświadomości; widział pamiętane nazwiska, dotykał ich szorstkimi palcami. Ludzie w pobliżu – wyczuwał ich,

głównie turystów – z szacunkiem dali mu spokój; wyraźnie czuł, że z szacunkiem odnosili się wobec jego płaczu! Nie przypuszczał, że coś takiego jest możliwe.

Po powrocie do Carlisle oznajmił Marilyn:

– Dobrze, że pojechałem.

Zdziwiło go, że odpowiedziała jedynie:

– Cieszę się, Charlie. – Później, w nocy, dodała: – Posłuchaj. Jeźdź tam, kiedykolwiek potrzebujesz, naprawdę. Mamy dosyć pieniędzy, żebyś mógł tam jeździć zawsze, gdy będziesz potrzebował. – Ludzie potrafili zaskakiwać. Nie tylko dobrocią, ale także umiejętnością właściwego wyrażania rzeczy.

Charlie miał poczucie, że nigdy niczego nie wyrażał, jak należy.

Pewnego razu wybrał się do sklepu z synem i synową; Janet potrzebowała swetra. Charlie znalazł się tam tylko na przyczepkę; zakupy ani trochę go nie interesowały. Za to jego syn okazywał zainteresowanie. Kiedy Charlie nagle się ocknął i spojrzał, zobaczył, że syn uważnie i z zaangażowaniem rozmawia z żoną – Janet była prostą, miłą kobietą – a widok zaangażowania syna w tę drobną, codzienną wymianę zdań niemal rzucił Charliego na kolana. Co za syn! Na jakiego mężczyznę wyrósł ten chłopiec, który stał tak przyzwoicie i rozmawiał z żoną o tym, jaki sweter chciała ze sklepu pachnącego słodyczami, orzeszkami i czym tam jeszcze jak namiot cyrkowy. Napotkawszy wzrok ojca, syn się rozpromienił.

– Hej, tato, jak sobie radzisz? Jesteś gotów?

Wtedy dotarło do niego właściwe słowo: czysty. Jego syn był czysty.

– Wszystko w porządku – zapewnił Charlie, unosząc nieznacznie rękę. – Nie spiesz się.

A ponieważ był Charliem, który przed laty dogłębnie się zbrukał, ponieważ był Charliem, a nie kimś innym, nie mógł powiedzieć synowi: Jesteś przyzwoity i silny, a wszystko to nie ma nic wspólnego ze mną. Dałeś radę, przetrwałeś dzieciństwo, które nie było usłane różami, i jestem z ciebie dumny. Zdumiewasz mnie. Charlie nie mógł nawet wyrazić rozwodnionej wersji tego, co czuł. Nie mógł nawet klepnąć syna w ramię na powitanie lub pożegnanie.

\*

Stanął w otwartych drzwiach pokoju motelowego i patrzył na parking, żeby wiedziała, że może wrócić, a kiedy szła ku niemu od samochodu, zdał sobie sprawę, że Tracy jest świadoma tego, iż jest obserwowana, choć tak naprawdę wcale na nią nie patrzył, ponieważ przylgnęła do niego woń jesieni, nagły chłód, a ten ziemisty, próchniczny aromat obudził w nim coś podobnego do podniecenia. Ostrożnie, pomyślał. Ostrożnie. Cofnął się, aby ją wypuścić.

Tym razem Tracy nie zdjęła płaszcza, a zamiast na łóżku usiadła na krześle przy biurku. Po wyrazie jej twarzy poznał, że się przygotowywała.

– Proszę, Charlie. Zaufaj mi, proszę. Potrzebuję tych pieniędzy.

– Wiem, że ich potrzebujesz.

– Więc proszę.

Może w wynaturzony sposób czekał, aż Tracy powie, że jest jej to winien. Po raz pierwszy odkąd ją znał, zobaczył, jak łzy napływają jej do oczu.

– Och, Tracy. Powiedz mi, kochanie, o co chodzi?

– O mojego syna.

Bardzo powoli, a zarazem natychmiast – tak właśnie tego doświadczył – Charlie zrozumiał. Jej syn miał problemy związane z narkotykami. Był winien komuś dziesięć tysięcy dolarów. Ta wiedza przedostała się do pokoju niczym duży ciemny ptak o przerażająco szeroko rozłożonych skrzydłach. Spytał ją wprost.

Przytaknęła, a łzy płynęły i płynęły po jej policzkach. Ponieważ nigdy wcześniej nie widział jej płaczącej, patrzył zafascynowany na tusz ściekający jej na ubranie, na turkusową nylonową bluzkę, czarną spódnicę, nawet na kozaki. Jego żona nigdy się nie malowała.

– Och, Tracy, małeńka. – Wyciągnął do niej rękę i wydało się mu, że dostrzega w niej pragnienie, by się do niego przytulić, i może by to zrobiła, ale Charlie powiedział: – Tracy, jeśli to zrobisz, też znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

Z jakiegoś powodu mocno ją to uraziło. Tracy potrząsnęła głową i

zaczisnęła palce z pierścionkami w pięści.

– Co ty, kurwa, wiesz? Myślisz, że coś wiesz. Bardzo cię, kurwa, przepraszam, ale gównie wiesz.

W pewnym sensie mu pomogła.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział lekko. – Nie mogę ot, tak wyciągnąć z banku dziesięciu tysięcy dolarów bez wiedzy Marilyn. Zresztą, nie zrobię tego.

Zielone oczy Tracy zafalowały jak ciemne chrapy; taki właśnie obraz pojawił się w jego umyśle, gdy patrzył: oczy poruszały się jak końskie chrapy, rozszerzyły się i zwęziły.

– Mój syn zginie, jeśli nie zdobędzie tej forsy. – Już nie płakała. Łapała oddech.

Charlie bardzo wolno usiadł na łóżku na wprost Tracy. W końcu powiedział cicho:

– Chyba rozumiesz, że nie miałem pojęcia, że masz syna.

– Oczywiście, że ci nie powiedziałam.

– Ale dlaczego? – spytał, autentycznie zdziwiony.

– Zobaczmy. – W przesadnym geście namysłu przytknęła do podbródka palec z pierścionkiem. – Może dlatego, że gdybym wyjaśniła ci sytuację, miałbyś o mnie gorsze zdanie?

– Tracy, wielu ludzi ma dzieci w tarapatach. – Jej sarkazm sprawiał mu przykrość, jak nóż kaleczący go w rękę. – Miałbym o tobie gorsze zdanie? – powtórzył.

– No tak! Jasne, jak mógłbyś mieć jeszcze gorsze zdanie...

– Przestań. Do cholery. Przestań. Przestań. – Charlie wstał.

– A ty daruj sobie to współczucie białego liberała – powiedziała cicho.

W samą porę – ale w porę, Charlie zawsze wyrabiał się w samą porę – powstrzymał się od wymierzenia jej policzka, który praktycznie swędział go w dłoń. Tracy odwróciła się od niego z pogardą, więc nie przeprosił. Pogarda do niej nie pasowała; według niego było w tym coś teatralnego.

Kiedys mieli kapelana. Boże, jakim był miłym gościem.

– Bóg płacze razem z nami – mówił i nie sposób było się o to gniewać. Po nocy pod Khe Sanh przywieźli innego, sztucznego kapelana. Aktora.

– Jezus jest waszym przyjacielem – mówił nowy kapelan z głupawym namaszczeniem, jakby rozdawał pigułki jezusowe, którymi tylko on dysponował.

\*

Kiedys poszedł do szpitala, a oni poprosili go, żeby wrócił i wziął udział w terapii grupowej. Sugerowali, że pomoże mu słuchanie tego, co inni mieli do powiedzenia. Jednak sesje polegały – och, na samo wspomnienie Charliemu ciążyła głowa – na kręgu rozkładanych krzeseł, młodszy uczestnicy, którzy stanowili większość, nosili drelichy; opowiadali o zwiadach w irackich miastach, bezsenności, nadużywaniu alkoholu, a Charlie nie mógł ich znieść. Niektórzy byli tak młodzi, że jeszcze mieli trądzik. W przeszłości wydawał rozkazy takim dzieciakom; ich widok przyprawiał go o mdłości. Pogarda do tych ludzi budziła jego przerażenie. Udział w terapii nasilał poczucie tego, co jak sądził, mogło go zabić, ponieważ widział – i bał się tego – że człowiek prowadzący terapię tak naprawdę nie wiedział, co robić. Ponieważ nie było nic do zrobienia. Porozmawiać o tym. Jasne. Zrobić przerwę na papierosa i dalej o tym rozmawiać. Na trzeciej sesji poszedł sobie, kiedy zrobili przerwę na papierosa, i wtedy naprawdę się przestraszył.

Robin poznał za pośrednictwem jej ogłoszenia w Internecie. Przemierzył dwugodzinną drogę z Carlisle do Peorii i spotkał się z nią w lobby najstarszego hotelu w mieście. Hotel niedawno odnowiono; lobby lśniło od szkła i wodospadów, windy śmigły grzecznie po prawej, kiedy on i Robin usiedli w barze na parterze. Rozmawiali cicho, a Charlie, dobry Boże, od lat nie czuł się taki szczęśliwy. Czarnoskóra kobieta o niezbyt ciemnej cerze i zielonych oczach miała w sobie cichą pewność siebie, a ta jarząca się, swobodna władczość sprawiła, że od razu pokochał przerwę między jej przednimi zębami, kreski antymonu nad rzęsami, sposób, w jaki kiwała głową i mówiła: „Zgadza się”. Czterdziestoletnia Robin miała dwie córki, które zostawały z babcią, kiedy nie mogła z nimi być. Charlie wynajął pokój na szczytowym piętrze, z widokiem na rzekę. Zauważył, że kobieta dyskretnie kontrolowała czas, powiedziała mu, kiedy przekroczył, dodała godzinę, ale zachowywała się gładko, spokojnie, uprzejmie, nawet w trakcie

słodkich wybuchów seksualności, które od początku wydały się mu autentyczne, dzięki czemu mógł zawsze dobrze się czuć. To było coś.

– Dlaczego to robisz? – zapytał. – Pewnie wszyscy o to pytają.

– Niektórzy tak. Większość nie pyta. Dla pieniędzy – powiedziała, prostując się na krześle i lekko wzruszając ramionami. – Takie to proste. – Kręgi ułożyły się idealnie pod skórą, aż Charliemu zabrakło tchu.

Kilka miesięcy później zaproponowała, żeby spotkali się w motelu, pół godziny drogi od Peorii. Pieniądze zaoszczędzone dzięki rezygnacji z eleganckiego hotelu pozwoliłyby im widywać się częściej. Ale Charlie nie mógł spotykać się z nią częściej, nie mógł się wyrwać, dlatego widywali się od czasu do czasu w motelu, dawał jej wówczas zaoszczędzone pieniądze, a potem zakochali się w sobie. Tak naprawdę kochał ją od początku, ona wyznała, że też się w nim zakochała. Powiedziała też, że ma na imię Tracy, gdy siedziała na tym krześle w pełni ubrana. Tak było od siedmiu miesięcy: rozpaczliwie zakochani. Charlie nie lubił czuć się rozpaczliwie.

\*

Tracy stała w łazience, wyciągając chusteczki higieniczne z otworu w ścianie. Siedząc na łóżku, Charlie widział, jak wyciąga małe białe kawałki; motel pilnował, żeby nikt nie ukradł całego pudełka. Tracy wytarła twarz, potem obmyła ściereczką, nałożyła szminkę i wróciła do pokoju. Uczucie ulgi powróciło do Charliego; nigdy nie oddaliło się bardzo. Wszystko wkrótce miało się skończyć, nic innego się nie liczyło. Potem Tracy – kurczę, jak ludzie jednak potrafili zaskakiwać – powiedziała coś szaleńczo zabawnego.

– Sądziłam, że masz dość charakteru, żeby mi pomóc.

Charlie poprosił, żeby powtórzyła, więc zrobiła to, z nieco czujnym wyrazem twarzy. Charlie usiadł na łóżku i zaniósł się śmiechem. Nie był to miły odgłos i wkrótce zdołał się pohamować.

– Brakuje mi go – powiedział w końcu, przesuwając rękawem po twarzy. Tracy spojrzała na niego z lekkim rozdrażnieniem. – Charakteru – wyjaśnił. – Brakuje mi go.

Czasy, gdy charakter coś znaczył, był niby ołtarz, przed którym kłaniała się wszelka przyzwoitość, wydawały się prehistorią. Odkąd nauka wykazała

znaczenie genów, charakter wylądował na wysypisku śmieci. Wykazano, że niepokój jest zaprogramowany albo zostaje wgrany w wyniku traumatycznych przeżyć, że człowiek nie jest ani silny, ani słaby, a tylko ukształtowany w pewien sposób – o, tak, bardzo brakowało mu charakteru! Jego szlachetności. Można to było porównać do człowieka, który musi zrezygnować z religii, kiedy zostaje skonfrontowany z jej niskimi, prymitywnymi aspektami; musi spojrzeć na Kościół katolicki z jego gniazdem pedofilii, niekończącym się tuszowaniem skandali, papieżami współpracującymi z Hitlerem czy Mussolinim. Charlie nie był katolikiem, a nieliczni katolicy, których znał, nadal uczestniczyli w mszy, choć nie wiedział, jak mogą to robić, skoro widzieli, jak wspaniała fasada się kruszy. Kościół niewątpliwie ponosił klęskę. Ale to samo dało się powiedzieć o protestanckiej koncepcji ciężkiej pracy, przyzwoitości i charakteru. Charakter! Kto jeszcze używał tego słowa?

Otóż używała go Tracy. Spojrzał na nią, na oczy z wciąż rozmazanym tuszem.

– Hej, mała – powiedział. – Hej, Tracy. – Rozłożył szeroko ręce.

– Nie nazywam się Tracy – powiedziała cicho. – Chcę, żebyś wiedział, że to prawo jazdy jest sfałszowane. To wszystko fałsz. – Nachyliła się ku niemu i szepnęła: – Fałsz.

Z ust Charliego dobył się odgłos. Nie było w tym nic niezwykłego; często wydawał odgłosy, choć tego nie planował. Czasami zdarzało się to w miejscach publicznych, budząc lęk. Raz, w bibliotece, młody człowiek spojrział na niego i Charlie domyślił się, że zawarczał. Marilyn, ta idiotka, szepnęła do chłopca:

– On był na wojnie.

Dzieciak nie wiedział, co Marilyn ma na myśli.

Wielu młodych ludzi nie znało nazwy wojny, na której walczył. Czy dlatego, że była to nie tyle wojna, ile konflikt? A może zawstydzony kraj ukrył tę wojnę, jak dziecko, które zachowuje się niesfornie, żenująco w miejscach publicznych? Albo po prostu tak potoczyła się historia? Charlie nie wiedział. Kiedy jednak słyszał, jak młody człowiek z idealnym uzębieniem, jakie dziś wszyscy mieli, mówił:

– Zaraz, co to było? Przepraszam, ale... – Potem następował

przepraszający grymas, z gruntu fałszywy, i próba oceny wieku Charliego: – Przepraszam, to była pierwsza wojna w Iraku?

W takich chwilach Charlie chciał krzyczeć, wrzeszczeć i ryczeć:

– Robiliśmy to, i po co, po co, po co?

Nigdy nie uwolnił się od trwałej niechęci wobec wszystkich Azjatów.

Oraz kobiet patrzących na niego ze strachem.

– Mam pomysł – powiedział Charlie, wstając. – Chodźmy.

Kobieta zarzuciła torebkę na ramię i czekała. Ona nie patrzyła na niego ze strachem. Wcale na niego nie patrzyła.

Wieszaki w szafie zadzwoniły, kiedy wyjmował płaszcz, metalowe wieszaki całkowicie owinięte wokół pręta, żeby nie dało się ich ukraść.

– Gotowa? – zapytał pogodnie, narzucił płaszcz i cofnął się, by przepuścić ją przez drzwi. Znów to osobliwe uczucie obserwowania siebie. Zdumienie faktem, jak bardzo ją kochał – była to jednak bardziej wiedza niż uczucie – chociaż nie miało to sensu na żadnym poziomie, prócz jedyne, jaki się liczył: ona go ocaliła, dała mu przestrzeń, w której mógł oddychać. Albo też on sam, dzięki niej, dał sobie tę przestrzeń, ponieważ patrząc na nią, nie widział nic – kompletnie nic – co uzasadniałoby to, jak się czuł. Nadal jej pragnął, a zarazem jej widok wprawiał go w zdumienie. Ale, dzięki Bogu, było po wszystkim; wciąż pozostawała ta otwarta przestrzeń ulgi.

– Jedź za mną swoim wozem – polecił.

Charlie ruszył z powrotem w kierunku centrum miasta, które znał właściwie tylko z wypadów do motelu. Znał tam sklep przy ulicy Main oraz wiktoriański pensjonat, gdzie zawsze widniał napis WOLNE MIEJSCA, chociaż wyglądał zachęcająco, świeżo pomalowany jasnoniebieską farbą, jak nieśmiałe dziecko o dobrym sercu. Nie wiedział, gdzie może się znajdować oddział jego banku, ale jechał tak, jakby miał być tuż-tuż. Tylko raz spojrzął w lusterko i zobaczył, że za nim jechała; przygryzała wargę w tak znajomym geście, że nie musiał więcej patrzeć w lusterko. Po prawej ręce miał zachód słońca. Raz jeszcze zwrócił uwagę na to, że dobrze się czuje. Mijając stary kościół, pomyślał, że gdyby ona za nim nie jechała, zatrzymałby się, żeby przyjrzeć się mu z szosy.



Czasami Charlie odczuwał potrzebę modlitwy. Potrzeba ta była dla niego równie odrażająca jak widok żony. Wychował się na łonie Kościoła metodystów, który nie uczynił dla niego nic prócz tego, że wizyty w kościele kojarzyły się mu z chorobą lokomocyjną. Zdarzało mu się uczestniczyć w nabożeństwach Kościoła kongregacjonalistów razem z Marilyn, ponieważ jej na tym zależało, ale to poczucie obowiązku osłabło, gdy tylko dzieci zostały nastolatkami. Nie mógł tego znieść, powiedział żonie, a ona się nie sprzeczała; po prostu przestali chodzić do kościoła. Nikt z parafii na nich nie naciskał. Jeśli nie liczyć chrztu wnuków oraz nabożeństwa pogrzebowego za męża Patty Nicely, Charlie od lat nie przestąpił progu kościoła.

Ostatnio jednak chciał wejść do kościoła i się pomodlić. Chciał paść na kolana, a o co by się modlił? O przebaczenie. Człowiek nie mógł się modlić o nic innego, jeśli był Charliem Macauleyem. Charles Macauley nie miał tego luksusu, nie był na tyle niemądry, by modlić się o zdrowie dzieci albo o to, by móc bardziej kochać żonę – nie, nie, nie – Charlie Macauley mógł jedynie modlić się, błagać na kolanach: dobry Boże, przebacz mi, jeśli Cię na to stać.

Jakież to obmierzłe. Niedobrze mu się robiło.

Po prawej, za jeszcze jednymi światłami, zobaczył szyld swojego banku. Wjeżdżając na parking, ujrzał, że oddział jest jeszcze czynny, czemu towarzyszyło osobliwe poczucie spełnienia. Patrzył, jak kobieta parkuje za nim; dał jej znak ręką, by została w samochodzie, a ona skinęła głową. Dziesięć minut później wyniósł dwie koperty z gotówką – miały pękatą miękkość ciała – i podał jej przez uchylone okno. Kobieta zaczęła szerzej otwierać okno, jak gdyby zamierzała mu podziękować, ale Charlie powstrzymał ją ruchem głowy.

– Jeśli jeszcze raz się ze mną skontaktujesz, namierzę cię i własnoręcznie zabiję – powiedział spokojnie. – Niezależnie od tego, czy nazywasz się Tracy, Lacy, Shitty czy Pretty. Rozumiesz? Ponieważ będziesz potrzebowała więcej.

Kobieta włączyła silnik i odjechała.

Teraz zaczął się trząść, najpierw dłonie, potem ręce, wreszcie uda. Okradł Marilyn, czy to nie było coś innego? Charlie odnosił wrażenie, że różniło się to od wszystkiego, co kiedykolwiek zrobił. Ani on, ani ona nie zarabiali już pieniędzy. To nim mocno wstrząsnęło: okradł swoją żonę. Siedział w

samochodzie dopóty, dopóki nie poczuł, że jest w stanie prowadzić.

Na niebie widniał już tylko słaby powidok. To była niebezpieczna pora, już nie zmierzch, ale właściwie zmrok; noc przyszła cicho i szybko. A mimo to do nocy wciąż było daleko. Dopiero za wiele godzin można będzie zasnąć; środki nasenne obiecywały mu najwyżej pięć godzin snu.

\*

Pensjonat okazał się większym domem, niż wydawał się z drogi. Charlie zaparkował od tyłu, potem obszedł budynek – rześkie powietrze na twarzy przywodziło na myśl wodę po goleniu na bazie oczaru, której używał przed laty – wszedł po schodach, a ich ciche skrzypienie sprawiło mu przyjemność. Instynkt podpowiedział mu, że to dobre miejsce na przyjęcie prawdziwego ciosu; tu będzie bezpieczny, ten dom go przyjmie. Drzwi otworzyła kobieta równie stara jak on, może nawet starsza, drobna i schludna o zdrowej cerze. Charlie natychmiast pomyślał: ona się mnie przestraszy. Ale kobieta nie okazała strachu. Patrząc mu w oczy, spytała, czy zadowolony jest pokojem bez telewizora. Jeśli chciał oglądać telewizję, mógł to robić tu, w salonie. Inni goście najwyraźniej już się zebrali.

Najpierw powiedział jej, że nie potrzebuje telewizji, ale na widok pokoju zrozumiał, że nie mógł tam siedzieć bezczynnie i czekać, dlatego wrócił do holu, a kobieta powiedziała:

– Oczywiście. – Wręczyła mu pilota i spytała: – Mogę do ciebie dołączyć, kiedy uporam się ze sprawami w kuchni? – Charlie zapewnił, że nie będzie miał nic przeciwko temu. – Wszystko mi jedno, co będziemy oglądać – dodała.

Z oddalenia wyczuł, że w kobiecie też rozbrzmiewają echa bólu; ostatecznie w ich wieku kto był od nich wolny? Potem jednak pomyślał, że wielu ludzi nie doświadcza bólu. Często myślał o tym, że wiele osób nie słyszało echa bólu, odbijającego ciche odgłosy, jakie nosił w głowie.

Siedząc na kanapie, słyszał, jak kobieta krząta się po kuchni. Skrzyżował ręce na piersiach i oglądał brytyjską komedię, ponieważ brytyjskie komedie były niedorzeczne, oderwane od rzeczywistości. Brytyjskie komedie, z tymi ich akcentami i dzwoniącymi filiżankami herbaty, były bezpieczne. Charlie czekał. Z pewnością nadejdzie: fala za falą ostrego bólu po takim ciosie, o tak, nadejdzie na pewno.

Właścicielka pensjonatu cicho wślizgnęła się do salonu. Kątem oka spostrzegł, że usiadła na dużym krześle w kącie.

– Och, doskonale – mruknęła, mając na myśli, jak przypuszczał, wybór programu.

Charlie chciał ją zapytać: gdybyś wymyśliła sobie imię Tracy, jak nazywałabyś się naprawdę?

To się zbliżało, o tak. Wiedział, co to było, odwiedzał już to miejsce; potem będzie po wszystkim. Mimo to trwało to dłużej, niż przypuszczał.

Bez względu na to, co na ten temat mówiono, człowiek nigdy nie mógł przywyknąć do bólu. Ale teraz, po raz pierwszy – naprawdę uzmysłowił to sobie pierwszy raz? – pomyślał, że istniało coś nieporównywalnie bardziej przerażającego od bólu: ludzie, którzy nie potrafili już odczuwać bólu. Widział to u innych: tę pustkę w oczach, określającą ich ułomność.

Tak więc Charlie nieznacznie się wyprostował i w napięciu wpatrywał się w telewizor. Czekał z nadzieją w sercu podobną do cebulki krokusa. Czekał, miał nadzieję, nieledwie się modlił: O, słodki Jezu, niech to nadejdzie. Dobry Boże, proszę, czy możesz? Czy możesz sprawić, żeby to nadeszło?

---

[\*] Atak Armii Wietnamu Północnego i Wietkongu na amerykańską bazę wojskową w Khe Sanh 21 stycznia 1968 roku stanowił część ofensywy Tet, jednego z najważniejszych epizodów wojny wietnamskiej. Ofensywa nie przyniosła Wietkongowi spodziewanych korzyści i zakończyła się militarną przegraną Północy. Zadała jednak ciężkie straty zarówno południowym Wietnamczykom, jak i Amerykanom. Opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych przestała popierać udział armii amerykańskiej w wojnie wietnamskiej, co stopniowo prowadziło do politycznej kompromitacji Stanów Zjednoczonych, a wreszcie wycofania wojsk z Półwyspu Indochińskiego.

# MISSISSIPI MARY

– Powiedz swojemu ojcu, że za nim tęsknię – powiedziała Mary, ocierając oczy chusteczką higieniczną, którą podała jej córka. – Możesz mu to powiedzieć? Powiedz mu, że jest mi przykro.

Jej córka spojrzała w sufit – we włoskich mieszkaniach były takie wysokie sufity – na chwilę przeniosła wzrok na okno, za którym rozpościerał się ocean, wreszcie znowu spojrzała na matkę. Angelina nie mogła przestać myśleć o tym, jak staro wyglądała matka, jaka wydawała się drobna. I dziwnie brązowa.

– Mamo, przestań, proszę. Proszę, przestań. Przyleciałam tu za wszystkie swoje oszczędności i znajduję cię w tym okropnym, przepraszam, że tak mówię, ale to prawda, tym lichym dwupokojowym mieszkaniu z facetem, twoim mężem, Boże. On jest prawie w moim wieku, na co nie zwracaliśmy uwagi, cóż innego mogliśmy z tym począć, jak ignorować? A ty masz osiemdziesiąt lat, mamo.

– Siedemdziesiąt osiem. – Mary przestała płakać. – Poza tym on nie jest w twoim wieku. Ma sześćdziesiąt dwa lata. Daj spokój, kochanie.

– Zgoda, masz siedemdziesiąt osiem lat – odparła Angelina. – Ale miałaś wylew i zawał.

– Och, przestań. To było wieki temu.

– Teraz każesz mi powiedzieć tacie, że za nim tęsknisz.

– Bo tęsknię za nim, kochanie. Przypuszczam, że i jemu zdarza się za mną tęsknić. – Mary opierała łokieć na poręczu krzesła. Niecierpliwie pomachała chusteczką.

– Ty nie rozumiesz, mamo, prawda? Boże, ty po prostu nie rozumiesz. – Angelina rozparła się na sofie, zbliżyła dłonie do głowy i przeczesła palcami włosy.

– Proszę, nie krzycz, kochanie. Czy wychowano cię tak, żebyś krzyczała na ludzi? – Matka wepchnęła chusteczkę do dużej torebki z żółtej skóry. – Nigdy nie czułam, że cokolwiek dostałam. Wielu rzeczy nie dostałam, co do

tego zgadzam się z tobą. Nie krzycz na mnie, Angelino. Czy już to mówiłam?

Córka Mary, najmłodsza z pięciu siostr i (skrycie) najukochańsza, miała na imię Angelina, ponieważ w czasie ciąży Mary miała wrażenie, że nosi w łonie aniołka. Mary wyprostowała się na krześle i spojrzała na córkę, która od lat była kobietą w średnim wieku. Angelina nie odwzajemniła matczynego spojrzenia. Z krzesła w kącie Mary widziała, jak słońce pada na kościelną dzwonnice, i zatrzymała tam wzrok.

– Tata krzyczał nieustannie – zauważyła Angelina, patrząc na obicie kanapy. – Jak możesz mówić, że nie zostałam wychowana w ten sposób, skoro zostałam. Wyrosłam w towarzystwie niezłego krzykacza. Tata był krzykaczem.

– Stary krzykacz. *Żółte psisko* [\*]. – Mary przyłożyła dłoń do piersi. – Jakież to był smutny film. Zabraliśmy was do kina, a potem Tammy nie spała chyba przez miesiąc. Pamiętasz, jak zabrali tego biednego psa na pastwisko i go zastrzelili?

– Musieli, mamó. Był wściekły.

– Ciekły?

– Wściekły. Och, mamó, nie chcę, żebyś mnie tak zasmucała. – Angelina przymknęła oczy i delikatnie uderzyła dłonią w kanapę.

– Oczywiście, że nie chcesz – zawtórowała matka. – Naprawdę zużyłaś całe swoje oszczędności, żeby tu przyjechać? Twój ojciec w ogóle ci nie pomógł? Naprawdę nie krzyczałam na ciebie za to, że krzyczysz. Zróbmy coś przyjemnego.

– W obcym kraju wszystko wydaje się takie trudne – zauważyła Angelina. – Włosi jakby szczycą się tym, że nie mówią po angielsku. Myślałaś o tym po przyjeździe? Że wszystko jest bardzo trudne?

– Owszem – przyznała Mary. – Ale człowiek z czasem się przyzwyczaja. Wiesz, kiedy Paola przy mnie nie było, całymi tygodniami nawet nie próbowałam zamówić kawy w tej kafejce na rogu. Początkowo sądzili, że jestem jego matką. Kiedy odkryli, że jestem jego żoną, chyba się z nas nabijali. Potem Paolo nauczył mnie płacić, kładąc bilon na talerzu.

– Mamó.

- Co, kochanie?
- Och, mamó, to mnie tak zasmuca. Po prostu.
- To, że nie umiesz kłaść bilonu na talerzu?
- Nie, mamó. To, że brali cię za jego matkę.

Mary zastanowiła się nad słowami córki.

– Właściwie dlaczego mieliby tak myśleć? Przecież jestem Amerykanką, a on Włochem. Raczej tak nie myśleli.

– Ty jesteś moją matką! – wybuchła Angelina, co o mały włos znów nie doprowadziło Mary do płaczu, ponieważ na moment uświadomiła sobie całą krzywdę, jaką musiała wyrządzić, a przecież ona, Mary Mumford, w życiu nie zamierzała ani nie chciała nikogo skrzywdzić.

\*

Siedziały przy oknie w kafejce obok kościoła. Kafejkę zbudowano na skałach nad wodą. Pod koniec sierpnia słońce zalewało wszystko szalonym blaskiem. Nawet po czterech latach piękno tej miejscowości nie przestało zadziwiać Mary. Mimo to odczuwała silny niepokój. Najstarsza córka, Tammy, napisała jej w mailu, że Angelina ma problemy małżeńskie, dlatego Mary zamierzała wypytać ją, gdy tylko znajdą się same, teraz jednak nie mogła się na to zdobyć. Pokazała córce duży statek pasażerski płynący do Genui, na co Angelina skinęła głową. Okno, przy którym siedziały, było otwarte, podobnie jak drzwi. Mary zjadła rożek morelowy, potem położyła dłoń na ramieniu Angeliny, zaczęła cicho nucić *You Were Always on My Mind*, ale córka zmarszczyła czoło i spytała:

– Ciągłe masz bzika na punkcie Elvisa?

– Tak. – Mary wyprostowała się, kładąc dłonie na kolanach. – Paolo ściągnął mi wszystkie jego piosenki na mój telefon.

Angelina otworzyła, potem zamknęła usta.

Kątem oka Mary ponownie zauważyła, że czas zostawił piętno na jej córeczce. Wokół ust i oczu Angelina miała zmarszczki, których Mary nie pamiętała. Włosy, wciąż jasnobrązowe i sięgające za ramiona, były rzadsze niż we wspomnieniach Mary. Poza tym Angelina miała na sobie takie obcisłe dzinsy! Mary od razu zwróciła na to uwagę.

– Spójrz, kochanie – powiedziała Mary, wskazując ręką morze. – We Włoszech uwielbiam to, że życie toczy się na dworze. Otwarte drzwi, otwarte okno.

– Zimno mi – powiedziała Angelina.

– Weź to. – Matka wręczyła jej szal, z którym się nie rozstawała. – Rozłóż go, a będziesz mogła nim owinać chude ramiona.

Najmłodsza córka spełniła polecenie.

– Opowiedz mi o swoim życiu – poprosiła Mary. – Jeśli chcesz, nawet o najdrobniejszych szczegółach.

Angelina poszperała w niebieskiej słomkowej torebce i wyjęła komórkę, którą położyła na stoliku.

– Bliźniaczki i ja poszliśmy na jarmark rzemieślniczy i nie uwierzysz, co dostałyśmy. Czekał, chyba mam zdjęcie w telefonie. – Mary przysunęła bliżej krzesło i na ekranie telefonu zobaczyła śliczny różowy sweter, który jedna z bliźniaczek kupiła Tammy na urodziny.

– Opowiedz mi więcej – poprosiła Mary. Jej pragnienie urosło nagle do nieba. Pokaż mi, pokaż, wołało jej serce. – Pokaż mi wszystkie zdjęcia – prosiła.

– Mam sześćset trzydzieści dwie fotki – oznajmiła Angelina, zerkając na komórkę.

– Pokaż mi wszystkie. – Mary uśmiechała się promiennie do najmłodszej córki.

– Ale żadnych łez – ostrzegła Angelina.

– Ani kropelki.

– Jedna kropla i przestajemy.

– Mój Boże – westchnęła Mary i pomyślała: Kto wychował tę dziewczynę?

\*

Kiedy wracały do *caseggiato*, słońce skryło się za chmurą, co w dramatyczny sposób zmieniło światło. Dzień wydał się nagle jesienny, chociaż palmy oraz jaskrawo pomalowane domy klóciły się z tym, nawet

według Mary, która przypuszczalnie powinna się przyzwyczaić. Mary czuła się oszołomiona wszystkim, co widziała w telefonie córki, całym tym życiem toczącym się bez niej w Illinois.

– Niedawno myślałam o ślicznych córkach państwa Nicely – powiedziała. – Chyba przypomniał mi się Klub. Klub i tamtejsze tańce.

– Śliczne córki państwa Nicely były zdzirami – rzuciła przez ramię Angelina.

– Nieprawda, Angelino. Nie bądź niemądra.

– Mamo. – Angelina przystanęła i odwróciła się do matki. – One były zdzirami. Przynajmniej dwie najstarsze. Sypiały ze wszystkimi.

Mary również się zatrzymała. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na córkę.

– Mówisz poważnie?

– Mamo, sądziłam, że o tym wiesz.

– Skąd, na Boga, miałabym to wiedzieć?

– Wszyscy o tym wiedzieli, mamo. Zresztą mówiłam ci o tym. Mój Boże.

– Po chwili Angelina dodała: – Chociaż Patty taka nie była. Myślę, że nie.

– Patty?

– Najmłodsza z sióstr Nicely. Dzisiaj się z nią przyjaźnię. – Angelina poprawiła na nosie ciemne okulary.

– To miłe – stwierdziła Mary. – Nicely, miło. Od jak dawna się przyjaźnicie?

– Od czterech lat. Pracujemy razem.

Cztery lata, pomyślała Mary. Od czterech lat nie widziałam mojego najdroższego aniołka. Zerkając na córkę, Mary znowu pomyślała, że dzinsy za bardzo obciskają jej drobną pupę. Angelina była kobietą w średnim wieku. Czyżby miała romans? Mary powoli potrząsnęła głową.

– Cóż, myślałam o czasach, kiedy śliczne córki państwa Nicely były młode. Twój ojciec i ja byliśmy na ślubie jednej z nich. Przyjęcie urządzono w Klubie.



Angelina ruszyła dalej.

– Czy czasem za nim tęsknisz? – spytała przez ramię. – Za Klubem?

– Och, kochanie. – Mary brakowało tchu. – Nie, nie mogę powiedzieć, żebym tęskniła za Klubem. Wiesz, to nigdy nie była moja bajka.

– Ale sporo tam chodziliście z tatą. – Powiew wiatru poderwał włosy Angeliny, aż wyprostowały się pionowo w górę.

– To prawda. – Mary szła ulicą za córką, a po chwili Angelina odwróciła się, żeby na nią zaczekać. – Mieli tam jedną ścianę z indiańskimi grotami strzał pod szkłem. Sama nie wiem – powiedziała Mary.

– Nie sądziłam, że tam ci się nie podobało – oświadczyła córka. – Moje przyjęcie weselne odbyło się właśnie w Klubie.

– Kochanie, powiedziałam, że to nie była moja bajka i to prawda. Nie wychowałam się w ten sposób i nigdy nie przywykłam do popisywania się nowymi sukniami i tych wszystkich kobiecych głupstw – stwierdziła Mary i pomyślała: o rany!

– Mamo, czy nie pamiętasz pani Nicely? Wiesz, co się z nią stało? – Angelina popatrzyła na matkę zza ciemnych okularów.

– Nie. Co się z nią stało? – spytała Mary, czując, jak w piersiach zalega jej niepokój.

– Nic. Chodź, ruszajmy dalej.

– Poczekaj chwilę – poprosiła Mary.

Weszła do sklepiku, Angelina wcisnęła się za nią.

– Ach, *buongiorno, buongiorno* – powitał je sprzedawca.

Mary odpowiedziała po włosku i wskazała Angelinę. Sklepikarz położył paczkę papierosów na maleńkiej ladzie przed sobą.

– *Sì, grazie* – podziękowała Mary, potem dodała coś jeszcze, czego Angelina nie zrozumiała, sklepikarz uśmiechnął się szeroko, odsłaniając odbarwione zęby pełne ubytków. Szybko odpowiedział Mary, która odwróciła się, trącając Angelinę wielką żółtą torbą. – Kochanie, on mówi, że jesteś piękna. *Bellissima!* – Matka zamieniła ze sklepikarzem jeszcze kilka słów, w końcu wyszły na ulicę. – On mówi, że jesteś do mnie podobna. Och,

od lat tego nie słyszałam. Ludzie zawsze mówili o tobie: wykapaną matką.

– Mamo, ty ciągle palisz?

– Tak, jednego papierosa dziennie.

– Uwielbiałam, kiedy ludzie mówili, że jestem do ciebie podobna – powiedziała Angelina. – Jesteś pewna, że jeden papieros dziennie ci nie zaszkodzi?

– Jeszcze nie umarłam. – Mary zamierzała dodać: Sama się dziwię, że jeszcze nie umarłam, ale obiecała sobie nie rozmawiać z Angeliną o śmierci.

Angelina ujęła matkę pod ramię, a ta pociągnęła ją, by przepuścić kobietę na rowerze.

– Mamo – powiedziała Angelina, odwracając się i patrząc na rowerzystkę. – Ta kobieta jest w twoim wieku, na szyi ma perły, na nogach szpilki i pedałuje z pełnym koszem na bagażniku.

– Wiem, kochanie. Kiedy tu przyjechałam, też mnie to zdumiewało. Potem uznałam, że te kobiety w niczym nie różnią się od ludzi jeżdżących na zakupy do supermarketów. Tyle tylko, że robią to na rowerach.

Angelina ziewnęła szeroko, po czym stwierdziła:

– Ciebie zawsze wszystko zdumiewało, mamo.

\*

Po powrocie do mieszkania Mary położyła się na popołudniową sjęstę, a Angelina oznajmiła, że napisze maile do dzieci. Za oknem Mary widziała morze.

– Przynieś tu komputer – zawołała do córki, ale Angelina odkrzyknęła:

– Odpoczywaj, mamo, wszystko w porządku. Potem porozmawiamy z nimi przez Skype'a.

Proszę, myślała Mary. Proszę, przyjdź tu i pobądź ze mną. Fakt, że jej najmłodsza córka, ukochana, która jako jedyna z dzieci nie odwiedzała jej od czterech lat, wręcz odmówiła przyjazdu, choć mówiła, że przyjedzie rok wcześniej, fakt, że ta dziewczyna (kobieta) siedziała teraz w sąsiednim pokoju, przywracał Mary poczucie naturalności, a przecież obecność córki ani trochę nie była naturalna. Proszę, myślała więc Mary. Czowała się jednak

zmęczona, a prośba mogła równie dobrze odnosić się do Paola, żeby dobrze się bawił ze swymi dziećmi, które właśnie odwiedzał w Genui. Prośba mogła też dotyczyć jej pozostałych córek, oby zdrowie im dopisywało. Och, tak wiele było rzeczy, o które Mary mogła prosić.

Kathie Nicely.

Mary wsparła się na łokciu. Kobieta, która porzuciła rodzinę. Na wspomnienie tej drobnej, ładnej osoby Mary zrobiło się nagle gorąco.

– Och – westchnęła cicho Mary i znów się położyła.

Kathie Nicely, choć zawsze uśmiechnięta, nie przepadała za Mary, która dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że przyczyna leżała w ubogim pochodzeniu. „Ubogie pochodzenie”, w ten sposób teściowa Mary określała rodzinę, z której ta się wywodziła. Istotnie, nie mieli grosza przy duszy. Jednak Mary była słodką dziewczyną, zagrzewała sportowców na meczach i wpadła w oko Mumfordowi, którego ojciec miał wielką firmę produkującą maszyny rolnicze. Cóż ona wtedy wiedziała? Leżąc na łóżku, Mary potrząsnęła głową. Wiedziała mniej niż nic.

No cóż, pomyślała, przewracając się na bok, teraz już co nieco wiedziała: na przykład to, że Kathie Nicely nigdy jej nie poważała. Mary machnęła ręką lekceważąco. Mimo to poszli na ślub jednej z ich córek. Najstarszej? Na pewno. Lata temu.

Zaraz. Zaraz. Zaraz.

Mary sobie przypomniała. Kiedy odbył się ślub, Kathie Nicely nie mieszkała już z rodziną i na weselu szeptano, że ma romans. Jakimś trafem – dlaczego właśnie tak się stało? – te szeptki uzmysłowiły Mary, że jej mąż też ma romans, z tą okropną grubą Aileen, swoją sekretarką. Dopiero po kilku dniach Mary wycisnęła z męża przyznanie się do romansu, potem dostała zawału. Oczywiście, że nie pamiętała o Kathie Nicely, skoro jej własny świat się rozsypywał.

Mary przyciągnęła na łóżku żółtą skórzaną torbę, znalazła telefon, wsunęła do uszu słuchawki i Elvis zaśpiewał *I've Lost You*. Dwa lata starszy od Mary, pochodzący z tego samego miasteczka w Missisipi co Mary, Elvis Presley zawsze był jej potajemnym przyjacielem, choć nigdy go nie spotkała, bo jeszcze w dzieciństwie zabrali ją na farmę w Illinois, gdzie ojciec zatrudnił się na należącej do kuzyna stacji benzynowej w miasteczku

Carlisle. Pewnego razu Elvis występował dwie godziny drogi od jej domu, ale dzieci były jeszcze małe i nie mogła pojechać. Och, nikt nie zdawał sobie sprawy, ile czasu Mary rozmyślała o Elvisie. Na wczesnym etapie małżeństwa rozwinęła się zmyślona przyjemność, o której inni nie wiedzieli. Mary fantazjowała, że jest z Elvisem za kulisami, patrzy w jego samotne oczy i daje mu poznać, że go rozumie. W myślach pocieszała go z powodu uwagi, że jest „gruby i po czterdziestce”, którą ten głupi komik zrobił w telewizji. Wyobrażała sobie, że spędzają razem sporo czasu, a Elvis opowiada jej o ich rodzinnym mieście i swojej mamie. Po jego śmierci płakała cicho wiele dni.

Ale Paolo... Jemu opowiedziała o swym wyobrażonym życiu z Elvisem. Przemykając jedno oko, Paolo przyjrzał się Mary, potem rozłożył szeroko ręce i ją objął. Wolność. O, Boże, wolność bycia kochaną!

Po przebudzeniu ujrzała córkę stojącą w drzwiach. Mary poklepała łóżko.

– Chodź, kochanie. To nie jest jego strona. Ja leżę po jego stronie.

Angelina postawiła błyszczący mały komputer na toalecie i położyła się obok matki.

– Spójrz na morze. Ciągnie się aż do Hiszpanii. – Angelina zamknęła oczy. Mary uniosła się odrobinę. – Powiedz, co z mózgiem twojego ojca? – Cicho beknęła morelowym nadzieniem rożka.

– Nie ma demencji, choć pilnie wypatruję jej oznak – odparła Angelina.

– To dobrze – powiedziała Mary. W dużej żółtej torbce znalazła chusteczkę higieniczną i przytknęła do ust. – Ale miałam na myśli raka.

Angelina otworzyła oczy i też usiadła.

– Nie było nawrotów raka. Nie sądzisz, żebyśmy cię powiadomili?

– Sama nie wiem – odparła szczerze Mary.

– Nie jesteśmy wredni, mamó. Powiedzielibyśmy ci, gdyby tata znów zachorował. Daj spokój, mamó.

– Oczywiście, że nie jesteś wredna, aniołku. Nikt nie twierdzi, że jesteś wredna. Ja tylko pytałam. – Jestem taka głupia, pomyślała Mary. Ta pewność sprawiła, że zrobiło się jej żal córki i znów zebrało się jej na płacz. Usiadła wyżej na łóżku. – Nie myślmy już o tym. – Z żółtej torby wyjęła plastikową

torebkę pełną zużytych chusteczek higienicznych, które wrzuciła do kosza pod stolikiem przy łóżku.

– Jesteś taka zabawna – zaśmiała się Angelina. – Ta twoja nieodłączna kolekcja zużytych chusteczek.

Śmiech córki rozśmieszył Mary.

– Mówiłam ci, że jeśli masz pięć córek, które są nieustannie przeziębione, musisz chodzić i zbierać chusteczki...

– Wiem, mamó, wiem. – Angelina oparła głowę na matczynym ramieniu, a matka przelotnie dotknęła dłonią jej twarzy.

\*

Kto porzuca małżeństwo po pięćdziesięciu jeden latach? Z pewnością nie Mary Mumford. Potrząsnęła głową.

– Co, mamó? – spytała Angelina.

Wciąż leżały na łóżku. Mary raz jeszcze potrząsnęła głową. Kto porzuca małżeństwo po pięćdziesięciu jeden latach?

Cóż, Mary to zrobiła. Odczekała, aż dziewczynki dorosną, poczekała, aż dojdzie do siebie po zawale, którego dostała na wieść, że jej mąż od trzynastu lat miał romans z sekretarką – trzynaście lat z taką grubaską – potem odczekała, aż dojdzie do zdrowia po wylewie, którego dostała, kiedy mąż odkrył listy od Paola – już blisko dziesięć lat temu – och, jak on krzyczał, czerwony na twarzy, z tą okropną żyłką z boku głowy, która o mały włos nie pękła, ale zamiast tego żyłka pękła w Mary, jej zdaniem stanowiło to część małżeństwa, brała na siebie pękające żyłki męża, potem jeszcze odczekała, aż nie umarł na raka mózgu, na którego zachorował zaraz po tym, jak oznajmiła mu, że odchodzi; tak więc czekała i czekała, drogi Paolo czekał również, aż w końcu: oto tu była.

Skąd człowiek miał wiedzieć? Nie wiedziało się absolutnie nic; ludzie sądzący, że coś wiedzą... Cóż, czekała ich spora niespodzianka.

– Byłaś dla mnie taka dobra. – Leżąc na łóżku, Angelina zrzuciła płaskie czarne pantofle, które spadły cicho na podłogę.

– Co masz na myśli, kochanie?

– Byłaś dla mnie taka dobra, mamó. Tuliłaś mnie do snu, jeszcze gdy miałam osiemnaście lat.

– Kochałam cię – powiedziała Mary. – Nadal cię Kocham.

– To jest twoja strona łóżka, tak? – Angelina usiadła.

– Tak, Kochanie, przysięgam.

Angelina westchnęła i znowu położyła się obok matki.

– Przepraszam. Kiedy on jutro wróci, będę dla niego miła. Wiem, że on jest dobry, mamó. Zachowuję się jak dziecko.

– Na twoim miejscu czułabym to samo – zapewniła Mary, choć wcale tak nie uważała. Zerknęła na zegar i oznajmiła: – Chodź, czas na moją kąpiel w morzu.

Angelina wstała z łóżka i poprawiła włosy.

– Jesteś taka opalona – powiedziała do matki. – Zabawne widzieć cię tak brązową.

– Cóż, tak to jest nad morzem. – Mary poszła do łazienki, przebrała się w kostium, na który włożyła sukienkę. – Chodźmy. W wodzie nic nie musisz robić, wystarczy siedzieć. Przysięgam, że woda sama cię utrzyma.

O szesnastej słońce świeciło mocno, zalewało światłem domy na wzgórzach, podkreślało jasne barwy, jaskrawożółte kwiaty, palmy. Mary zeszła w plastikowych klapkach po skałach na plażę. Tam ściągnęła sukienkę, położyła ją na ręczniku i sięgnęła po okulary pływackie.

– Mamó, masz na sobie bikini.

– Dwuczęściowy kostium, Kochanie. Rozejrzyj się. Widzisz tu kogoś w jednoczęściowym? Oprócz ciebie? – Mary nałożyła okulary, weszła do wody, po chwili odpłynęła od brzegu, widząc pod sobą małe rybki. Pływanie było jej ulubioną czynnością, nawet teraz, podczas wizyty córki. Ktoś chlapał, więc Mary się zatrzymała. Tuż obok stała Angelina z mokrymi włosami.

– Wyglądasz tak zabawnie, mamó, w tym żółtym bikini i okularach. O Boże, mamó! – Matka i córka pływały, zaśmiewając się w palącym słońcu.

Siadając na ogrzanej przez słońce skale, Angelina spytała:

– Masz przyjaciół?

– Owszem – przytaknęła Mary. – Moją najlepszą przyjaciółką jest Valeria. Nie pisałam ci o niej? Och, kocham ją. Poznałam ją na skwerze. Zobaczyłam, że siedzi obok staruszki... Valeria ma najśłodsza twarz, jaką znam, oprócz twojej, Angelino. Siedziała nad morzem obok staruszki, która miała nogi pociemniałe od chyba stu lat słońca. Gapiłam się na nogi tej kobiety, na purpurowe żyły w tych ciemnych otoczkach, jak kiełbasy, i pomyślałam sobie: „Jakim cudem jest życie! Te stare nogi wciąż pompują krew”. Tak właśnie myślałam, a potem podniosłam wzrok i zobaczyłam kobietę, która rozmawiała ze staruszką. Valeria jest drobniutka, niemal siedziała tamtej na kolanach, a słodycz jej twarzy... – Mary potrząsnęła głową. – Dwa dni później ta drobniutka kobieta podeszła do mnie pod kościołem. Zna trochę angielski, ja mówię odrobinę po włosku. Tak, mam przyjaciółkę. Możesz ją poznać, Valeria bardzo pragnęłaby cię poznać.

– Dobrze – odparła Angelina. – Może za kilka dni. Jeszcze nie wiem.

– Co tylko chcesz.

Przed ich oczami przesuwały się cztery statki: pasażerski do Genui oraz tankowce.

– Czy on jest dla ciebie dobry, mamó?

– Bardzo dobry – odparła Mary.

– To dobrze. W porządku. – Po chwili Angelina dodała: – A jego synowie? Oni też są dla ciebie mili?

– Całkowicie. – Mary lekceważąco machnęła ręką. – Spójrz, co zrobił dla mnie Paolo, kochanie. Ściągnął mi na telefon wszystkie piosenki Elvisa. – Mary sięgnęła po komórkę, spojrzała na nią, potem schowała do dużej żółtej torby.

– Już mi mówiłaś – przypomniła matce Angelina, po czym dodała sympatyczniejszym tonem: – Zawsze lubiłaś żółty kolor. – Dotknęła matczynej torby. – I ona jest żółta.

– Zawsze kochałam żółty.

– I to twoje żółte bikini. Rozczulasz mnie, mamó.

Na horyzoncie ukazał się kolejny statek. Mary pokazała go dłonią i Angelina powoli przytaknęła.

\*

Napuściła wody do wanny dla Angeliny, jak to robiła przez lata i niemal oczekiwała, że dziewczyna pozwoli jej zostać, by porozmawiać, bo często tak robiły, gdy była mała. Angelina powiedziała jednak:

– Dobrze, mammo. Niedługo wyjdę.

Leżąc na łóżku, gdzie spędzała znaczną część dnia, Mary utkwiała wzrok w wysokim suficie i pomyślała, że córka nie pojmuje, jakie to uczucie być tak wyposzczoną. Blisko pięćdziesiąt lat pragnienia. Na przyjęciu niespodziance z okazji czterdziestych pierwszych urodzin męża – Mary była bardzo dumna, że zorganizowała je właśnie na jego czterdzieste pierwsze, żeby go zaskoczyć, i z pewnością tak się właśnie stało – zauważyła, że ani razu z nią nie zatańczył. Potem dotarło do niej, że mąż po prostu nie jest w niej zakochany. Podczas urządzanego przez córki przyjęcia z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu też nie poprosił jej do tańca.

Później tego samego roku, gdy Mary skończyła sześćdziesiąt dziewięć lat, dostała od córek prezent w postaci wycieczki do Włoch. Kiedy grupa pojechała do wioski Bogliasco, Mary zgubiła się w deszczu i znalazł ją Paolo, który mówił po angielsku, a ona właściwie nie zwracała uwagi na jego wiek. Zakochała się. Naprawdę. Paolo miał za sobą dwadzieścia lat małżeństwa, choć odnosił wrażenie, że trwało pięćdziesiąt. Teraz był sam. Oboje byli wyposzczeni.

Ostatnio częściej myślała o mężu, byłym mężu. Martwiła się o niego. Nie sposób żyć z kimś pięćdziesiąt lat i nie martwić się o niego. I nie tęsknić. Czasem tęsknota za nim sprawiała, że Mary czuła się pusta w środku. Jak dotąd Angelina nie wspomniała o swoim małżeństwie, a Mary z niepokojem czekała, aż córka poruszy ten temat. Mąż Angeliny był dobrym człowiekiem; kto wie? Kto wie.

\*

W wannie Angelina odchyliła głowę do tyłu i nałożyła na włosy szampon. Pływając z matką, czuła się szczęśliwa. Teraz jednak, w tej okropnej starej wannie na szponiastych nóżkach, gdy próbowała tak trzymać dziwaczny mały prysznic, by wszędzie nie nachlapać, teraz Angelinę ogarnęło najgorsze z uczuć: niedowierzanie. Wprost nie mogła uwierzyć, że matka tak bardzo zmieniła się z wyglądu. Nie mogła uwierzyć, że matka nie



mieszka już kilkanaście kilometrów od niej, od wnuków. Nie wierzyła, że matka wyszła za nudnego Włocha w wieku Tammy. Myjąc włosy, chciała krzyknąć: nie, nie, nie! Och, tak strasznie tęskniła za matką. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu nieustannie mówiła o matce, a Jack słuchał, potem jednak nieoczekiwanie odszedł, oznajmiając: „Ty nie kochasz mnie, Angie, ty kochasz swoją matkę”. I oto przyjechała odwiedzić matkę, by opowiedzieć jej o swoim małżeństwie, tej kobiecie – swojej matce – w której była zakochana.

Żeby ten sympatyczny Paolo odbierał ją z lotniska, stojąc obok drobnej, starej, opalonej kobiety, jej matki (!), wiozł je tymi zwariowanymi drogami, co z tego, że pojechał na kilka dni do syna do Genui, aby Angelina mogła pobycć sam na sam z matką? Nienawidziła tu wszystkiego, piękna tej durnej miejsciny, wysokich sufitów upiornego mieszkania, arogancji Włochów. Oczami wyobraźni ujrzała swoją młodość, połacie kukurydzy za domem w Illinois. To prawda, ojciec był krzykaczem. Przez trzynaście lat romansował z tą głupią grubaską, to także prawda. Ale to tutaj było, zdaniem Angeliny, po prostu żałosne, oczywiście bolesne, ale żałosne. Czemu matka nie widziała, co zrobiła, odchodząc? Dlaczego tego nie dostrzegiała? Mógł istnieć tylko jeden powód: pod całym swoim wariactwem matka była trochę tępa; brakowało jej wyobraźni.

Buuu. Buuu. Tak robił ojciec, ilekroć zastał którąś z córek zapłakaną. Zbliżał twarz do twarzy płaczącej i buczał. Naprawdę był z niego kawał drania, ale był jej ojcem i go kochała. Był za prawem do posiadania broni, strzelał do każdego, kto wszedł do jego domu; tak już go wychowano, a gdyby zamiast córek miał synów, wyrosliby pewnie na podobnych ludzi. Angelina miała nadzieję, że ojciec nie przyjedzie do Włoch, do tego okropnego miasteczka, nie dowie się o tym zerze, tym Paolu, który zabrał uczucia matki na tak późnym etapie życia. Gdyby ojciec znowu zachorował, gdyby tym razem naprawdę miał umrzeć, jakoś dotarłby do miasteczka, znalazł to zero, Paola, zastrzelił go w miejscu publicznym, a potem odebrał sobie życie.

To było wariactwo niemal w stylu włoskim.

– Dlaczego myślałaś, że tata miałby dawać mi pieniądze na przyjazd tutaj? – spytała matkę, siedząc na łóżku i wycierając włosy.

– Jest twoim ojcem. Podtrzymuję to, co mówiłam. – Mary skinęła głową.

– Czemu miałyby mi pomagać odwiedzić swoją byłą żonę, która porzuciła go, kiedy chorował na raka mózgu?

Mary poczuła w głowie coś na kształt porażenia prądem, co oznaczało, że nagle ogarnął ją wielki gniew. Usiadła prosto, opierając się plecami o wezgielowie łóżka.

– Nie porzuciłam go, kiedy chorował na raka mózgu. W tym właśnie rzecz. Dobry Boże, czy wyście tego nie wiedziały? Zostałam, opiekowałam się nim, a kiedy wydobrzył, ruszyłam dalej ze swoim życiem. – Mary pomyślała: Jeżeli nie zaprzestasz tych głupstw, młoda damo, dostanę kolejnego wylewu. Ale Angelina nie była młodą damą. Miała dwójkę dzieci, gotowych do opuszczenia domu, z pewnością okaże wrażliwość ze względu na to, co sama przeżywała... Jednak Mary rozgniewała się nie na żarty. Nigdy nie lubiła się gniewać; nie wiedziała, co z tym począć. – Co z Jackiem? – spytała. – Ani razu o nim nie wspomniałaś.

Angelina wbiła wzrok w podłogę. Po chwili rzekła:

– Przeżywaliśmy trudny okres. Pracujemy nad różnymi sprawami. Nigdy nie nauczyliśmy się walczyć. – Nieprzyjemnie popatrzyła na matkę, po czym znów spojrzała na podłogę. – Ty i tata nigdy nie walczyliście. Tata wrzeszczał, a ty mu pozwalałaś. Ale nie nazwałabym tego konstruktywną walką.

Mary czekała. Gniew jej nie opuścił; wyostrzył tylko umysł. Czowała się silna, ugruntowana w sobie.

– Konstruktywna walka – powiedziała. – Twój ojciec i ja nie walczyliśmy konstruktywnie. Rozumiem, mów dalej.

– Nie chcę o tym mówić. – Angelina, mocno nadąsana, wciąż wpatrywała się w podłogę. Można by pomyśleć, że to dziecko ma dwanaście lat i się dąsa, ale to nigdy nie leżało w naturze Angeliny.

– Angelino. – Mary poczuła, że jej głos drży z gniewu. – Posłuchaj mnie. Nie widziałam cię od czterech lat. Inne dzieci mnie odwiedziły, ty nie. Tammy była tu nawet dwukrotnie. Wiem, że jesteś na mnie zła. Nie winię cię. – Mary usiadła i opuściła stopy na podłogę. – Czekaj, właśnie, że cię winię.

Angelina spojrzała na matkę zaniepokojona.

– Winię cię, ponieważ jesteś dorosła. Nie opuściłam cię, kiedy byłaś dzieckiem. Zrobiłam wszystko, co mogłam, a potem... się zakochałam. Więc dalej, bądź zła, ale chciałabym, chciałabym... – Gniew opuścił nagle Mary i poczuła się fatalnie. Wygląd Angeliny sprawiał, że czuła się okropnie. – Powiedz coś, kochanie – poprosiła Mary. – Powiedz coś.

Angelina milczała. Mary nie przyszło do głowy, że córka nie wiedziała, co powiedzieć. Kilka minut siedziały w ciszy, Angelina wpatrzona w podłogę, Mary ze wzrokiem skierowanym na córkę. W końcu matka powiedziała cicho:

– Mówiłam ci, że kiedy lekarz mi cię wręczył, poznałam cię?

Angelina popatrzyła na matkę i nieznacznie potrząsnęła głową.

– Z innymi to się nie wydarzyło. Och, oczywiście natychmiast je pokochałam, ale z tobą było inaczej. Kiedy lekarz powiedział: „Weź swoją córkę, Mary”, wzięłam cię, spojrzałam na ciebie i wydarzyło się coś niezwykłego, Angelino, bo pomyślałam: O, to ty. Nie towarzyszyło temu nawet zdziwienie. To była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Poznałam cię, kochana. Nie rozumiem dlaczego, ale cię poznałam.

Angelina podeszła do łóżka od strony matki i usiadła obok niej.

– Wyjaśnij, co masz na myśli.

– Cóż, spojrzałam na ciebie i pomyślałam... dokładnie to pomyślałam, kochanie... Och, to ty, oczywiście, że to ty! Właśnie to pomyślałam. Po prostu cię znałam, ale tak jakbym cię rozpoznała. – Mary dotknęła włosów córki, wciąż wilgotnych i pachnących szamponem. – Kiedy nosiłam cię w brzuchu, wiedziałam, że noszę...

– Aniołka – dokończyła Angelina razem z matką.

Chwilę milczały, siedząc na łóżku i trzymając się za ręce. W końcu Mary powiedziała:

– Pamiętasz, jak uwielbiałaś książki o dziewczynce na prerii? Potem oglądaliśmy serial w telewizji.

– Pamiętam. – Angelina odwróciła się do matki. – Najlepiej pamiętam jednak, jak tuliłaś mnie do snu. Każdej nocy. Nie znosiłam, kiedy odchodziłaś. Noc w noc mówiłam: Jeszcze nie!

– Czasem czułam się taka zmęczona, że kładłam się obok ciebie, a ty nie znosiłaś, jak moja głowa znajdowała się poniżej twojej. Pamiętasz?

– Bo wtedy czułam, jakbyś stała się dzieckiem. Potrzebowałam cię jako dorosłej – wyjaśniła Angelina.

– Rozumiem – odparła Mary i znów zapadło milczenie. Potem Mary ujęła córkę za przegub i powiedziała: – Nie powtarzaj siostrze, że rozpoznałam cię po urodzeniu i że ich nie poznałam. Nie lubię sekretów. Ale ty powinnaś wiedzieć.

Angelina wyprostowała się i rzekła:

– To musi znaczyć...

– Nie wiemy, co to znaczy – przerwała jej matka. – Nie wiemy, co znaczą rzeczy na tym świecie. Ale wiem, co wiedziałam na twój widok. Wiem, że zawsze mnie uszczęśliwiałaś. Wiem, że jesteś moim najdroższym aniołkiem.

(Nie powiedziała, a tylko przelotnie pomyślała: Zawsze zajmowałaś w moim sercu tyle miejsca, że niekiedy było mi z tym ciężko).

\*

W kuchni, podczas gdy szukały garnków i patelni, gotowały wodę i podgrzewały sos, Mary była bliska ekstazy. Szczęście wprost w niej brzęczało; mogłaby je jeść jak chleb! Być w kuchni z córką, rozmawiać o zwyczajnych sprawach, dzieciach, pracy Angeliny w szkole – to było cudowne! Mary zapaliła światło w części jadalnej, zjadły makaron i rozmawiały o siostrach Angeliny. Po wypiciu kieliszka wina Mary powiedziała:

– Słowo daję, co powiedziałaś o tych Nicelych. Boże mój.

– Ach. – Angelina otarła usta serwetką. – Chcesz posłuchać plotek?

– O, tak – odparła Mary.

– Pamiętasz Charliego Macauleya? Musisz go pamiętać.

– Owszem. Był wysoki i sympatyczny. Potem pojechał do Wietnamu. Kurczę, to było takie smutne.

– Tak, to on. Okazuje się, że Charlie spotykał się w Peorii z prostytutką, a żonie mówił, że jeździ na spotkania terapeutyczne dla weteranów. Poczekaj,

poczekaj... Najwyraźniej dał tej prostytutce dziesięć tysięcy dolarów, jego żona się dowiedziała i wyrzuciła go z domu.

– Angelino.

– Właśnie tak. Wykopała go. Zgadnij, z kim on jest teraz. No, mamó, zgadnij!

– Nie potrafię, aniołku.

– Z Patty Nicely!

– Nie!

– Tak. No dobrze, Patty nie przyszła do mnie i nie powiedziała tego wprost, ale schudła. Mówiłam ci, że ona utyla i dzieciaki w szkole nazywają ją Gruba Patty? Cóż, teraz jest bardzo miła dla Charliego, wygląda cudownie, zresztą oni tak jakby się przyjaźnili. No więc, tak to jest. – Angelina znacząco kiwnęła głową. – Nigdy nic nie wiadomo.

– Mój Boże – powiedziała Mary. – To wspaniałe plotki, aniołku, słowo daję. Dzieciaki w szkole mówią na nią Gruba Patty? Prosto w oczy?

– Nie. Ona chyba nawet o tym nie wie. – Angelina westchnęła i odsunęła talerz. – Ona jest bardzo miła.

Po posiłku Mary przeniosła się na sofę. Poklepała miejsce obok siebie i Angelina dołączyła z kieliszkiem wina.

– Posłuchaj mnie – poprosiła Mary. – Słuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Angelina usiadła prosto i spojrzała na matczyne stopy. Dopiero teraz spostrzegła, że kostki matki nie są już drobne jak zawsze.

– Miałaś trzynaście lat. Przyszłam odebrać cię z biblioteki i wydarłam się na ciebie... – Głos Mary zadrżał, Angelina spojrzała na nią i powiedziała:

– Mamó...

Ale matka potrząsnęła głową i ciągnęła:

– Nie, kochanie, pozwól mi mówić dalej. Chcę tylko powiedzieć, że cię skrzyczałam, bardzo, nie mam pojęcia dlaczego, przestraszyłaś się, a ja krzyczałam, bo dowiedziałam się o twoim ojcu i Aileen, ale nigdy ci o tym nie mówiłam... Dopiero, no wiesz, chyba milion lat później, ale rzecz w tym,

kochanie, że cię przestraszyłam, nakrzyczałam na ciebie, tak bardzo się bałaś.  
– Mary popatrzyła w okno i twarz jej się poruszyła. – I tak bardzo mi przykro.

– To wszystko? – spytała po pewnym czasie Angelina.

– Tak, kochanie. Przez lata czułam się z tym okropnie.

– Nie pamiętam. To bez znaczenia. – Jednak Angelina miała wrażenie, że coś sobie przypomina i zawołała bezgłośnie: „Mamo, on był głupią świnią, ale co z tego, mamo, proszę, mamo... Nie opuszczaj mnie, mamo!”. Po dłuższej chwili rzekła: – Mamo, ta sprawa z Aileen wydarzyła się bardzo dawno temu. Czy z tego powodu odeszłaś od taty? Zajęło ci to sporo czasu. – Sama słyszała chłód w swoim głosie. Może z powodu wina poczuła nagle chłód w stosunku do matki.

– Sama nie wiem, kochanie, ale myślę, że bym nie odeszła – powiedziała z namysłem Mary.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – stwierdziła Angelina.

Matka milczała, a gdy Angelina na nią spojrzała, uderzył ją wyraz smutku na twarzy Mary.

– Powiedz, kochanie – odezwała się matka. – Teraz, kiedy w końcu tu dotarłaś. Powiedz, jak się z tym czujesz. Mówiłam ci już wcześniej, że zakochałam się w Paolu. Twój ojciec i ja pod wieloma względami do siebie nie pasowaliśmy, ale, kochanie... zakochałam się. Powiedz mi teraz.

– On jest kasjerem bankowym, mamo – powiedziała Angelina. – A to mieszkanie jest... – Rozejrzała się. Chciała powiedzieć: „Obskurne”, ale to nie było to. Mieszkanie po prostu nie było... miłe. Było obcym miejscem, z wysokimi sufitami oraz krzesłami z wytartą tapicerką.

Matka usiadła bardzo prosto.

– To mieszkanie jest piękne – oświadczyła. – Mamy nawet widok na morze. Nigdy nie moglibyśmy sobie na nie pozwolić, gdyby żona Paola nie miała pieniędzy.

– Ona miała pieniądze?

– Ona ma pieniądze. Tak. Paolo jest taki jak ja, pochodzi z biednej rodziny.

Angelina milczała.

– Rzecz w tym, że czuję się z nim swobodnie. Kocham go i czuję się swobodnie w jego obecności. Rodzina twojego ojca, o czym doskonale wiesz, miała pieniądze, a twój ojciec odniósł wielki sukces. Szczerze mówiąc, Angelino, w nosie mam pieniądze. Właściwie lubię, gdy ich nie mam. Tylko że ich brak przeszkadza mi w widywaniu się z tobą.

– Wróciłaś do korzeni. – Angelina zamierzała nadać tym słowom sarkastyczny wydźwięk, ale uznała, że zabrzmiały głupio.

– Mój ojciec pracował na stacji benzynowej. Nie mieliśmy nic. Wiesz o tym. Paolo nie ma pieniędzy ani wielkich planów na ich zarobienie. Jeśli to masz na myśli, mówiąc o moim powrocie do korzeni.

Angelina patrzyła na własne stopy wyciągnięte przed sobą; miała szczupłe kostki.

– Zaraz. – Spojrzała na matkę. – Czyli on mieszkał tu z żoną?

– Zgadza się. Ona kogoś poznała i odeszła, zostawiając mu to mieszkanie, co nas bardzo cieszy.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznała w końcu Angelina.

– Ja też nie.

Mary wzięła córkę za rękę. Nagle pojęła – jakaż była niemądra, nie rozumiejąc tego wcześniej – że córka nigdy nie wybaczy jej odejścia od ojca. Nigdy, póki Mary żyje. A przecież nie zostało jej już wiele życia. Ta świadomość była straszna ... Mary znowu poczuła w głowie to szarpnięcie, była zła...!

Proszę.

– Nie chcę, żebyś umarła, mamó – odezwała się Angelina. – To wszystko. Odebrałaś mi możliwość opiekowania się tobą na starość, a ja chciałabym być przy tobie, kiedy umrzesz. Mamó. Chciałam tego.

Mary popatrzyła na nią, ta kobieta ze zmarszczkami wokół ust.

– Mamó, próbuję ci powiedzieć...

– Wiem, co próbujesz mi powiedzieć. – Mary musiała zachować ostrożność. Musiała być ostrożna, ponieważ ta dziewczyna-kobieta była jej

córką. Nie mogła jej powiedzieć – temu dziecku, które kochała najbardziej na świecie – że nie boi się śmierci, że jest już niemal gotowa, nie do końca, ale prawie, przerażające było zdać sobie sprawę, że życie ją wyczerpało, zmęczyło, była niemal gotowa umrzeć, i pewnie niedługo umrze. To nieustanne chciwe chwytnie jeszcze kilku lat. Mary widziała to u wielu ludzi, ale sama tego nie odczuwała. Czy raczej, zarazem odczuwała i nie. Czowała się zmęczona, była prawie gotowa, ale nie mogła powiedzieć o tym córce. Ta myśl napawała ją grozą. Wyobraziła sobie, jak leży w tym pokoju, Paolo się krząta, i czuła grozę na myśl, że więcej nie zobaczy swoich dziewczyn, nie zobaczy już męża, miała na myśli ich ojca, byłego męża, nigdy więcej ich nie zobaczy i to ją przerażało. Nie mogła wyznać córce, że gdyby wcześniej wiedziała, co jej robi, co robi swemu najdroższemu aniołkowi, może by się na to nie zdecydowała.

Ale takie było życie! Pełne bałaganu! Angelino, moje dziecko, proszę...

– Nie wzięłaś nawet pieniędzy, które należą ci się od niego po rozwodzie... w stanie Illinois. Mogłabyś dostać trochę pieniędzy.

– Ależ, kochanie – powiedziała Mary, po czym zamilkła w poszukiwaniu słów. – Kiedy się zakochujesz, zaczynasz żyć jakby w bańce czy czymś takim. Człowiek nie myśli. Czemu miałabym brać jego pieniądze? Nie zarobiłam ani centa.

Jesteś głupia, mamó, pomyślała Angelina.

– Jestem głupia – stwierdziła Mary, powoli potrząsając głową.

– Cóż, gdybyś wzięła te pieniądze, mogłabym cię odwiedzać. Choćby tak mogłabyś je wykorzystać.

– Teraz to rozumiem – przyznała Mary.

– I czemu mówisz, że nie zarobiłaś ani centa? Wychowałaś pięć córek, mamó.

Mary przytaknęła i powiedziała:

– Zawsze czułam, że jestem na łasce i niełasce twojego ojca i jego rodziny. Jak utrzymanka. Powinnam była podjąć pracę. Ale czemu miałabym to robić? Nie wiem, jak ty i Jack ułożyliście swoje sprawy finansowe, ale powiem ci, Angelino: dobrze, że zawsze pracowałaś. Dzięki temu sytuacja między dwojgiem ludzi zawsze jest uczciwsza.



– Jack wróci – powiedziała Angelina.

– Jack odszedł? Nie wiedziałam, że odszedł. – Mary odchyliła się do tyłu, by spojrzeć na córkę.

– Nie chcę o tym mówić, ale sama też ponoszę winę – oświadczyła Angelina. – On wróci. Kiedy wrócę do domu.

– Odszedł?

– Tak. I nie chcę o tym rozmawiać.

Teraz Mary bała się naprawdę. Jej paplający aniołek, który o wszystkim jej mówił, wszystkie te wieczory tulenia jej do snu, kąpiele – fru, wszystko znikło, rozwiało się!

– Kochanie – odezwała się Mary po chwili. – To nie moja sprawa, ale czy była inna kobieta?

Angelina spojrzała na matkę zimno.

– Owszem. – Po chwili dodała: – Ty.

– Co masz na myśli? – spytała Mary.

– Ty byłaś tą inną kobietą, mamo. Nie mogłam przeżyć twojego odejścia. Nie mogłam przestać o tobie mówić. Jack stwierdził, że jestem zakochana w swojej matce.

– Och, kochanie. O, dobry Boże – wykrztusiła Mary.

– Odszedł ponad rok temu, zamierzałam przyjechać do ciebie zeszłego lata, ale on ciągle mówił, że może wróci, więc zostałam w domu. Teraz naprawdę mówi, że wróci.

Angelina dała się przytulić i rozplakała na matczynym ramieniu. Płakała długo. Wydawała z siebie odgłos tak strasznego bólu, że Mary czuła się od niego oddzielona. W końcu Angelina uniosła głowę, otarła nos i oznajmiła:

– Teraz czuję się lepiej.

Mary objęła córkę ramieniem i długo siedziały na kanapie. Drugą ręką Mary gładziła Angelinę po nodze. Wreszcie powiedziała:

– Wiesz, kiedy pierwszy raz zobaczyłam cię w tych dżinsach, pomyślałam, że może masz romans.

– Co takiego? – spytała Angelina, prostując się.

– Nie wiedziałam, że to romans ze mną.

– O czym ty mówisz, mammo?

– Cóż, kochanie, te dżinsy są nieco za obcisłe jak na kobietę w twoim wieku, więc pomyślałam, że może, no wiesz...

Choć Angelina wciąż miała twarz mokrą od łez, zaczęła się śmiać.

– Mammo, kupiłam te dżinsy specjalnie na tę podróż. Myślałam, że kobiety we Włoszech noszą... Myślałam, że ubierają się seksownie.

– Ależ te dżinsy są seksowne – zapewniła Mary, chociaż wcale tak nie uważała.

– Nie podobają ci się? – zapytała Angelina, gotowa znów się rozplakać.

– Podobają mi się, kochanie.

Wtedy Angelina – chwala jej za to – naprawdę zaniósła się śmiechem.

– A mnie się nie podobają. Czuję się w nich jak idiotka. Pomyślałam jednak, że są wyjątkowe, więc uznasz, że jestem, no wiesz, światowa czy coś takiego. W tym moim jednoczęściowym kostiumie! – Obie śmiały się do łez, nie mogły przestać.

Mary pomyślała: Nic nie trwa wiecznie, ale oby Angelina zachowała tę chwilę do końca życia.

\*

Mary powiedziała, że idzie posiedzieć na kościelnym dziedzińcu i wypalić wieczornego papierosa. W istocie nie wypaliła ani jednego, odkąd tu przyjechała. Sklepiarkzowi oświadczyła, że papierosy kupuje dla córki.

– Dobrze, mammo – powiedziała Angelina i matka poszła po swoją żółtą torebkę.

Po pewnym czasie Angelina wyjrzała przez okno i zobaczyła, że matka siedzi na ławce z widokiem na miasteczko i morze. Matka siedziała pod latarnią i Angelina dostrzegła, że ma w uszach słuchawki; z papierosem w ustach, delikatnie poruszała głową w górę i w dół. Potem Angelina ujrzała, jak do matki podchodzi kobieta, domyśliła się, że to musi być Valeria. Jakże matka ucieszyła się na jej widok! Mary wstała, ucałowała drobną kobietę w

oba policzki, Angelina widziała, jak matka gestykuluje; w pewnym momencie skierowała papierosa w stronę rozmówczyni i obie się roześmiały. Potem kobieta uniosła w górę ręce, ponownie się ucałowały w policzki, tamta odeszła, a matka usiadła na ławce. Jeszcze dwukrotnie zaciągnęła się głęboko papierosem, zdusiła go na ziemi, ale niedopałek schowała do plastikowej torebki wyjętej z żółtej torby.

Angelina nie mogła oderwać wzroku od matki siedzącej bez ruchu i wpatrzonych w wodę. Potem Angelina ujrzała, jak matka wstaje i wychodzi na ulicę. Starszy mężczyzna przechodził, zataczając się, ale nie z powodu alkoholu, ale jakiejś choroby podeszłego wieku. Angelina zdziwiła się, jak szybko matka do niego podeszła; w świetle latarni zobaczyła twarz starca i nie chodziło tylko o to, jak uśmiechnął się do jej matki, ale o rysujące się na jego twarzy człowieczeństwo, o ciepło i głębię jego wdzięczności, a gdy matka pomagała mu przejść przez ulicę, Angelina zobaczyła na moment także jej twarz. Może światło padało pod szczególnym kątem, ale gdy matka brała staruszkę za rękę i pomagała mu przejść, jej twarz na chwilę się rozjaśniła; a kiedy dotarli na drugą stronę ulicy, wymienili kilka słów, potem matka pomachała staruszkowi oddalającemu się chodnikiem. Teraz wróci na górę, pomyślała Angelina.

Ale matka ponownie usiadła na ławce, znów założyła słuchawki i zaczęła poruszać głową w takt muzyki z telefonu, z pewnością piosenki Elvisa. Siedziała twarzą do morza, wpatrzona w oświetlone statki.

Matka czytała Angelinie wszystkie książki o dziewczynce na prerii, a kiedy powstał na ich podstawie serial telewizyjny, oglądały go razem, przytulone do siebie na kanapie. Matka opowiedziała Angelinie, jak wymordowano Indian i zabrano im ziemię. Jej ojciec powiedział, że na to zasłużyli; matka stwierdziła, że nie zasłużyli, ale tak się właśnie stało. Mówiła, że ludzie nieustannie się przemieszczali, to był amerykański styl. Wędrowali na zachód, wędrowali na południe, tu się żenili, tam rozwodzili, ciągle w ruchu.

Matka poznała ją w chwili, gdy Angelina przyszła na świat...

– Dobrze, mamó – szepnęła Angelina.

Odeszła od okna i poszła do sypialni po komputer, ale zamiast tego usiadła na łóżku, rozglądając się wokół siebie, tym łóżku, które matka

dzieliła z mężczyzną imieniem Paolo.

Przez osiemnaście lat matka tuliła ją do snu. Nie odchodź jeszcze, prosiła Angelina, jeszcze nie! Stojący w drzwiach ojciec mówił: „Dobranoc, Lino, śpij”. Teraz wyglądała przez okno na morze; zapadła noc, na statkach paliły się światła. Na schodach słyszała kroki matki. Angelina zrozumiała, że gdy widziała, jak matka pomaga staruszkowi przejść przez ulicę, zobaczyła coś istotnego. Na krótką chwilę – Angelina wiedziała, że będzie to krótko trwało, wiedziała, że na zawsze pozostanie tamtym dzieckiem – na chwilę sufit się uniósł; zobaczyła, jak matka w uroczy sposób zwraca się do staruszka na ulicy. Na ulicy miasteczka na włoskim wybrzeżu, jej matka, pionierka.

---

[\*] Oryginalny tytuł filmu brzmi *Old Yeller* (dosłownie: stary krzykacz). W Polsce wyświetlano go pod tytułem *Żółte psisko*.

# SIOSTRA

Pete Barton wiedział, że jego siostra Lucy ma przyjechać do Chicago na promocję swojej książki w miękkiej oprawie; śledził ruchy Lucy w Internecie. Dopiero kilka miesięcy wcześniej zainstalował w domu wi-fi, kupił mały laptop i najbardziej lubił dowiadywać się o planach Lucy. Na myśl o tym, kim się stała, czuł bojaźliwy podziw. Lucy opuściła ten mały dom, miasteczko, biedę, którą wszyscy znosili – rzuciła to wszystko, przeniosła się do Nowego Jorku i, zdaniem Pete'a, stała się sławna. Kiedy widział w komputerze, jak siostra wygłasza przemowy w audytoriach pełnych ludzi, przechodził go dreszcz. Jego siostra...

Pete nie widział Lucy od siedemnastu lat; nie odwiedzała rodzinnych stron od śmierci ich ojca, ale kilka razy była w Chicago, mówiła o tym Pete'owi. Dzwoniła do niego w prawie każdy niedzielny wieczór, a w trakcie rozmów zapominał o tym, że jest sławna, po prostu z nią rozmawiał, ale także słuchał; od kilku lat miała nowego męża, o czym słuchał, czasem mówiła o swoich córkach, ale Pete za nimi nie przepadał, sam nie wiedział czemu. Lucy najwyraźniej to wyczuwała i mówiła o nich tylko przelotnie.

W niedzielę – kilka tygodni po tym, jak dowiedział się o jej wizycie w Chicago – zadzwonił telefon i Lucy powiedziała: – Petie, przyjeżdżam do Chicago, potem, w sobotę, wynajmę samochód i przyjadę do Amgash, żeby się z tobą zobaczyć.

– Wspaniale! – zawołał Pete, ale natychmiast po odłożeniu słuchawki poczuł lęk.

Miał dwa tygodnie.

W tym czasie jego lęk narastał, a gdy rozmawiał z siostrą w niedzielę i powiedział: – Naprawdę się cieszę na twój przyjazd – miał nadzieję, że Lucy przeprosi go i oznajmi, że nie da rady.

Ona jednak powiedziała:

– Och, ja też.

Tak więc Pete zabrał się do sprzątnięcia domu. Kupił proszek czyszczący i

wsypał do wiadra z gorącą wodą, patrząc, jak się pieni; potem na czworakach wyszorował podłogę, zdumiony jej brudem. Następnie wyczyścił blaty kuchenne, też zdziwiony, jak bardzo się zapuściły. Zdjął zasłony i wyprał je w starej pralce. Zapamiętał zasłony jako szaro-niebieskie, ale okazały się białe, tyle że bardzo brudne. Wyprał je ponownie, po czym jeszcze bardziej się sprzął. Myjąc okna, zauważył, że smugi są także od zewnątrz, wyszedł więc na dwór i umył szyby. Kiedy skończył, w słońcu późnego sierpnia na szybach wciąż widniały zacieki. Pete postanowił, że opuści żaluzje, co zresztą i tak zwykle robił.

Kiedy jednak wszedł do środka – jedynymi drzwiami w domu, prowadzącymi prosto do małego salonu i kuchni w prawo – zobaczył wnętrze oczami siostry i pomyślał: Ona padnie, ten dom wprawi ją w przygnębienie. Pojechał do Walmartu za miasteczkiem, gdzie kupił dywan, który sporo zmienił. Ale i tak kanapa była nierówna, a żółte obicie w kwiaty wyblakłe, miejscami prześwitywało. Nie było jak sprawić, by cerata na blacie stołu kuchennego wyglądała na nowszą. W całym domu nie było obrusa, a Pete miał wątpliwości co do jego kupna. Zrezygnował. W przeddzień przyjazdu Lucy pojechał do miasta i poszedł do fryzjera, choć zazwyczaj sam obcinał sobie włosy. Dopiero w drodze powrotnej zaczął się zastanawiać: czy należało dać napiwek fryzjerowi?

W nocy obudził się o trzeciej, dręczony koszmarami, których nie pamiętał. O czwartej obudził się znowu i już nie mógł zasnąć. Lucy wspomniała, że przyjedzie o czternastej. O trzynastej Pete podniósł żaluzje, lecz chociaż dzień był pochmurny, na szybach widniały smugi, więc z powrotem je opuścił. Usiadł na kanapie i czekał.

O trzynastej dwadzieścia Pete usłyszał samochód na zwirowym podjeździe. Wyrzał zza żaluzji i zobaczył kobietę wysiadającą z białego auta. Kiedy zapukała do drzwi, z napięcia pociemniało mu w oczach. Dopiero później uzmysłowił sobie, że spodziewał się światła zalewającego dom; osoba Lucy miała lśnić oślepiającym blaskiem. W rzeczywistości siostra okazała się niższa, niż zapamiętał, w dodatku znacznie szczuplejsza. Miała na sobie czarną marynarkę, która pasowałaby do mężczyzny, czarne dżinsy, czarne buty i bardzo zmęczoną twarz. Zmęczoną i starą! Ale oczy lśniły.

– Pete – powiedziała.

– Lucy – odparł.

Wyciągnęła ręce i Pete ostrożnie ją uściskał. W rodzinie nigdy się nie obejmowali, dlatego ten gest nie przychodził mu łatwo. Czubek głowy Lucy sięgał jego podbródka. Pete cofnął się, przesunął dłonią po głowie i oznajmił:  
– Ostrzygłem włosy.

– Wyglądasz wspaniale – pochwaliła Lucy.

Wtedy niemal pożałował, że przyjechała; wizyta będzie zbyt męcząca.

– Nie mogłam znaleźć drogi – mówiła z wyraźnym zdziwieniem. – Musiałam ją minąć chyba z pięć razy i zastanawiałam się: Gdzie jest ta droga? W końcu, Boże, jestem taka głupia, w końcu zrozumiałam, że usunięto drogowskaz, wiesz, ten znak z napisem SZYCIE I PRZERÓBKI KRAWIECKIE.

– A, tak. Zdjąłem ten znak ponad rok temu – wyjaśnił Pete i dodał: – Uznałem, że już czas.

– Naturalnie, że był już czas, Pete. Po prostu mój stary głupi umysł go wypatrywał i ja... Witaj, Pete. O, mój Boże, witaj. – Popatrzyła mu prosto w oczy, a on zobaczył, że to ona. Zobaczył swoją siostrę.

– Posprzątałem na twój przyjazd – oznajmił.

– Dziękuję ci.

Och, jak bardzo się denerwował.

– Posłuchaj, Pete. – Lucy podeszła do kanapy i usiadła ze swobodą, która go zdumiała, jak gdyby siadywała na tej kanapie od lat. Powoli usiadł w starym fotelu w kącie i patrzył, jak siostra zzuwa czarne buty, choć teraz zauważył, że były to raczej pantofle. – Tylko posłuchaj. Widziałam Abła Blaine'a. Przyszedł na mój wieczór autorski.

– Widziałaś Abła? – Abel Blaine był ich kuzynem od strony matki. W dzieciństwie kilkakrotnie spędzali lato z nim i jego młodszą siostrą Dottie. Abel i Dottie byli równie biedni jak oni. – Jaki on jest? – Pete od lat nie myślał o Ablu. – Kurczę, Lucy, widziałaś Abła. Gdzie on mieszka?

– Opowiem ci, poczekaj. – Lucy podwinęła pod siebie nogi i schyliła się, żeby odsunąć na bok butopantofle. Pete w życiu nie widział czegoś podobnego. Z tyłu miały małe suwaki. – Dobra. – Lucy strzepnęła klapę czarnej marynarki i podjęła: – Siedziałam i rozdawałam autografy. Wysoki

mężczyzna o ładnych siwych włosach czekał cierpliwie, zauważyłam, że jest całkiem sam, a gdy wreszcie do mnie podszedł, powiedział: „Cześć, Lucy”. Jego głos wydał mi się znajomy. Dasz wiarę, Pete? Po tylu latach on brzmiał jak Abel. Ja na to: „Chwileczkę”. „To ja, Abel”, powiedział. Wtedy zerwałam się, Petie, i wyściskaliśmy się, Boże, jak myśmy się wyściskali. Abel Blaine!

Pete czuł podniecenie. Udzieliła mu się ekscytacja siostry.

– Abel mieszka pod Chicago, w eleganckiej okolicy – mówiła Lucy. – Od lat prowadzi firmę zajmującą się klimatyzacją. „Czy jest tu twoja żona?”, zapytałam. Odparł, że żonie jest przykro, ale nie mogła przyjechać, bo miała ważne spotkanie czy coś takiego.

– Założę się, że nie chciała przyjechać – stwierdził Pete.

– Otóż to. – Lucy energicznie pokiwała głową. – Masz całkowitą rację, Pete. Skąd wiedziałeś? Wydało mi się oczywiste, że on kłamie, a przecież Abel nigdy nie potrafił kłamać.

– Ożenił się ze snobką. – Pete oparł się na fotelu. – Tak mówiła mama dawno temu.

– Mama też mi to mówiła, jak leżałam w szpitalu i przyjechała mnie odwiedzić. – Lucy otuliła się marynarką. – Powiedziała, że Abel ożenił się z córką szefa, która ma muchy w nosie. Wiesz, na promocji Abel był bardzo dobrze ubrany, miał drogi garnitur.

– Skąd wiesz, że drogi? – zainteresował się Pete.

– Cóż, Petie. – Lucy znacząco pokiwała głową. – Po latach nauczyłam się rozpoznawać drogie ubrania. Z czasem to się po prostu widzi. Garnitur leżał na nim jak ulał, był uszyty z dobrego sukna. Abel tak się ucieszył na mój widok, Petie, mówię ci, padłbyś.

– Jak się miewa Dottie? – Pete oparł łokcie na kolanach, powiódł wzrokiem po pokoju i zdał sobie sprawę, że na ścianach nie ma żadnych obrazów. Rzadko siadywał w tym fotelu, więc pewnie nigdy nie zwrócił na to uwagi. Zwykle siadał tam, gdzie teraz Lucy, twarzą do drzwi. Nagie ściany miały kolor wyblakłej bieli.

– Abel mówił, że dobrze. Prowadzi pensjonat pod Peorią, w Jennisbergu. Nie ma dzieci. Za to Abel ma trójkę. I dwójkę małych wnuków. Wydawał się bardzo... – Lucy lekko klepnęła się w kolano. – Bardzo szczęśliwy z powodu



tych wnuków.

– Och, Lucy. To miłe.

– Owszem, było miło. Było wprost cudownie. – Lucy przeczesała palcami jasnobrązowe włosy, które z przodu sięgały podbródka. – A, zgadnij kogo spotkałam w Houston? Podpisywałam książki i podeszła kobieta, której nigdy bym nie poznała, ale to była Carol Darr.

– No tak. – Pete oparł się na fotelu. W kątach salonu ściany zdawały się ciemniejsze. – Pamiętam tę Darr. Wyjechała. Mieszka w Houston?

– Carol chodziła do mojej klasy, Petie, i była taka okropna, och, ta dziewczyna odnosiła się wobec mnie paskudnie.

– Lucy, wszyscy byli dla nas okrutni.

Z jakiegoś powodu ta uwaga sprawiła, że brat i siostra spojrzeli po sobie i niemal się roześmiali.

– Tak – przyznała Lucy. – No cóż.

– Czy w Houston była dla ciebie paskudna?

– Nie. Właśnie o tym miałam ci powiedzieć. Kiedy się przedstawiła, była wręcz onieśmielona. Onieśmielona! „Och, Carol, cudownie cię widzieć”, powiedziałam. Czekala, aż dam jej autograf. Co miałam jej napisać? Zdecydowałam się na „Z najlepszymi życzeniami”, wręczyłam jej książkę, a ona nachyliła się i powiedziała cicho: „Jestem z ciebie bardzo dumna, Lucy”. „Och, dziękuję, Carol”, odpowiedziałam. Sama nie wiem, Petie, myślę, że ona dorosła i jest jej trochę przykro. Takie odniosłam wrażenie.

– Wyszła za męża? – spytał Pete.

– Nie wiem – odparła powoli Lucy, unosząc palec. – Nie towarzyszył jej żaden mężczyzna, ale może ma kogoś w domu. Nie wiem. – Spojrzała na brata i wzruszyła ramionami. Potem poklepała kanapę obok siebie i rzekła: – Petie, opowiedz mi o wszystkim, powiedz, jak się miewasz! Jestem tu od dwóch minut, a paplam tylko o sobie.

– W porządku. Lubię tego słuchać. – Mówił prawdę. Och, jaki czuł się szczęśliwy.

– Petie, może sprawiłbyś sobie psa? Zawsze lubiłeś zwierzęta. – Lucy

rozejrzała się po salonie, jakby widziała go po raz pierwszy. – Miałeś kiedyś psa?

– Nie. Myślałem o tym, ale kiedy chodziłbym do pracy, pies zostawałby sam. To zbyt smutne.

– Spraw sobie dwa psy. Nawet trzy – radziła Lucy. Po chwili powiedziała: – Pete, powiedz mi więcej o tym, o czym wspomniałeś przez telefon. Pracujesz w jadłodajni dla biednych? Opowiedz mi więcej.

– Dobra – odparł Pete. – Pamiętasz Tommy’ego Guptilla?

Lucy usiadła prosto, opuszczając stopy na podłogę. Pete zauważył, że miała skarpetki w różnych kolorach, brązową i niebieską.

– Szkolny woźny. Był niezmiernie miłym człowiekiem.

Pete przytaknął.

– Teraz tak jakby się przyjaźnimy. Raz w tygodniu jeżdżę z nim i jego żoną do Carlisle pracować w jadłodajni dla biednych.

– Cudownie, że to robisz, Petie. – Lucy pokiwała z podziwem głową. – Jestem z ciebie bardzo dumna.

– Dlaczego? – Naprawdę nie widział powodu.

– Ponieważ nie każdy może pracować w jadłodajni dla biednych. Po prostu jestem z ciebie dumna. Od jak dawna w Carlisle wydaje się jedzenie dla biednych? – Lucy zdjęła coś z nogawki dżinsów i pstryknęła w powietrze.

– Od kilku lat. Nie wiem dokładnie. Jeżdżę tam od paru miesięcy – odparł Pete.

– Czy Tommy ma się dobrze? Musi być stary. – Lucy spojrzała na brata.

– Jest stary – przyznał Pete. – Ale wciąż dobrze się trzyma, podobnie jak jego żona. Czasem o ciebie pytają, Lucy. Założę się, że bardzo chcieliby cię zobaczyć. – Zdziwiła go zmiana wyrazu twarzy siostry.

– Nie chcę się z nimi spotkać, ale pozdrów ich ode mnie – powiedziała. – Posłuchaj, chcę, żebyś wiedział, dzwoniłam do Vicky i powiadomiłam ją, że tu będę, ale stwierdziła, że dzisiaj jest zajęta. W porządku. Zrozumiałam.

– Mówiła mi o tym i jestem na nią trochę zły, Lucy. W końcu to twoja siostra – rzekł Pete. Bezwiednie przesunął palcem po ścianie, zbierając

ciemny kurz.

– Och, Petie. Popatrz na to z jej punktu widzenia. Wyjeżdżam, nie wracam, w dodatku ona prosi mnie o pieniądze, wiedziałaś o tym? Tak, a ja zawsze jej daję, nie może dużo zarobić w domu opieki, jej męża zwolniono, więc Vicky musi się czuć, sam wiesz jak. Widujesz się z nią? Jest szczęśliwa? Cóż, wiem, że nie jest szczęśliwa, ale czy ma się dobrze?

– U niej wszystko w porządku. – Pete wytarł kurz o dzinsy.

– Dobrze. – Lucy spojrzała przed siebie, jak gdyby intensywnie o czymś rozmyślała. Po chwili tylko potrząsnęła głową i znów popatrzyła na brata. – Świetnie cię znowu widzieć.

– Lucy, muszę cię o coś spytać.

– Co takiego?

Pete'owi wydało się, że dostrzegł niepokój na twarzy siostry.

– Czy powinienem był dać napiwek człowiekowi, który obciął mi włosy? Zawsze strzygę się sam. Tym razem pojechałem do Carlisle do fryzjera, który obciął mi włosy, potem zdjął ze mnie ten fartuszek, zapłaciłem mu, ale od tamtej pory nie daje mi to spokoju. Należało dać mu napiwek?

– Czy on jest właścicielem zakładu fryzjerskiego? – Lucy ponownie podwinęła pod siebie nogi.

– Nie wiem.

– Bo jeśli jest właścicielem, to nie musisz mu dawać napiwku, ale jeśli nie jest, powinienesz to zrobić. – Lucy machnęła ręką lekceważąco. – Nie przejmuj się tym. Jeśli tam wrócisz, daj mu parę dolarów, ale nie zwracaj tym sobie głowy.

Pete uwielbiał ją za to, za znajomość świata i za wiedzę o nim. Nie wyglądała na zakłopotaną z powodu jego pytania. Och, jaki był szczęśliwy. Może dlatego nie usłyszał samochodu na podjeździe. Usłyszał jedynie donośne pukanie do drzwi; on i Lucy poderwali się. Pete dostrzegł jej strach. Lucy wyprostowała się, jej twarz przybrała surowy wyraz; on też się bał. Kładąc palec na ustach, pochylił się i bardzo ostrożnie uchylił żaluzję.

– Och – wyszeptał. – Och, to Vicky.

\*

Chmury rozwiały się, wyszło słońce. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola kukurydzy. Stojąc w otwartych drzwiach, Pete zdał sobie nagle sprawę, że Vicky jest gruba. Wcześniej wiedział o tym, nie wiedząc, ale teraz, gdy ujrzał siostrę w progu, zobaczył, że naprawdę utyła. Fakt, że dotarło to do niego właśnie teraz, musiał mieć związek z drobną budową Lucy. Vicky miała na sobie koszulę w kwiaty i granatowe spodnie – musiały mieć gumkę, by opiąć pokaźny brzuch – w ręku trzymała czerwoną torebkę; okulary zsunęły się jej nieco z nosa. Brat i siostra przywitani się skinieniem głowy i Vicky go wyminęła. Pete jeszcze chwilę patrzył na pola kukurydzy; utrwalony w jego umyśle obraz podszeptał mu, że w twarzy Vicky coś się zmieniło. Gdy odwrócił się, żeby wejść do domu, Lucy stała, ale znów usiadła i Pete domyślił się, że próbowała objąć Vicky, ale ta nie chciała o tym słyszeć. Właśnie to dostrzegł na twarzy Vicky.

– Co to jest? – spytała Vicky, wskazując dywan.

– Och, to dywan – wyjaśnił Pete. – Kupiłem go parę dni temu.

– Czyż nie wygląda ładnie? – spytała Vicky.

Obeszła dywan i stanęła przed Lucy.

– Oto jesteś – stwierdziła. – Może mi powiesz, jakież to wielkie wydarzenie sprowadziło cię z powrotem do Amgash?

Lucy przytaknęła, jak gdyby zrozumiała pytanie.

– Jesteśmy starzy – powiedziała, patrząc na siostrę. – I coraz bardziej się starzejemy.

Vicky upuściła torebkę na podłogę i usiadła na kanapie możliwie jak najdalej od siostry. Była jednak otyła, toteż nie mogła się zbyt oddalić; nie pozwalała na to niewielka kanapa. Niemal całkowicie posiwiatały włosy Vicky miała krótko przycięte, z równą grzywką wokół głowy, jakby strzyżono ją pod miską. Spróbowała założyć nogę na nogę, ale była zbyt tęga, siedziała więc na końcu kanapy i Pete odniósł wrażenie, że patrzy na osobę na wózku inwalidzkim, jaką widział w Carlisle, kiedy pojechał do fryzjera. Starsza, ogromnych rozmiarów kobieta jechała na elektrycznym wózku inwalidzkim.

Wtedy zauważył, że Vicky ma pomalowane usta.

Wzdłuż wygiętej górnej wargi oraz na mięsistej dolnej wardze widniała czerwonopomarańczowa warstwa szminki. Pete nie pamiętał, by siostra wcześniej się malowała. Spojrzawszy na Lucy, zobaczył, że nie ma szminki; przeszedł go drobny dreszcz, jakby jego duszę bolał ząb.

– Czyli wkrótce umrzemy i pomyślałaś, że przyjedziesz się pożegnać? – spytała Vicky, patrząc na siostrę. – Nawiasem mówiąc, ubrałaś się jak na pogrzeb.

Lucy założyła nogę na nogę, dłonie oparła na kolanach.

– Nie określiłabym tego w ten sposób. Że wkrótce umrzemy.

– A jak byś to określiła? – zaciekawiała się Vicky.

Lucy poczerwieniała.

– Ujęłabym to tak, jak właśnie powiedziałam. Jesteśmy starzy. I wciąż się starzejemy. – Nieznacznie skinęła głową. – Chciałam was zobaczyć.

– Masz kłopoty? – zapytała Vicky.

– Nie – zapewniła Lucy.

– Jesteś chora?

– Nie. Nic mi o tym nie wiadomo.

Na dłuższy czas zapadło milczenie, a Pete odniósł wrażenie, że trwało bardzo długo. Co prawda był przyzwyczajony do ciszy, ale to nie była dobra cisza. Wrócił na fotel w kącie i usiadł, powoli i bardzo ostrożnie.

– Jak się miewasz, Vicky? – spytała Lucy, patrząc na siostrę.

– Dobrze. A ty jak się masz?

– O, Boże – wykrztusiła Lucy, oparła łokcie na kolanach i na chwilę zakryła twarz dłońmi. – Vicky, proszę...

– „Vicky, proszę?” – powtórzyła Vicky. – Lucy, wyjechałaś stąd, nie wróciłaś od śmierci taty. A teraz mówisz mi: „Vicky, proszę”, jak gdybym to ja zrobiła coś złego.

Pete ponownie przesunął palcem po ścianie, i tym razem zgarniając kurz. Zrobił to jeszcze dwukrotnie, wreszcie oparł dłonie na kolanach.

– Byłam bardzo zajęta – oświadczyła Lucy, patrząc w górę.

– Zajęta? A kto nie jest zajęty? – Vicky podsunęła okulary na nos i dodała: – Hej, Lucy, czy to właśnie nazywasz prawdziwym zdaniem? Dopiero co widziałam w komputerze, jak mówisz o prawdziwych zdaniach. „Pisarz powinien pisać jedynie prawdę”. Mówiłaś tym podobne brednie. Teraz siedzisz tu i mówisz: „Byłam bardzo zajęta”. Cóż, nie wierzę ci. Nie przyjeżdżałaś tu, bo nie miałaś ochoty.

Pete ze zdziwieniem zobaczył, jak twarz Lucy się rozluźnia.

– Masz rację – stwierdziła.

Vicky jednak nie skończyła. Pochyliła się do przodu i powiedziała:

– Wiesz, dlaczego tu dzisiaj przyszłam? Żeby ci powiedzieć... Wiem, że dajesz mi pieniądze, ale więcej nie musisz mi dawać ani centa, nie wezmę już nic. Przyszłam tu dziś, żeby ci powiedzieć: Niedobrze mi się robi na twój widok. – Oparła się na kanapie i pokiwała palcem na siostrę. Na przegubie nosiła zegarek, którego wąski skórzany pasek zdawał się wpijać w jej ciało. – Naprawdę, Lucy. Ilekroć widzę cię w Internecie, za każdym razem zachowujesz się tak sympatycznie, aż chce się rzygać.

Pete patrzył na dywan. Jesteś takim jełopem, że mnie kupiłeś, zdawał się krzyczeć do niego dywan.

Po dłuższej chwili Lucy powiedziała cicho:

– Cóż, mnie też robi się niedobrze. W tych programach, które oglądasz – właściwie dlaczego to robisz? – tak naprawdę mam czasem ochotę powiedzieć: Pierdolcie się.

– Kurczę – ożywił się Pete, podnosząc wzrok. – Czemu chciałabyś powiedzieć coś podobnego?

– Och. – Lucy przeczesła palcami włosy. – Zazwyczaj jakaś kobieta, której nie podoba się to, co piszę, wstaje i właśnie to mówi. Albo reporter, który chciałby się dowiedzieć czegoś o moim życiu osobistym.

– Naprawdę ktoś wstaje i mówi, że nie podobają mu się twoje książki? – zdumiał się Pete.

– Czasami.

Pete przesunął swoje krzesło nieco do przodu.

- To czemu nie zostanie w domu?
- Otóż to. – Lucy machnęła otwartą dłońią. – Pieprzyć ich.
- Biedna Lucy – stwierdziła sarkastycznie Vicky.
- Właśnie, o, ja biedna – odparła Lucy i oparła się na kanapie.
- Ukochana córeczka mamusi – dodała Vicky, a Lucy spytała:
- Co takiego?
- Powiedziałam, że byłaś ulubienicą mamy, co bardzo ci się opłaciło.

Lucy spojrzała na brata i spytała:

– Byłam jej ukochanym dzieckiem? – Jej zdziwienie zdziwiło Pete’a. – Naprawdę? – spytała, ale on tylko wzruszył ramionami. – Nie wiedziałam, że miała ulubione dziecko.

– Ponieważ nie miałaś pojęcia o niczym, co się działo w tym domu, Lucy. Codziennie zostawałaś w szkole po lekcjach, na co matka ci pozwalała. – Vicky, z drżącym podbródkiem, wpatrywała się w siostrę.

– Całkiem sporo wiedziałam o tym, co się działo w domu. – Głos Lucy stwardniał. – I to nie matka mi pozwalała. Ja to po prostu robiłam.

– Owszem, pozwalała, Lucy. Bo uważała, że jesteś bystra. Sama też miała się za kogoś bystrego. – Vicky szarpnęła za dół bluzki. Nad spodniami Pete dostrzegł skrawek niemal niebieskawego ciała.

– Posłuchaj, Vicky – włączył się Pete. – Lucy widziała Able. Lucy, opowiedz Vicky o spotkaniu z Ablem.

– Widziałam się z Ablem – powiedziała Lucy, ale siostra tylko wzruszyła ramionami i rzekła: – Nie znosiłam jego siostry Dottie. Mama zawsze szyła dla niej nowe sukienki.

– Cóż, Dottie była biedna – powiedziała Lucy.

– My byliśmy biedni, Lucy. – Vicky wychyliła się, jakby chciała przysunąć twarz do twarzy siostry.

– Wiem – odparła Lucy.

Nagle wstała i podeszła do frontowego okna. Lekko pociągnęła sznurek żaluzji i ją uniosła. Do salonu wlało się światło. Przeszła do drugiego okna i

też podniosła żaluzję. Pete spostrzegł, że brud zeszkrobany z podłogi wylądował w kątach; teraz widniał wyraźnie w słońcu.

– Czy ty w ogóle jesz? – zwróciła się Vicky do Lucy, na co ta potrząsnęła głową i wróciła na kanapę.

– Niewiele – przyznała Lucy. – Nie mam apetytu.

– Ja też nie – dorzucił Pete. – Wiem, kiedy muszę jeść, bo zaczynam mieć dziwne uczucie w głowie. – Wpadające światło jesiennego słońca wydało się mu nagle nieznośne. Zaprzagnął opuścić żaluzje. Pragnienie było natarczywe jak swędzenie, z trudem mu się oparł.

– Dziwne – stwierdziła Vicky, a wojowniczy ton wyparował z jej głosu. – Osobliwe, nie sądzicie? Wy dwoje jesteście chudzi jak szczapy, a ja nieustannie jem. Nie pamiętam, żebyście musieli jeść z kibla, ale może i tak było. Kto wie. – Vicky wzięła głęboki wdech, aż napęczniały jej policzki, wreszcie potężnie westchnęła.

Nie rób tego, pomyślał Pete. Miał na myśli: Nie wstawaj i nie opuszczaj żaluzji.

– Co ty powiedziałaś? – spytała po chwili Lucy.

– No, raz, kiedy jedliśmy mięso – wyjaśniła Vicky i mocno podrapała się w szyję. – To była wątróbka. Boże, jak ja nie cierpiałam tego smaku. Mama uważała, że powinniśmy wytworzyć sobie... sama nie wiem... czerwone krwinki czy coś w tym guście, gdzieś dostała kawał wątroby, po prostu ohyda. Wzięłam ją do ust, poszłam i wyplułam do kibla, a ten głupi, głupi kibel nie chciał spuścić wody, znaleźli kawałki i...

– Przestań – przerwała jej Lucy, unosząc dłoń. – Zrozumieliśmy.

– Cóż, Lucy, ty i Pete musieliście jeść ze śmieci, ilekroć wyrzuciliście jedzenie – powiedziała poirytowana Vicky. – Pamiętam, jak tam... – Dwukrotnie dziabnęła palcem w stronę części domu, gdzie dawniej znajdowała się kuchnia. – Musieliście klękać, wygrzebywać wyrzucone jedzenie i jeść prosto ze śmieci. Płakaliście... Dobrze już, dobrze. Po prostu mówię, że rozumiem, dlaczego nie przepadacie za jedzeniem. Nie pojmuję tylko, czemu ze mną jest inaczej.

Lucy pogłaskała siostrę po kolanie. Pete odniósł jednak wrażenie, że był to wymuszony gest, jak gdyby Vicky była dzieckiem, które zrobiło coś



żenującego, a dorosła Lucy postanowiła udawać, że to się nie wydarzyło.

– Jak twoja praca? – zwróciła się Lucy do Vicky.

– Jak to praca. Syfiasta.

– Cóż, przykro mi to słyszeć – stwierdziła Lucy.

Pete spojrzał na ścianę, na której widniało mnóstwo smug po startym kurzu.

– To z pewnością kolejne prawdziwe pytanie. – Vicky wyprostowała się na kanapie. – Ale wiesz, niedawno przydarzyło mi się coś zabawnego. Jest pewna staruszka, Anna-Marie, przykuta do wózka, odkąd zaczęłam pracę trzy lata temu. W tym czasie nie powiedziała ani słowa. Ludzie mówią: „Och, Anna-Marie nie może już rozmawiać”. Cały czas jeździ na wózku i na wszystkich wpada. Parę dni temu stałam przy stanowisku pielęgniarek i poczułam nagle, że ktoś bierze mnie za rękę. Spojrzałam w dół i zobaczyłam Annę-Marie na wózku, która uśmiechnęła się szeroko i powiedziała: „Cześć, Vicky”.

Słowa siostry uszczęśliwiły Pete’a. Czuł, jak szczęście rozlewa się w nim niczym ciepły płyn.

– To cudowna historia, Vicky – powiedziała Lucy.

– To było słodkie – przyznała Vicky. – A zapewniam cię, że w domu opieki słodkie rzeczy się nie zdarzają.

Nagle Pete coś sobie przypomniał.

– Vicky, opowiedz Lucy o Lili. O tym, że idzie na studia.

– Aha. – Vicky znów podrapała się po szyi, zostawiając czerwony ślad. Potem z uwagą przyjrzała się swoim palcom. – Tak. W przyszłym roku moja córeczka prawdopodobnie pojedzie na studia. – Spojrzała na Lucy. – Ma dobre stopnie i jej opiekunka twierdzi, że Lila może studiować, bo pokryją koszty. Tak samo jak było z tobą, Lucy.

– Poważnie? – Lucy wychyliła się w przód. – To fantastycznie, Vicky.

– Chyba tak – zgodziła się Vicky. Palcami ucisnęła dolną wargę i przygryzła.

– Ależ na pewno – dodała Lucy.

Vicky odsunęła dłoń od ust i wytarła w spodnie.

– Jasne. Potem wyjedzie, tak jak ty.

Pete zobaczył, jak wyraz twarzy Lucy się zmienia, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

– Nie zrobi tego – powiedziała Lucy.

– Dlaczego nie? – Vicky próbowała na powrót umościć się na kanapie. Kiedy Lucy nie odpowiedziała, Vicky dodała nieco afektowanym tonem: – Ponieważ ma inną matkę, Vicky. Dlatego nie wyjedzie. Dziękuję ci, Lucy.

Lucy na moment przymknęła oczy.

– Wiesz, kto jest jej opiekunką szkolną? – Vicky zerknęła na Pete'a. – Patty Nicely. Najmłodsza ze ślicznych córek państwa Nicely.

– To ona pomaga Lili dostać się na studia? – spytała Lucy.

– Mhm. Dzieciaki mówią na nią Gruba Patty. Przynajmniej tak mówiły, teraz trochę schudła – powiedziała Vicky.

– Patty Nicely nazywają Grubą Patty? – Lucy spojrzała na siostrę, marszcząc brwi.

– Jasne. Wiesz, jakie są dzieciaki. – Vicky odczekała chwilę i dodała: – Na mnie mówią w pracy Icky Vicky [\*].

– Nie robią tego – powiedziała Lucy.

– Owszem, robią.

– Nigdy mi tego nie mówiłaś, Vicky – zauważył Pete. – Przecież to sami starzy ludzie, mają rozmiękłe mózgi.

– Nie chodzi o pacjentów, ale o innych ludzi, którzy tam pracują. Dwa dni temu słyszałam, jak jedna z kobiet powiedziała: „Idzie Icky Vicky”. Ckliwa Vicky. – Vicky zdjęła okulary i łzy popłynęły jej po twarzy.

– Och, kochanie – powiedziała Lucy, przysunęła się do siostry i pogłaskała ją po kolanie. – To paskudne. Nie jesteś ckliwa, Vicky, jesteś...

– Jestem totalnie ckliwa, Lucy. Tylko na mnie popatrz. – Łzy wciąż napływały Vicky do oczu. Razem ze szminką spływały z ust.

– Wiesz co? – powiedziała Lucy. Przestała gładzić kolano siostry i

zaczęła je poklepywać. – Wyplacz się, kochanie, w porządku. Mój Boże, pamiętasz, że nigdy nie wolno nam było płakać?

Pete wychylił się przed siebie i dodał:

– Lucy ma rację. Po prostu się wyplacz. Tym razem nikt nie potnie ci ubrań.

– Co powiedziałeś? – Vicky spojrzała na brata i otarła dłonią nos. Z kieszeni marynarki Lucy wyjęła chusteczkę higieniczną i podała zapłakanej siostrze.

– Powiedziałem, że nikt nie potnie ci ubrań. Nigdy więcej – rzekł Pete.

– O czym ty mówisz? – spytała Vicky.

– Nie pamiętasz, jak pewnego dnia płakałaś, a mama wróciła do domu i pocięła ci ubrania?

– Naprawdę? – zdumiała się Lucy.

– Naprawdę? – Vicky przykładala chusteczkę do twarzy, delikatnie wycierała usta. – Poczekaj, mój Boże, rzeczywiście to zrobiła. Na śmierć zapomniałam. – Popatrzyła na Lucy, potem na Pete'a. Jej twarz bez okularów wyglądała młodziej i sprawiała wrażenie opuchniętej. – Czemu to zrobiła? – spytała z niedowierzaniem.

– Zaraz – powiedziała Lucy. – Mama pocięła ci ubrania?

– Tak. – Vicky przytaknęła powoli. – Płakałam. Już nie pamiętam dlaczego, ale nie mogłam przestać płakać. Masz rację, Lucy, oni nie cierpieli, kiedy płakaliśmy, ale wtedy nie było ich w domu, więc siedziałam i zalewałam się łzami. Ty też tam byłeś, Pete. Więc płakałam tak bardzo, że nie słyszałam, jak matka wraca. Och, teraz sobie przypominam. – Vicky pomachała chusteczką poplamioną czerwoną szminką. – Mama weszła i powiedziała: „Natychmiast przestań hałasować, Vicky”. Ale ja nie mogłam. „Powiedziałam: natychmiast przestań”, powtórzyła, potem wzięła nożyce z pracowni krawieckiej, poszła do naszego pokoju... Pamiętam, usłyszałam przesuwane wieszaki. Potem właśnie ty, Pete... – Vicky znowu przytknęła chusteczkę do twarzy i zwróciła się do brata: – Domyśliłeś się, co ona robi. Stałam za tobą i zaczęłam wrzeszczeć: „Mamo, nie, och, nie, mamo!”. Ale ona cięła moje ubrania, rzucała kawałki na łóżko i na podłogę. Potem wyszła z pokoju i poszła na górę. – Vicky siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– O, Boże – wykrztusiła. – Jak ona mnie nienawidziła.

– Przecież matka szyła ubrania – zauważyła Lucy. – Czemu, na Boga, miałyby cię twoje rzeczy?

– Nazajutrz je zszyła. Na maszynie. – Vicky uniosła smutno rękę. – Po prostu pozszywała kawałki, przez co wyglądałam, sama nie wiem, wyglądałam jeszcze głupiej – dokończyła Vicky, patrząc przed siebie.

Po dłuższej chwili Pete pochylił się w przód na fotelu i powiedział:

– Słuchajcie, ostatnio sporo o niej myślałem i doszedłem do wniosku, że z nią było coś nie w porządku.

Siostry milczały. W końcu odezwała się Lucy:

– Może i tak. Poza tym musiała znosić tatę. Trzeba jednak przyznać, że była twarda.

– Jak to? – spytała Vicky.

– Była twardzielką. Wytrzymała.

– A co jej pozostało? Przecież nie miała dokąd pójść. – Vicky spojrzała na swą bluzkę i ponownie spróbowała ściągnąć ją w dół.

– Mogła nas zostawić. Zarobiłaby na sobie szyciem. Ale tego nie zrobiła. – To rzekłszy, Lucy zacisnęła usta.

– Wiecie, czego najbardziej nie znosiłam? – Vicky spojrzała na Lucy i Pete'a i powiedziała niemal pogodnie: – Odgłosów seksu. Kiedy tata nie trzepał kapucyna, robili to tam... – Wskazała sufit. – Niedobrze mi się robiło, jak to słyszałam. Łóżko się trzęsło, a on wydawał takie dziwne odgłosy. W życiu nie słyszałam, żeby mężczyzna wydawał takie odgłosy podczas seksu. – Wydmuchała nos. – Kurczę, i spróbuj prowadzić zdrowe życie seksualne po znoszeniu czegoś takiego całymi latami.

– Ja nigdy tego nie zrobiłem. To znaczy, nie próbowałem – oświadczył Pete i twarz momentalnie zaczęła mu płonąć; ależ był zażenowany. Ale Vicky uśmiechnęła się do brata, który dodał: – Ale wiem, co masz na myśli. Moja sypialnia znajdowała się tuż obok nich. Rany Julek... – Szybko potrząsnął głową, co bardziej przypominało dreszcz. – Miałem wrażenie, że jestem tam razem z nimi.

– Zaraz – odezwała się Vicky. – Wiecie co? To on wydawał wszystkie odgłosy. Jej nigdy się nie słyszało.

Pete nigdy wcześniej o tym nie pomyślał.

– Hej, masz rację – powiedział. – Ona była zupełnie cicho.

– O, Boże – westchnęła Vicky. – Och, biedna...

– Przestańcie – przerwała Lucy. – Po prostu przestańmy. To nie przynosi nic dobrego.

– Ale to prawda – upierała się Vicky. – To wszystko prawda. Z kim niby mamy o tym rozmawiać? Lucy, może napiszesz opowiadanie o matce, która tnie ubrania córki? Zależy ci na prawdziwych zdaniach? Mówię serio. Napisz o tym.

Lucy wkładała buty.

– Nie chcę pisać takiego opowiadania – oświadczyła gniewnie.

– Zresztą, kto chciałby je czytać? – spytał Pete.

– Ja – powiedziała Vicky.

– Ja wciąż lubię czytać o tej dziewczynce na prerii – przyznał Pete. – Pamiętacie tę serię książek? Mam je na górze.

– Nie mogę – mówiła Lucy. – Po prostu nie mogę.

– To nie pisz. – Vicky wzruszyła ramionami. – Ja tylko mówiłam... O, mój Boże. Teraz sobie przypominam...

– Przestańcie – powiedziała Lucy i wstała z kanapy. Na jej policzkach płonęły dwie czerwone plamy. – Macie natychmiast przestać – powtórzyła. Popatrzyła na Vicky, potem na Pete'a, po czym powiedziała donośnym, drżącym głosem: – Nie było aż tak źle. – Podniosła głos. – Naprawdę.

W salonie zapadło milczenie. W końcu Vicky powiedziała spokojnie:

– Było dokładnie tak źle, Lucy.

Lucy spojrzała na sufit, po czym zaczęła otrzepywać dłonie, jakby je umyła i nie miała ręcznika.

– Nie mogę tego znieść – powiedziała. – Boże, dopomóż. Nie mogę tego znieść, nie mogę, nie mogę...

Pete zrozumiał wtedy, że siostra nie może znieść tego domu, ani Amgash, zrozumiał, że ogarnął ją strach, podobnie jak jego przed wizytą u fryzjera, tyle że Lucy bała się znacznie bardziej.

– Już dobrze, Lucy – powiedział, wstał z fotela i podszedł do siostry. – Uspokój się.

– Tak – odparła Lucy. – Tak. Nie. Nie wiem, co robić. Nie wiem... – Z trudem chwytała oddech. – Wy dwoje. – Patrzyła to na siostrę, to na brata, intensywnie mrugając powiekami. – Nie wiem, co robić. Pomóżcie mi, o Boże... – Coraz mocniej drżały jej ręce.

– Lucy – odezwała się Vicky. Dźwignęła się z kanapy i podeszła do siostry. – Weź się w garść.

– Nie mogę – mówiła Lucy. – Po prostu nie mogę. Och, pomóżcie mi. – Znowu usiadła na kanapie. – Widzicie, ja po prostu nie wiem... Boże. – Spojrzała na brata. – Dobry Boże, pomóż mi. – Ponownie wstała, jej dłonie dygotały. – Nie wiem, co począć. Nie wiem, co robić.

Vicky i Pete spojrzeli po sobie.

– Mam atak paniki – zwróciła się do nich Lucy. – Od lat mi się to nie przytrafiało, ale jest źle, o Boże, dobry Boże, o Jezu, o Boże... Dobra, posłuchajcie. Pete, możesz prowadzić mój samochód? Vicky, mogę pojechać z tobą? Czy możecie, och, proszę, proszę, możecie, ja muszę... Po prostu muszę...

– Dokąd mamy cię zawieźć? – spytała Vicky.

– Do Chicago. Hotel Drake. Muszę wrócić. Po prostu muszę.

– Do Chicago? – zdumiała się Vicky. – Chcesz, żebym zawiozła cię do Chicago? To dwie i pół godziny drogi.

– Tak, możesz to zrobić? O Boże, tak mi przykro, nie mogę, nie mogę...

Vicky spojrzała na zegarek. Wzięła głęboki wdech, otworzyła szeroko oczy. Potem odwróciła się i sięgnęła po torebkę.

– Jedźmy do Chicago – zwróciła się do brata.

– Boże, dziękuję, dziękuję ci. – Lucy już otwierała drzwi.

Pete bezgłośnie powiedział do Vicky:

– Ja nigdy tam nie byłem.

Vicky odpowiedziała podobnie:

– Wiem, ale ja byłam. – Gestem dłoni wskazała własną pierś.

\*

Pomimo słońca dzień nie był gorący. Przejrzyste powietrze zapowiadało rychłą jesień; Pete czuł to, gdy wsiadał do wypożyczonego samochodu Lucy i czekał, aż Vicky wykręci swoim autem. Samochód Lucy pachniał czystością i nowością. Pete ruszył za siostrami do głównej drogi. Wprost nie mógł uwierzyć, że jedzie do Chicago. Właściwie miał wrażenie, że zaraz umrze. Przemierzył znajome drogi, potem, w ślad za samochodem siostry, wjechał na autostradę. Słońce sunęło powoli po niebie, a Pete jechał za siostrami ponad godzinę. Widział je: szerokie ramiona Vicky, która raz po raz odwracała się, by spojrzeć na Lucy, siedzącą ze spuszczoną głową na miejscu dla pasażera. Pete jechał dalej. Mijał dęby i klony, mijał wielkie stodoły z wymalowanymi flagami amerykańskimi, minął napis BRONŃ PALNA I WSPOMNIENIA; minął wielki plac pełen ciężarówek i maszyn marki John Deere, minął szyld SZTUCZNE SZCZĘKI W JEDEN DZIEŃ 144 DOLARY, minął starą, nieczynną galerię handlową, gdzie na betonowym parkingu wyrosła trawa. Jego dłonie na kierownicy się pociły. Czekala go jeszcze długa droga.

W samochodzie siostry z przodu zaczęły nagle migać światła i Vicky zjechała na pas awaryjny. Pete musiał szybko zahamować, a i tak wyprzedził siostrę, po czym się zatrzymał.

Kiedy wysiadł, ciężarówka przemknęła tuż obok z taką szybkością, że pęd powietrza prawie go zdmuchnął. Lucy wysiadła z samochodu Vicky od strony pasażera i podbiegła do niego.

– Już w porządku, Pete – powiedziała. Odniósł wrażenie, że oczy siostry się zmniejszyły. Na chwilę go objęła, uderzając Pete’a głową w podbródek. – Dziękuję ci z całego serca. Możecie już jechać. Sama dotrę do miasta.

– Jesteś pewna? – Pete poczuł się dezorientowany i nieco przerażony, gdy kolejna ciężarówka przemknęła tuż obok. – Lucy, uważaj.

– Kocham cię, Pete – powiedziała Lucy, po czym znikła w swoim białym aucie, a on poczekał, aż ujrzął, jak siostra poprawia siedzenie. Lucy

wystawiła głowę przez okno. – Ruszajcie – zawołała, machając ręką. Potem krzyknęła coś jeszcze, a Pete zrobił kilka kroków w jej stronę. – Powiedz Vicky, żeby pamiętała o Annie-Marie, powiedz jej, Pete!

Pete pomachał do siostry, potem wrócił do samochodu Vicky, gdzie siedzenie było jeszcze ciepłe po Lucy. Na podłodze walały się puszki po napojach i musiał przesunąć nogi, żeby ich nie nadepnąć. Pete i Vicky jechali za Lucy do zjazdu z autostrady, gdzie zawrócili w drogę powrotną do domu. Oczami wyobraźni Pete wciąż widział biały samochód Lucy sunący autostradą w stronę miasta. Nie opuszczało go uczucie oszołomienia.

Kilka minut później, gdy jechali już drogą do domu, Vicky powiedziała:

– Jest tak. – Z dłońmi na kierownicy, zerknęła na brata. – Lucy ma nierówno pod sufitem.

– Serio?

– Jest kompletnie szajbnięta. Bez przerwy płakała, powtarzała: „Tak mi przykro, tak mi przykro”, aż powiedziałam: „Lucy, przestań przeproszać, wszystko w porządku”. Ale ona mówiła: „Nie, niedobrze się stało, że przyjechałam, niedobrze zrobiłam, wyjeżdżając, wszystko zrobiłam nie tak”. Ja na to: „Lucy, masz natychmiast przestać. Wyrwałaś się, zrobiłaś karierę, trzymaj się z daleka, jest w porządku”. Ona nie mogła przestać płakać, Pete. Trochę to było straszne. „Może zadzwoń do męża”, powiedziałam. Lucy odparła, że mąż jest na jakiejś próbie czy czymś takim i później z nim porozmawia. „To może pomów z jedną z córek”, zaproponowałam. Na to Lucy: „Och nie, nie mogę dopuścić, żeby córki słyszały mnie w takim stanie”.

Pete wpatrywał się w schowek, na którym widniały smugi, jakby dawno ktoś wylał kawę.

– Kurczę – wykrztusił. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic. – Vicky wyprzedziła jakiś samochód i wróciła na pas. – Tak czy owak, Lucy połknęła proszek i powiedziała, że ataki paniki są... Nie pamiętam już, co mówiła, ale uspokoiła się, kazała mi się zatrzymać, żebyśmy nie musieli jechać do miasta. To było takie smutne, Pete. Ona jest taka drobna i... Widzisz ją w Internecie... – Vicky zamilkła. Wyprostowała się i prowadziła jedną ręką; drugą dotykała podbródka, opierając łokieć na podłokietniku.



Przez pewien czas jechali w milczeniu.

W końcu Vicky odezwała się, patrząc prosto przed siebie:

– Ona nie jest szajbnięta, Pete. Po prostu nie mogła znieść powrotu. To ją przerosło.

Jeżdżąc do jadłodajni dla ubogich w Carlisle z Guptillami, Pete zauważył, że okazywali sobie ciepłe uczucia. Shirley często kładła dłoń na ramieniu Tommy’ego, który prowadził. Pete zastanawiał się, jak by to było: tak swobodnie dotykać ludzi. Teraz chciałby – chociaż właściwie to nie – położyć dłoń na ramieniu siostry, tej siostry, która uszminkowała usta na spotkanie ze sławną Lucy. Zamiast to zrobić siedział cicho obok niej.

– Nie powinnam była wspominać o tych sprawach z przeszłości – stwierdziła w końcu Vicky.

– Skąd miałaś wiedzieć? Ja powiedziałem o tych ubraniach.

Brat i siostra jechali, przypiekani z boku przez słońce. Ponownie minęli stodoły wymalowane we flagi amerykańskie, tyle że teraz znajdowali się po ich drugiej stronie. Z drogi Pete znów zobaczył plac z zielonymi i żółtymi maszynami marki John Deere. Siedząc obok Vicky, czuł się niesamowicie bezpiecznie. Zastanawiał się, jak mógłby jej o tym powiedzieć.

– Vicky, jesteś świetna – rzekł w końcu.

Siostra zachnęła się z niesmakiem, spojrzała na Pete’a, on zaś dodał:

– Naprawdę. Lucy prosiła, żebym przypomniiał ci o tej Annie-Marie.

– Annie-Marie? – zdziwiła się Vicky. – O co jej chodziło?

– Też chciała chyba powiedzieć, że jesteś świetna, tak sędzę. – Pete przesunął nogi obok puszek walających się na podłodze.

Wiele mil jechali w milczeniu. Kątem oka Pete obserwował siostrę; uważał, że dobrze prowadzi. Podobała mu się jej tusza, to, jak wypełniała samochód i pewnie jechała przed siebie. Chciał jej to powiedzieć, chciał powiedzieć coś więcej niż tylko, że jest świetna. W końcu się zdecydował.

– Wiesz, Vicky, nie wyrosliśmy na złych ludzi.

Siostra spojrzała na niego i przewróciła oczami.

– Jasne – rzekła. – Cóż, nie latamy i nie mordujemy innych, jeśli to masz

na myśli. – Wybuchła krótkim śmiechem, który zdawał się dobywać z najgłębszych pokładów jej istoty.

Pete chciał, by ta podróż trwała wiecznie. Chciał jechać bez końca, siedząc obok siostry. Po chwili poznał jednak okolice; drogi zaczęły się zwęzać. Zobaczył wierzchołek klonu, który zaczął różowieć; widział pola wokół farmy Pedersonów. W końcu wrócili; Vicky skręciła w drogę, wjechała na podjazd i ich oczom ukazał się zmęczony domek z podniesionymi żaluzjami. Vicky zgasiła silnik.

Po chwili Pete powiedział:

– Słuchaj, Vicky, możesz chcesz ten dywan?

Vicky przytknęła palec do okularów i popchnęła je w górę.

– Pewnie, czemu nie? – odparła. Nie wysiadła jednak z samochodu, więc siedzieli w milczeniu i patrzyli na dom.

---

[\*] *Icky* (ang.) – mdły, wstrętny, cikliwy.

# PENSJONAT DOTTIE

Pochodzili ze Wschodu i nazywali się Smallowie. Mali.

Dottie stale o tym pamiętała, ponieważ mąż był potężnie zbudowany, a wyraz rozdrażnienia na twarzy musiał, choć częściowo, brać się z wieloletniego odpowiadania na komentarze związane z nazwiskiem. Dottie oczywiście ich nie robiła, ani trochę! Pani Small zrobiła rezerwację przez telefon, więc Dottie domyśliła się, że nie są młodzi. Poznała to nie tylko po głosie pani Small, lecz także po tym, że obecnie większość ludzi posługuje się Internetem. Dottie, nieco starsza od pani Small, czuła się w Internecie jak ryba w wodzie; wręcz żałowała, że nie pojawił się wcześniej, gdy była młoda; wtedy osiągnęłaby sukces w jakiejś dziedzinie, wymagającej posługiwania się umysłem do innych rzeczy niż wynajmowanie pokoi od kilku lat. Mogła być bogata! Ale Dottie nie narzekała, ponieważ pewnego lata jej przyzwoita ciotka Edna – miała wrażenie, że od tamtej pory minęło ze sto lat – wpoiła jej, że kiedy kobieta narzeka, to jakby wpychała Panu Bogu brud pod paznokcie. Dottie nigdy w pełni nie wymazała tego obrazu. Ta drobna, schludna kobieta, o zdrowej cerze odziedziczonej po przodkach ze Środkowego Zachodu, biorąc wszystko pod uwagę – a było tego sporo – jej zdaniem, jak i zdaniem innych ludzi, radziła sobie całkiem nieźle. Tak czy owak, dokonano rezerwacji dla państwa Smallów, a dwa tygodnie później w drzwiach pojawił się wysoki – rosły – siwy mężczyzna i oznajmił:

– Mamy rezerwację na nazwisko doktor Richard Small. – Choć wcale nie wspomniał o żonie, oświadczenie to było najwyraźniej wystarczająco rozległe, by obejmować także ją.

Doktor Small zameldował się w recepcji okropnym pismem, rozdrażnienie wprost z niego buchało, podczas gdy pani Small – bardzo chuda i nerwowa – z zaciekawieniem wodziła wzrokiem po sali. Po chwili zainteresowała się wiszącymi na ścianie starymi zdjęciami teatru, a zwłaszcza znajdującą się obok nich fotografią biblioteki. Zdjęcie przedstawiało staroświecki budynek z 1940 roku, ceglany i porośnięty bluszczem, a Dottie natychmiast domyśliła się czegoś w związku z tą kobietą, co dotyczyło też jej męża. W swojej pracy Dottie oczywiście często domyślała się różnych rzeczy o ludziach. Niekiedy bardzo się myliła, ale nie w przypadku państwa

Smallów. Doktor natychmiast poskarżył się, że w pokoju nie ma stojaka na bagaże, gdzie mógłby postawić walizkę, a Dottie rzecz jasna nie odpowiedziała, że tak się dzieje, kiedy twoja żona dzwoni i prosi o najtańszy pokój. Powiedziała natomiast, że ma inny pokój w końcu korytarza, który może będzie bardziej im pasował. Nosił nazwę Pokój Królików, ponieważ dawniej Dottie kolekcjonowała pluszowe zwierzątki. Jej mąż dawał jej królika na każde święto, podobnie jak znajomi. Później Dottie umieściła wszystkie króliki w jednym pokoju, a ludziom czasem odbijało na ich punkcie. Zwłaszcza kobietom i gejom. Obecność tylu królików niezmiernie pobudzała wyobraźnię; ludziom wydawało się, że pluszaki mówią i tak dalej. Kiedyś Dottie prowadziła księgę gości, ale z czasem ludzie zaczęli pisać, że w Pokoju Królików widzieli duchy i inne głupoty. W Pokoju Królików stały dwa łóżka oraz niska komoda, na której doktor Small mógł położyć walizkę. Wieczorem Dottie usłyszała przez ścianę nieprzerwany monolog pani Small wygłaszany wysokim głosem, tylko raz czy dwa przerywany krótką odpowiedzią męża. Dottie umknęło znaczenie wielu słów, ale domyśliła się, że przyjechał na zjazd kardiologów, ale nie zatrzymał się w dużym hotelu w mieście, gdzie odbywał się zjazd, pewnie dlatego, jak domyślała się Dottie, że był już stary i nie cieszył się wielkim uznaniem. Doktor Small nie mógł tego znieść, nie tolerował widoku młodszych kolegów zaśmiewających się razem wieczorami, dlatego przyjechał tu, do pensjonatu Dottie, gdzie mógł nie zwracać niczyjej uwagi. Dottie wyobrażała sobie, jak doktor Small mówi przy śniadaniu „praktykujący lekarz”, ponieważ tak właśnie zawsze mówią lekarze, kiedy nie chcą, żeby brano ich za pracowników akademickich, wobec których, jak rozumiała, czują wyższość. Dottie nie obchodziło, kto czuje wyższość wobec kogo, ale w tej branży człowiek zauważał istotne sprawy; nawet z zamkniętymi oczyma widziało się to i owo. Myślała sobie, że czasy doktora Smalla i jego kariera minęły, a on nie mógł się z tym pogodzić. Na pewno utyskiwał na komputeryzację danych, koszt praktyki lekarskiej, na to, że już tak dużo nie zarabiał. Cóż, Dottie wcale nie było go żal.

Za to jego żona ją zadziwiła.

Na widok takich par jak pan i pani Smallowie Dottie odczuwała czasem pociechę, że jej bolesny rozwód sprzed kilku lat przynajmniej nie pozwolił jej zostać taką panią Small: nerwową, jękliwą kobieciną, ignorowaną przez męża, co tylko potęgowało jej niepokój. Podobne kobiety widywało się

nieustannie. Widząc je, Dottie myślała, że o dziwo – uważała, że to naprawdę osobliwe – bez męża czuła się silniejszą osobą, chociaż tęskniła za nim każdego dnia.

Czekając na śniadanie, pani Small – mąż nie rozmawiał z nią, ale wertował notatnik, zawierający może materiały na konferencję – zaczęła przeglądać stare programy teatralne, które Dottie trzymała w koszyku, i zawołała:

– Uwielbiam Gilberta i Sullivana. – Po czym zaczęła nucić refren z *H.M.S. Pinafore*. Przy sąsiednim stoliku siedziało dwoje gości. Dottie sądziła, że doktor Small powstrzyma żonę, on jednak zaśpiewał razem z nią kilka taktów, co niezmiernie podniosło Dottie na duchu. Naprawdę, choć zawsze, co zrozumiałe, drżała o wygodę innych gości. Ci jednak najwyraźniej nie mieli nic przeciwko śpiewaniu, właściwie nie zwracali na to uwagi, bo przecież, o czym Dottie wiedziała, ludzie są przeważnie skupieni na sobie.

Podawała owsiankę dla doktora Smalla i grzanek z chleba pełnoziarnistego dla jego żony, która jak zauważyła Dottie, była cała ubrana na czarno. Po chwili pani Small powiedziała:

– Richard, spójrz, Annie Appleby! Patrz, piszą tu, że osiem lat temu grała Martę Cratchit w *Opowieści wigilijnej*. Popatrz. – Wskazała palcami program i mąż go wziął.

– Wszystko w porządku? – spytała Dottie, stawiając jedzenie na stole. Lubiła to mówić z niemal brytyjskim akcentem, choć w życiu nie była w Anglii.

Pani Small zwróciła się do Dottie z błyszczącymi oczami:

– Annie Appleby była naszą przyjaciółką. No, znaleźmy ją. Była kimś, kto... – Mąż przerwał jej nieznacznym gestem, jednym z tych, jakie wypracowują wieloletnie małżeństwa, i dokończyli śniadanie w milczeniu.

Przed południem razem wyszli z domu. Wyszli z domu, jak wszyscy, którzy przyjeżdżali do pensjonatu. Dottie zawsze przypominała sobie, że ludzie przyjeżdżali tu, by kogoś odwiedzić, bądź też – jak w przypadku państwa Smallów – włączyć się w świat interesów, albo, całkiem często, odwiedzać dzieci na studiach. Niezależnie od przyczyny wizyty goście mieli związek z czymś w miasteczku Jennisberg w stanie Illinois; wychodzili na

ulicę w konkretnym celu. Zamykające się solidne dębowe drzwi, które to podkreślały, ściszenie głosów po wyjściu na frontową werandę, nieuchronny szept porzucenia – cóż, to też należało do jej pracy.

\*

Zaraz po lunchu pani Small wróciła sama. Odwinęła z szyi szalik i chwilę kręciła się po sali, oglądając zdjęcia na ścianach, podczas gdy Dottie pracowała w recepcji.

– Jestem Shelly – powiedziała pani Small. – Nie wiem, czy wcześniej należycie się przedstawiłam. – Dottie odparła, że cudownie jest ją gościć, i kontynuowała pracę. Goście pensjonatu czasem czuli się zdezorientowani, bo nie wiedzieli, na ile powinni się zaprzyjaźniać. Dottie to rozumiała i zawsze starała się stosować taryfę ulgową. W młodości zaznała wielkiej biedy, a później przez wiele lat – więcej niż potrzeba – ilekroć wchodziła do sklepu, czy był to sklep odzieżowy, rzeźnik czy cukiernia, spodziewała się, że będą ją obserwować, po czym wyproszą. Dottie miała w sobie głęboko zakorzenione poczucie niższości i postanowiła, że żaden człowiek wchodzący do jej pensjonatu nie będzie tak się czuł. Shelly Small, która nie zdradzała żadnych oznak, że zaznała w życiu biedy – co prawda, nigdy nic nie wiadomo – sprawiała wrażenie osoby bardzo nerwowej; Dottie doskonale to wyczuwała. Po chwili Shelly znów wspomniała o aktorce Annie Appleby. Stojąc obok zdjęcia teatru i nie patrząc na Dottie, Shelly powiedziała:

– Sporo myślę o Annie. Powiedzmy, że znacznie więcej, niż muszę. – Przelotnie uśmiechnęła się do Dottie i na twarzy Shelly pojawił się na chwilę wyraz, na którego widok Dottie poczuła, jakby przez jej brzuch przepłynęła mała rybka. Rozpoznała to jako objaw, cóż, niemal litości, chociaż litość bywała kłopotliwa i Dottie za nic by nie chciała, żeby ludzie obdarzali ją tym uczuciem, co w przeszłości nieraz miało miejsce.

Spytała gościa, czy ma ochotę na filiżankę herbaty.

– Och, z rozkoszą – odparła Shelly, po czym usiadły w salonie, będącym w zasadzie lobby. Shelly Small upiła tylko łyk herbaty; to był jedynie rekwizyt, jak mówią w świecie teatralnym, tylko przedmiot pozwalający jej siedzieć w domu Dottie w jesiennie popołudnie, gdy w sali zmieniało się światło. Dottie widziała, że filiżanka herbaty dała tamtej prawo, by mówić.

W miarę swoich możliwości Dottie zapamiętała wiele z tej rozmowy.

\*

Przed laty doktor Small służył w Wietnamie z innym lekarzem, Davidem Sewallem. Według Shelly, w Wietnamie nigdy nic im nie groziło; w zasadzie się nudzili. Pod koniec wojny pracowali w szpitalu w bezpiecznym regionie; mieli mnóstwo czasu, by w razie potrzeby opuścić kraj; nie zwisali z helikopterów po upadku Sajgonu, nic podobnego; w szpitalu nie widzieli nawet wielu „okropieństw” – Shelly nie chciała, by Dottie odniosła wrażenie, że ci dwaj przeżyli traumę podobną do tej, jaka stała się udziałem wielu... „No wiesz, ludzi, którzy walczyli”. Shelly delikatnie klepnęła dłońmi w kolana w czarnych spodniach. Tak więc po powrocie z wojny Richard poznał Shelly w pociągu do Bostonu, rok później się pobrali, a David był świadkiem. Potem David został psychiatrą i ożenił się z ładną kobietą imieniem Isa. Mieli trzech synów. Smallowie i Sewallowie przyjaźnili się; mieszkali w tej samej miejscowości pod Bostonem, razem zbierali fundusze na orkiestrę. „Och, wiesz, jak to jest, człowiek ma grono przyjaciół i Sewallowie byli naszymi przyjaciółmi”. Żona Davida, Isa, zawsze była trochę dziwna, nie dało się jej rozgryźć, zachowywała dystans, ale była miła. David za dużo pił, wszyscy o tym wiedzieli, ale nie przychodził do gabinetu, zionąc alkoholem. Lekarz i duchowny to dwa zawody, gdzie nie można cuchnąć alkoholem. Ich synowie, jak to synowie, dwaj wyrosli na ludzi, jeden niezupełnie. Isa stale się martwiła. David często był surowy. Rzecz w tym, że po trzydziestu latach małżeństwa Isa i David się rozwiedli. „Zanim się rozstali, można się było zakładać, że wiele innych par się rozwiedzie, nie oni, ale tak to już jest”. Shelly Small uniosła chude przeguby, wnętrzem dłoni do góry i nieznacznie wzruszyła ramionami, co wyglądało bardzo poważnie.

– Wiesz, sami miesialiśmy problemy – mówiła. – Całymi latami trzymałam w szufladzie biurka wizytówkę adwokata od rozwodów. Aż do czasu, gdy wyremontowaliśmy dom nad jeziorem, gdzie chcielibyśmy osiąść na emeryturze. – Dottie przytaknęła.

To Isa odeszła, kiedy poznała mężczyznę na warsztatach malowania. Ironia losu polegała na tym, że David wiercił jej dziurę w brzuchu, żeby zapisała się na te warsztaty, ponieważ jego zdaniem Isa wpadła w przygnębienie. David po rozstaniu kompletnie się rozsypał. Czasem przychodził do Smallów i tylko płakał, co Shelly, prawdę mówiąc, trudno było znieść. To pewnie staromodne z jej strony, ale nie przywykła do widoku płaczącego mężczyzny. Richard był dobry. Płacz Davida go drażnił i męczył,

ale znosił to mężnie, jak na dobrego przyjaciela przystało.

Przez parę lat David przyprowadzał rozmaite kobiety, Shelly nie zamierzała o nich mówić, bo nie o to chodziło. Chodziło o Annie. Annie Appleby. Tu Shelly usiadła prosto, nachyliła się nieco ku Dottie i rzekła:

– Ona była naprawdę wyjątkowa.

Dottie nie musiała szczególnie przymuszać się do słuchania.

– Jeśli idzie o Annie, cóż, na początek musisz zdać sobie sprawę, że jest wysoka. Dobrze ponad metr osiemdziesiąt, a przy tym szczupła, przez co wydaje się naprawdę bardzo wysoka. Ma długie ciemne włosy, falujące, poskręcane jak sprężynki. Często zastanawiałam się, czy nie ma jakiejś domieszki, no wiesz, na przykład krwi indiańskiej. Annie pochodzi z Maine. Ma cudną twarz, cudną, delikatne rysy, niebieskie oczy i... Jak mam to ująć? Człowiek czuł się przy niej szczęśliwy. Annie kochała wszystko. Kiedy David przyprowadził ją pierwszy raz...

Dottie spytała, jak się poznali.

Shelly oblała się rumieńcem.

– Richard zabiłby mnie za to, że ci powiedziałam, ale Annie była pacjentką Davida. Cóż, mógł stracić licencję, ale postąpił, jak należy. Powiedział jej, że nie może dalej być jej psychiatrą... Posłuchaj, takie rzeczy czasem się zdarzają i właśnie przydarzyły się Annie i Davidowi. Związał się z nią, chociaż oczywiście musieli utrzymywać w tajemnicy to, jak się poznali. Wyssali z palca historyjkę o tym, że jej matka знаła Davida ze studiów. Annie pochodziła z farmy w Maine, gdzie uprawiano ziemniaki, na miłość boską. Od szesnastego roku życia była aktorką, po prostu uciekła z domu, najwyraźniej nikogo to nie obchodziło, a fakt, że była o dwadzieścia siedem lat młodsza od Davida, zupełnie nie miał znaczenia, bo czuli się szczęśliwi. Człowiek uwielbiał przebywać w ich towarzystwie.

Shelly przerwała i przygryzła wargę. Jej piaskowe włosy, dawniej rude, przeredzały się, jak to bywa u starszych kobiet. Obcięła je – Dottie przyszło na myśl określenie „stosownie” – tuż nad podbródkiem. Ani teraz, ani pewnie nigdy Shelly nie miała w sobie nic śmiałego.

– Wiesz, Richard nie miał pewności, czy chce się przenieść nad jezioro – powiedziała.



Dottie uniosła brwi, choć jej zdaniem ludzie ze Wschodniego Wybrzeża zazwyczaj nie wymagali zachęty. Inaczej rzecz się miała ze Środkowym Zachodem. Tam nie ceniono wylewności.

– Ale to inna historia – dodała Shelly. – Tak jakby.

Nie miała pojęcia dlaczego, może z powodu słońca padającego ukośnie na drewnianą podłogę, Dottie przypomniała sobie nagle lato z dzieciństwa, kiedy wysłano ją do Hannibal w stanie Missouri, gdzie miała spędzić kilka tygodni u wiekowej krewnej, której nie znała. Jej ukochany starszy brat Abel zatrudnił się w miejscowym teatrze jako bileter, więc został w domu i przerażona Dottie pojechała sama; jak wiele dzieci dorastających w biedzie, mało rozumiała i robiła, co jej kazano. Do dziś nie wiedziała, czemu do Missouri nie mogła jej zawieźć przyzwoita ciotka Edna. Z pobytu u krewnej Dottie przywiozła jedno jedyne wspomnienie, wyniesione z lektury artykułu w „Reader’s Digest”, znalezionym w stercie czasopism na zakurzonej parapecie. Artykuł opowiadał o kobiecie, której mąż służył w Korei. Kobieta, autorka artykułu, została z małymi dziećmi w domu w Stanach Zjednoczonych i wyczekiwała listów od męża. Wreszcie wrócił i w domu zapanowała radość. Mniej więcej rok później, kiedy mąż był w pracy, a dzieci w szkole, ktoś zapukał do drzwi. Na progu stała drobna Koreanka z niemowlęciem na ręku. Czytając to, Dottie była dokładnie w takim wieku, że jej serce, wciąż naiwne pomimo wszystkiego, czego zdążyła się dowiedzieć o życiu, czy raczej wchłonęła na temat życia, ponieważ ludzie najpierw chłoną, dopiero potem się uczą, o ile kiedykolwiek to następuje, otóż Dottie była wtedy w takim wieku, że serce niemal podeszło jej do gardła, gdy wyobraziła sobie tamtą kobietę otwierającą drzwi. Mąż się przyznał. Bardzo mu było przykro z powodu zamieszania; postanowiono, że rozwiedzie się z żoną, ożeni z Koreanką i razem z nią wychowa dziecko. Żona, choć miała złamane serce, pomogła im, to znaczy pozwalała dzieciom odwiedzać ojca w nowym domu, doradzała młodej Koreance, załatwiła jej lekcje angielskiego, a gdy mąż nieoczekiwanie zmarł, przyjęła Koreankę z dzieckiem pod swój dach, pomogła im stanąć na nogi, aż mogli się przenieść do własnego domu, ale nawet wtedy, w czasie pisania artykułu, kobieta pomagała dziecku tamtej skończyć studia, słowem: prawdziwie chrześcijańska historia. Wszystko to zrobiło spore wrażenie na Dottie. Płakała cicho, ale obficie, dziewczęce łzy płynęły po policzkach, kapały na kartki, a zdradzona kobieta o wielkim sercu została bohaterką Dottie. Ta kobieta wybaczała wszystkim.

Kiedy zapukano do drzwi Dottie, natychmiast przypomniała sobie tamtą opowieść. Zrozumiała, że ludzie musieli zdecydować, jak zamierzają żyć.

\*

Shelly Small, z żalnym wyrazem twarzy, siedziała w fotelu i wpatrywała się w podłogę.

– Gdzie jest ten dom, Shelly? – spytała Dottie.

– Nad jeziorem w New Hampshire. – Shelly ożywiła się i wyprostowała.  
– Kupiliśmy go wiele lat temu jako mały dom wiejski, naprawdę uroczy, jeździliśmy tam na weekendy i latem, na większość sierpnia, jeśli tylko mogliśmy. Uwielbiałam to miejsce. Uwielbiałam patrzeć, jak woda zmienia się wraz z niebem. W kwietniu kwitły laury, przepiękne. Chciałam, żebyśmy zamieszkali tam na emeryturze.

– Czemu tak się nie stało? – zainteresowała się Dottie.

– Powiem ci, dlaczego. Richardowi to nie odpowiadało. Z upływem czasu... – Shelly pochyliła się do przodu. – Widzisz, z upływem czasu... Dość powiedzieć, że życie żony lekarza nie jest usłane różami. Lekarze uważają się za bardzo ważnych ludzi. Wychowywałam dzieci, a on mówił, że nie robię tego, jak należy, ale czy był tam, kiedy zadzwonili ze szkoły i oznajmili, że przyłapali Charlotte na dewastowaniu toalety w ohydny sposób? Oczywiście, że nie. – Nagle się roześmiała. – W końcu, pierwszy raz podczas całego małżeństwa, postawiłam się i powiedziałam: „Jeżeli razem ze mną nie zabierzesz się do przebudowy domku, żeby przystosować go na naszą emeryturę, to znaczy, że nie jesteś mężczyzną, za jakiego cię uważałam, nie jesteś mężczyzną dla mnie”. – Shelly machnęła chudą ręką. – Było, minęło. Zaprojektowałam śliczny dom, prawo budowlane wymagało tylko, żeby zachować pierwotny rozkład, więc przywiozłam z Bostonu architektów, zajęło to prawie dwa lata, ale się udało, mogliśmy rozbudować dom w górę, ma trzy piętra, a także w dół, wkopując się trochę w ziemię, więc właściwie mamy trzy i pół piętra, naprawdę śliczny dom. Nasi przyjaciele przyjeżdżają tam na weekendy, chcemy zamieszkać tam na emeryturze. Już bardzo niedługo. Richard jest zmęczony obrotem spraw. Na medycynie nie można już właściwie zarobić.

– Wróć do tej dziewczyny, do Annie – poprosiła Dottie.

Shelly wyraźnie się ożywiła.

– Trudno ją nazwać dziewczyną, ale takie sprawiała wrażenie. Faktycznie zachowywała się dziewczęco. – Shelly cicho mówiła dalej. Zapadł już zmrok, kiedy drzwi otworzyły się i wszedł jej mąż. Dottie natychmiast spostrzegła, jak lekceważąco odniósł się do swojej żony i właścicielki pensjonatu, które siedziały w salonie i gawędziły przy wystygłej, niewypitej herbacie. Doktor Small rzucił coś przelotnie, po czym udał się do pokoju, a Shelly posyłając Dottie ukradkowy uśmiech, zebrała swoje rzeczy i ruszyła za nim.

\*

Annie Appleby okazała się w dużej mierze taka, jak opisała ją Shelly. Dottie znalazła wywiady, recenzje, blogi i oczywiście zdjęcia; dziewczyna była naprawdę wyjątkowa. Nie miała na twarzy tej promienności, jaką często spotyka się u aktorek, jak gdyby za pomocą uśmiechu chciały wyskoczyć ze zdjęcia prosto na twoje kolana. Na podstawie głupawych wywiadów oglądanych w telewizji i w Internecie Dottie uznała aktorów za ludzi niezwykle dziecinnych, ale Annie wyglądała inaczej. Coś w niej sprawiało, że chciałeś patrzeć na nią bez końca, ale nigdy nie miałeś się dowiedzieć tego, co chciałeś odkryć, bo ona ci na to nie pozwalała. To była bardzo pociągająca cecha. Dottie rozumiała, że psychiatra mógł mieć kłopoty z taką osobą, co tydzień przyglądającą się mu w gabinecie z krzesła czy kozetki, czy co tam robili pacjenci u psychiatry. Wyglądało na to, że Annie już dość dawno zarzuciła karierę aktorską, ale Dottie nie mogła się dowiedzieć, co teraz robiła.

\*

Shelly mówiła, że w ostatnim dniu wizyty Annie i Davida, gdy po raz pierwszy zobaczyli nowy dom, ona i Annie poszły na spacer wokół jeziora. W nowym domu urządzono pokoje gościnne, dokąd Annie i David natychmiast zanieśli bagaże. „Och, jak tu pięknie, Shelly”, zachwyciła się Annie. „Wykonałaś niesamowitą pracę!” Potem ruszyli wokół jeziora, mężczyźni przodem, a Shelly opowiadała Annie o różnych sprawach. Dottie oczywiście zastanawiała się, o jakich konkretnie, a Shelly wyznała jej to niepytana.

– Powiedziałam Annie, że jestem już starsza, przez co życie wygląda inaczej. To znaczy... – Shelly wygładziła spodnie. – Annie miała w sobie coś, co sprawiało, że człowiek czuł, że naprawdę może z nią porozmawiać. Ostatniego dnia ich pobytu nad jeziorem opowiedziałam jej, że kiedy byłam

młoda, jakiś mężczyzna mijający mnie w filharmonii zauważył: „Ślicznotka z ciebie”. Powtórzyłam to Annie i dodałam: „Już nikt nigdy nie nazwie mnie ślicznotką”.

Dottie milczała chwilę, przyswajając sobie słowa Shelly.

– I co powiedziała? – spytała w końcu.

– Nie pamiętam. – Dottie przekrzywiła głowę. – Ona była małomówna i miała dar słuchania. Człowiek nabierał przekonania, że wszystko będzie dobrze.

Dottie pomyślała, że Shelly postawiła wtedy Annie w dość trudnej sytuacji, mówiąc, że nikt już nie powie, że jest ładna. Na twarzy Shelly Small nie dało się dostrzec śladów dawnej urody. Może kiedyś tam były, ale Dottie ich nie widziała.

– Powiedziałam jej też o innych rzeczach – ciągnęła Shelly. – Wyznałam Annie, że martwię się o małżeństwa moich dzieci. Moja młodsza córka, cóż, sporo przytyła, czego nie potrafię zrozumieć. W poprzedni weekend odwiedzili nas nad jeziorem i patrzyłam, jak mąż mojej córki zachęca ją, żeby więcej jadła. Opowiedziałam o tym Annie. Czemu on to robi?, spytałam, ale Annie odparła, że nie wie. Wyznałam jej też, że moja druga córka marzy o zmianie pracy. Mówiłam Annie o bardzo osobistych sprawach.

– Tak, rozumiem – powiedziała Dottie.

– Ale rzecz w tym... – Shelly złączyła nogi, pochyliła się do przodu i złożyła dłonie na chudych kolanach. – Kiedy Annie i David się rozstali, zadzwoniłam do Annie i powiedziałam, że może sama przyjechać nad jezioro, z radością ją ugościmy. Zostawiłam wiadomość, ale ona nigdy nie odpowiedziała. Nie oddzwoniła do mnie. David przyjechał raz zapłakany, jak to on, tak samo było po odejściu Isy. Powiedziałam mu, że Annie nigdy się do mnie nie odezwała, na co odparł: „Oczywiście, że się nie odezwała, Shelly. Annie uważała, że jesteś żalosna! Uważała cię za idiotkę!”. Zaprotestowałam, że to nieprawda, nawet Richard powiedział, żeby David wyluzował.

„Owszem, tak uważała” – powtórzył David. Shelly, naturalnie wstrząśnięta, powiedziała: „Och, Davidzie, wiesz, że cała ta sprawa była trochę nierealistyczna. Choćby z powodu różnicy wieku między wami”.

Patrząc na wodę, David rzekł: „Różnica wieku. Ludzie sądzą, że dziewczynom podobają się starsi mężczyźni, ponieważ one szukają ojca. Klasyczna teoria. Ale dziewczyny chcą starszych mężczyzn, żeby nimi rządzić. To one noszą w domu spodnie. Zapewniam was. Ona była zwykłą dziwką”.

Shelly poczuła się wtedy bardzo nieswojo; oznajmiła mężczyznom, że zabiera się za kolację, potem zawahała się i powiedziała: „Davidzie, umieściłam twoje rzeczy w pokoju gościnnym, ale może nie chcesz tam mieszkać, bo wiesz, właśnie tam...”.

„Właśnie tam nic się nie wydarzyło – dokończył David. – Właśnie tam Annie odsunęła się ode mnie i powiedziała, że nie cierpi tego wielkiego domu. »Ten dom jest członkiem Shelly«, powiedziała”.

W tym miejscu Shelly urwała opowiadanie i do oczu, a jakże, napłynęły jej łzy.

Dottie miała ochotę głośno się roześmiać. Naprawdę. Uważała, że to jedna z najzabawniejszych rzeczy, jakie słyszała od dłuższego czasu. Gdy podniosła wzrok na Shelly, zobaczyła, że pomimo beznamiętnego wyrazu twarzy, jaki Dottie prezentowała otoczeniu, Shelly Small wyczuła jej pragnienie śmiechu, i naprawdę ją to rozzłościło. Cóż, Dottie to rozumiała. W końcu pointa opowiadania Shelly polegała na tym, że Annie ją upokorzyła. Dottie doskonale wiedziała, że upokorzenie nie jest powodem do śmiechu.

A jednak.

Dottie poprawiła zrobioną na szydełku serwetę na poręczu krzesła, na którym siedziała. Zdawała sobie sprawę, że rywalizują w niej odmienne uczucia. Współczuła Shelly i jednocześnie ją ignorowała. Jednak po świetle w pomieszczeniu poznała, że Shelly musiała mówić blisko dwie godziny. O sobie. Och, o Annie, Davidzie i córkach, ale tak naprawdę mówiła o sobie. Gdyby Dottie mówiła o sobie tak długo, miałyby poczucie, że straciła kontrolę i się zmoczyła. Wiedziała, że jest to sprawa różnych kultur, choć czuła zarazem, że zrozumienie tego faktu zajęło jej wiele lat. Uważała, że różnice kulturowe zanikały obecnie w kraju. Częścią kultury była klasa społeczna, o czym oczywiście nikt w tym kraju nie rozmawiał, bo było to niegrzeczne, jednak zdaniem Dottie ludzie nie poruszali kwestii klas, ponieważ jej nie rozumieli. Na przykład co by pomyśleli, wiedząc, że Dottie i

jej brat wyjadali w dzieciństwie resztki ze śmietników. Jej brat od dawna mieszkał w ogromnym drogim domu pod Chicago i miał firmę zajmującą się klimatyzacją. Dottie była zadbana, schludna, zorientowana w sprawach światowych i z powodzeniem prowadziła pensjonat. Co by więc powiedzieli? Że ona i jej brat Abel zrealizowali amerykańskie marzenie, a pozostali, którzy nadal wyjadali resztki ze śmietników, na to nie zasłużyli? Wiele osób skrycie tak by właśnie pomyślało. Shelly Small, z tym jej roslym mężem i rzędnącymi włosami, z pewnością mogła tak pomyśleć.

Zgodnie z odebranych wychowaniem Shelly Small mówiła o sobie tak, jakby był to najbardziej fascynujący temat na świecie. Słuchając jej, Dottie niemal ją podziwiała. Nawet zauważywszy – być może – że Dottie chciała się roześmiać, Shelly nie mogła przestać. Teraz opowiadała o mieszkańcach miejscowości, gdzie mieli dom nad jeziorem, o tym, że przed remontem zachowywali się sympatycznie i gościnnie. Teraz przejeżdżający sąsiedzi nawet nie machali. Jeden zatrzymał się, opuścił okno i zarzucił Shelly, że zniszczyła krajobraz McPosiadłością.

– Masz pojęcie, co za głupota? – powiedziała Shelly. – Zachowaliśmy pierwotny rozkład!

Dottie wstała i podeszła do recepcji, udając, że coś musi załatwić, ale w istocie chciała ukryć przed Shelly swoją minę.

– Przepraszam, ale jeśli nie położę tego rachunku na samej górze, nie zostanie zapłacony. – Dottie zaszeleściła papierami, po czym dodała: – Nie wierzę, żeby Annie powiedziała o tobie te rzeczy. Wcale nie wygląda mi na osobę, która mogłaby coś takiego powiedzieć.

– Ależ oczywiście, że powiedziała! – jęknęła Shelly z salonu.

– Że twój dom jest twoim członkiem? – Dottie rzadko używała słowa „członek” i sprawiło jej to frajdę. Wyszła z recepcji i znów przysiadła się do Shelly. – Czy naprawdę ta Annie mogłaby powiedzieć coś podobnego? „Davidzie, ten dom jest członkiem Shelly?”

– Nie wiem. – Shelly Small miała policzki czerwone jak burak.

– To prawda, nie wiesz – przyznała Dottie. – Ale jeśli naprawdę się nad tym zastanowić... Czy porównanie domu do członka nie pasuje raczej do psychiatry? Proszę się nad tym zastanowić, pani Small. Kto rozumuje w tych kategoriach? Moi znajomi i ja mówimy różne rzeczy o ludziach, ale nie to, że

ich domy są ich członkami. Proszę spojrzeć na ten dom. To mój dom. Czy powiedziałyby pani panu Smallowi dziś wieczorem, że ten dom, ten pensjonat jest członkiem tej kobiety?

Właśnie wtedy drzwi się otworzyły i wkroczył pan Small, a wraz z nim podmuch jesiennego wiatru w Illinois.

– Jak się macie, drogie panie? – zapytał, rozpinając płaszcz. – Shelly? – Jak gdyby biedna żona nie mogła siedzieć i gawędzić z właścicielką pensjonatu. Shelly ruszyła za mężem do pokoju.

\*

Aż do przyjazdu państwa Smallów Dottie nie pojmowała, że prowadzenie pensjonatu wiąże się z najróżniejszymi przeżyciami gości, które sprawiają, że czuje się z nimi związana albo przez nich wykorzystywana. Na przykład pewnego wieczoru, około kolacji, pojawił się pewien człowiek, naprawdę bogaty mężczyzna – nieco młodszy od Dottie – który wynajął pokój, potem jednak uznał, że chce oglądać telewizję, więc usiadła z nim, oglądając jedną z brytyjskich komedii – och, zdaniem Dottie były bardzo zabawne, ale starała się nie śmiać na głos, ponieważ ten człowiek się nie śmiał – aż zdała sobie sprawę, że coś go poważnie trapi. Zaczął wydawać odgłosy, jakich nigdy wcześniej nie słyszała, nieco seksualnej natury, ale były to odgłosy potwornego bólu. Później często myślała, że był to ból wprost nieopisany. Gdy zaczęła go cicho wypytywać, odpowiadał na migi, a ona zdumiała się, jak dobrze potrafią się porozumieć. Najpierw spytała, czy potrzebuje lekarza, na co mężczyzna potrząsnął głową i machnął ręką, dając do zrozumienia, że lekarz nic nie pomoże. Po jego głęboko pobrużdżonej twarzy zaczęły płynąć łzy. Niech będzie błogosławiona jego biedna dusza, myślała zawsze Dottie, wspominając tego człowieka. „Dobrze”, powiedziała, usiadła obok niego na kanapie, a on utkwiał w niej świdrujący wzrok, nikt nigdy tak baczenie jej się nie przyglądał, nigdy ona też nie patrzyła tak uważnie na drugą osobę. Zachowywał się jak niemowa, chociaż wcześniej, gdy pytał o pokój i pozwolenie na oglądanie telewizji, na pewno używał słów. Dottie zachowała spokój; ograniczyła się do wypowiedzi, na które mógł się zgodzić, potakując, albo odrzucić potrząśaniem głowy.

– Zostanę tu i upewnię się, że wszystko z panem w porządku – powiedziała na przykład, a on przytaknął, wpatrując się w nią tymi biednymi pytającymi oczami.

– Coś się panu chyba przytrafiło, ale myślę, że się ułoży – powiedziała. I jeszcze: – Ta sytuacja nie budzi we mnie strachu. – Ta ostatnia wypowiedź Dottie wywołała kolejny potok łez i mężczyzna ścisnął ją za rękę z taką siłą, że o mały włos jej nie złamał. Potem podniósł tę samą rękę, jak sądziła, w geście przeprosin.

– Nic nie szkodzi – zapewniła. – Wiem, że nie chciał mi pan zrobić krzywdy. – Mężczyzna smutno przytaknął. Dottie nie pamiętała już wszystkich szczegółów, ale miała wrażenie, że porozumiewali się całkiem dobrze, jeśli wziąć wszystko pod uwagę – a najwyraźniej było tego całkiem sporo – więc za pomocą pytań zdołała się dowiedzieć, że o północy mógł połknąć proszek i zasnąć na pięć godzin.

– W porządku – oświadczyła. – Ale nie za dużo tych proszków, mam rację? – Mężczyzna potaknął. W ten sposób, naprawdę było to coś niezwykłego, spędzili razem wieczór, a on oczyścił przed nią swoją duszę. O północy Dottie przyniosła mu wodę, odprowadziła go do pokoju i powiedziała, gdzie jest jej pokój, na wypadek gdyby jej potrzebował.

– To nie jest zaproszenie, co z pewnością pan rozumie, ale zawsze uważam, że pewne sprawy należy stawiać jasno. – Wtedy niemal się roześmiał, naprawdę radośnie, zobaczyła, jak jego oczy łagodnieją i oboje zaśmiali się, może nie gromko, ale całkiem solidnie, z tego, co powiedziała. O siódmej rano odjechał: wysoki mężczyzna, nawet całkiem nieźle wyglądający po przespanej nocy.

– Bardzo pani dziękuję – powiedział szczerze i z zakłopotaniem.

Dottie nie spytała, czy życzy sobie śniadanie. Rozumiała, że czułby się zażenowany, gdyby jajka i grzanki podawała mu kobieta, która widziała coś, czego nie miała zobaczyć, czego nikt nie miał zobaczyć.

I odszedł. Oni zawsze odchodzili.

Zachowała formularz rejestracyjny, tak jak dziecko zachowuje odcinek biletu na pamiątkę specjalnego wydarzenia. Całe zdarzenie było czyste jak wiosenny strumyk. Nigdy nie sprawdziła go w Internecie, nigdy nie kusilo jej, by to zrobić. Nazywał się Charlie Macauley. Niewymownie udręczony Charlie Macauley.

\*



Nazajutrz przy śniadaniu Shelly nie zwracała uwagi na Dottie. Nawet nie podziękowała za grzanekę z chleba pełnoziarnistego. Dottie bardzo to zdziwiło; nagła zmiana zachowania Shelly sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu. Potem zrozumiała. Pewnego dnia Dottie przeczytała stare afrykańskie przysłowie: „Kiedy człowiek się naje, ogarnia go wstyd”. Pomyślała, że tak właśnie stało się z Shelly. Była jak bohater przysłowia; zaspokoivszy swoje potrzeby, zawstydziła się. Zwierzyła się bardziej, niż chciała, a teraz Dottie w pewnym sensie ponosiła winę. Kursując między kuchnią a jadalnią, Dottie doszła do wniosku, że Shelly Small jest kobietą, której przytrafiło się najpowszedniejsze z niepowodzeń: życie nie spełniło jej oczekiwań. Shelly zebrała życiowe rozczarowania i zmieniła je w dom. Dom, który dzięki pomocy odpowiednich architektów spełniał wymogi prawa budowlanego, ale stał się potwornością równie wielką jak potrzeby Shelly. Nie płakała, mówiąc o otyłości córki. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy opowiadała, jak urażono jej próżność. Shelly odniosła zwycięstwo w toczonej z mężem Wojnie o Dom, ale to nie wystarczyło. Dottie nie powiedziała jej, ponieważ to do niej nie należało, że Shelly miała męża, który śpiewał razem z nią przy śniadaniu, w sąsiedztwie obcych, a to nie była – przepraszam, pomyślała Dottie – drobnostka.

Słuchanie drugiej osoby nie jest czymś biernym. Słuchanie jest aktywne, a Dottie naprawdę słuchała. Uznała, że problemy i upokorzenia Shelly nie są duże w porównaniu z tym, co się działo na świecie. Jeśli pomyśleć o ludziach umierających z głodu, wylatujących w powietrze bez powodu, zagazowywanych przez własny rząd, co tylko chcesz – to nie była historia. Mimo to Dottie współczuła jej z powodu drobnych – tak, Small – chwil ludzkiego smutku. A teraz Shelly nie potrafiła okazać nawet tyle przyzwoitości, by odwzajemnić jej spojrzenie. To się Dottie wcale nie podobało; chciałyby wiedzieć, komu by się podobało!

Kiedy Shelly w końcu obejrzała się przez ramię, by spytać, czy może dostać więcej dżemu, Dottie odparła, że oczywiście. W kuchni – choć była to strasznie konwencjonalna forma zemsty – napluła do dżemu, wymieszała i napluła znowu, tak dużo, jak tylko mogła zebrać śliny, i z pewną satysfakcją zobaczyła, że gdy Smallowie wstali od stołu, miseczka świeciła pustkami. Prawdopodobnie od zarania dziejów ludzie pluli w jedzenie osób, którym usługiwali. Dottie wiedziała z doświadczenia, że przynosiło to krótkotrwałą ulgę, ale przecież każda ulga trwała krótko, takie już było życie.

Shelly wyszła na cały dzień i dopiero bardzo późno wróciła z mężem do pokoju. Tej nocy Dottie usłyszała – ze zdziwieniem – taki chichot dobiegający z Pokoju Królików, że wstała z łóżka i w kapciach poszła korytarzem. Pod drzwiami usłyszała, jak Shelly Small wyśmiewała się z Dottie w sposób, który ta uznała za skandaliczny. Sugerowała, że Dottie od dawna nie używała pewnych części ciała, a doktor Small, czemu nie należy się dziwić, wtórował żonie bardzo obrazowo. Oboje świetnie się bawili, jak gdyby Dottie była kłownem potykającym się o za duże buty; takie mieli poczucie humoru. Następnie, zgodnie z przewidywaniami Dottie, z pokoju dobiegły odgłosy ludzi, którzy się kochają, jak to określała przyzwoita ciotka Edna. Dottie nie słyszała jednak odgłosów miłości. To, co słyszała, przywiodło jej na myśl, że pewne kobiety porównywały mężczyzn do świń. Dottie nigdy nie myślała o mężczyznach jako o świniami, ten jednak nieźle je naśladował. W korytarzu nie słyszała kobiety radującej się miłością męża, ale odgłosy kobiety, która uczyni wszystko, by poczuć wyższość wobec starszej pani, będącej, jak powiedziała Shelly zaledwie kilka minut wcześniej, taką purytanką, że prawie na nic się nie zgodzi. Innymi słowy, Shelly Small mogła złagodzić własną udrękę poprzez bycie kobietą seksualną, w odróżnieniu od Dottie. Mimo to Dottie poznała wyraźnie, że Shelly nie była seksualną kobietą. Wkrótce potem Shelly udała się pod prysznic, co dla Dottie zawsze stanowiło nieomylną oznakę, że kobieta nie czerpała zadowolenia ze swego mężczyzny.

Rano doktor Small zasiadł do śniadania sam.

– Czy pańska żona dołączy? – spytała Dottie.

– Pakuje się – odparł, rozkładając serwetę. – Znowu zjem owsiankę, dla niej nic nie musi pani przygotowywać.

Dottie przytaknęła. Po przyniesieniu mu owsianki poszła zadbać o inne małżeństwo, które też zatrzymało się w pensjonacie. Gdy wróciła do jadalni, doktor Small właśnie wstawał, rzucając serwetę do miski po owsiance. Dottie ogarnęła dojmująca odraza: została wykorzystana.

Kładąc dłonie na oparciu krzesła, powiedziała spokojnie:

– Ja nie jestem prostytutką, panie Small. Widzi pan, to nie jest mój zawód.

W odróżnieniu od żony, która szybko się czerwieniła, kiedy była

zdziwiona lub zakłopotana, doktor Small zbladł. Dottie wiedziała – tak jak wiedziała wiele rzeczy – że to znacznie gorszy objaw.

– Co pani ma na myśli, na miłość boską? – wykrztusił w końcu. Najwyraźniej nie mógł się powstrzymać i dodał: – Jezu Chryste, kobieto.

Dottie nie ruszyła się z miejsca.

– Dokładnie to, co mówię. Oferuję gościom łóżko, oferuję śniadanie. Nie oferuję porad na temat życia, którego nie mogą znieść. – Na chwilę zamknęła oczy, potem kontynuowała: – Nie doradzam gościom w kwestii małżeństw, które są śmiercią za życia, ani w kwestii rozczarowań, jakich doznali ze strony marnych przyjaciół, dla których ich domy są jak członek. Oto, co mam do powiedzenia.

– Jezu – mówił doktor Small, cofając się przed Dottie. – Pani jest stuknięta. – Potknął się o krzesło i wyglądało na to, że gotów jest się przewrócić. Odzyskawszy równowagę, wycelował w Dottie palec i potrząsnął. – Na rany Chrystusa, pani nie powinna mieć do czynienia z ludźmi. – Przeszedł przez lobby i zaczął się wspinać po schodach. – Dziwię się, że nikt nie złożył na panią skargi, chociaż myślę, że złożył. Jak mi Bóg miły, sam napiszę w Internecie.

Dottie uprzątnęła naczynia. Spokój ogarnął ją szybko i cicho. Nikt nigdy się na nią skarżył. Z pewnością nie uczyni też tego doktor Small, który przypuszczalnie ledwo radził sobie z Internetem; przypomniała sobie, że podczas pierwszego śniadania miał swoje materiały w notatniku.

Dottie odczekała, aż usłyszała Smallów schodzących po schodach. Podeszła do drzwi i otworzyła. Nie życzyła im bezpiecznego lotu, ponieważ, jeśli o nią chodziło, mogli runąć do morza, ale gdy ujrzała czerwony nos Shelly ze zwisającą kapką wilgoci, ogarnął ją smutek. Doktor Small przepchnął się obok Dottie z walizką i rzucił:

– Jezu Chryste, co za cholerna świruska.

Wtedy Dottie poczuła, jak cudowny spokój powraca.

– Żegnajcie – powiedziała i zamknęła za nimi drzwi.

Potem podeszła do recepcji i usiadła. W pensjonacie panowała całkowita cisza. Po chwili ujrzała, jak Smallowie ruszają z podjazdu wynajętym samochodem, wtedy wyjęła z głębi szuflady kartkę z nazwiskiem tego

uroczego człowieka: Charlie Macauley. Charlie Macauley Niewysłowionej  
Udręki. Dottie ucałowała dwa palce i przycisnęła do podpisu.

# ŚNIEŻNA ŚLEPOTA

W tamtych czasach droga, przy której mieszkali, była piaszczysta, a mieszkali na jej końcu, półtora kilometra od autostrady numer 4. To było na północy, w krainie kartoflanej, a kiedy dzieci Applebych były małe, zimy były mroźne i śnieżne; na długie miesiące droga zwężała się tak, że zdawała się nieprzejezdna. Pogoda była wtedy inna, jak członek rodziny, którego nie da się uniknąć. Człowiek znosił ją, nie poświęcając temu zbyt wielu myśli. Elgin Appleby przymocowywał solidny pług śnieżny do najmocniejszego traktora i zazwyczaj udawało się mu odśnieżyć drogę na tyle, by zawieźć dzieci do szkoły. Elgin wychował się na wsi, znał się na pogodzie i ludziach, wiedział, kto w okolicy obciąża sprzedawane worki kamieniami. Elgin był zamkniętą księgą, oszczędnie zamieszkiwał sam w sobie, ale jego rodzina rozumiała, że nie cierpiał nieuczciwości w żadnej postaci. Zdarzały się mu nieoczekiwane chwile ożywienia. Potrafił na przykład idealnie naśladować starą pannę Lurvy, która prowadziła małe muzeum Towarzystwa Historycznego.

– Pierwsza toaleta ze spuszczaną wodą w hrabstwie Aroostook – mówił, odsuwając w tył wąskie ramiona, jak gdyby miał duży biust – należała do sędziego, który regularnie bijał żonę. – Albo udawał włóczęgę szukającego jedzenia; wyciągał rękę, patrzył prosząco niebieskimi oczami, a dzieci tarzały się ze śmiechu, dopóki jego żona Sylvia ich nie uspokoiła. W zimowe poranki rozgrzewał samochód na podjeździe i zeskrobywał lód z szyb w tumanach spalin, aż dzieci zbiegały po ośnieżonych schodach posypanych solą. Przy tej drodze mieszkała jeszcze trójka dzieci: dwaj chłopcy państwa Daigle oraz ich siostra Charlene, niemal rówieśniczka najmłodszego dziecka Applebych, osobliwej dziewczuszki imieniem Annie.

Annie była chuda, energiczna i tak gadatliwa, że jej matce właściwie nie było przykro, gdy córka całymi godzinami samotnie bawiła się w lesie patykami albo lepila anioły ze śniegu. Jako jedyne dziecko Applebych odziedziczyła po matce i babci oliwkową cerę i ciemne włosy akadyjskich przodków, a widok jej czerwonej czapeczki i ciemnowłosej głowy był równie znajomy jak widok kowalika w karmniku dla ptaków. Pewnego ranka, gdy Annie miała pięć lat i jechała do przedszkola, oznajmiła dzieciom w samochodzie – bratu, siostrze, braciom Daigle i ich siostrze Charlene – że w

lesie przemówił do niej Bóg.

– Jesteś taka głupia – powiedziała do Annie jej siostra. – Może się zamkniesz?

Annie podskoczyła na siedzeniu obok ojca i zawołała:

– Ale to prawda! Bóg ze mną rozmawia. – Siostra spytała, jak Bóg to robi, na co Annie odparła: – Wkłada różne myśli do mojej głowy. – Spojrzała ojcu w oczy, a gdy odwrócił głowę w jej kierunku, zobaczyła w jego oczach coś, co zostało z nią na zawsze, niepodobnego do ojca, coś, co nie wyglądało dobrze.

– Wsiądnijcie – powiedział, kiedy zatrzymali się przed szkołą. – Muszę pomówić z Annie. – Gdy drzwi się zatrzasnęły, zwrócił się do Annie: – Co takiego widziałaś w lesie?

– Widziałam drzewa i sikorki – odparła po namyśle.

Ojciec milczał dłuższą chwilę, patrząc przed siebie nad kierownicą. Annie nigdy nie bała się ojca tak, jak Charlene bała się swojego. Annie nie bała się też matki, która była miłszym z rodziców, ale nie ważniejszym.

– Idź już. – Ojciec skinął jej głową, dziewczynka precyzyjnie się po siedzeniu, zimowe spodnie zaskrzypiały, a ojciec pochylił się, otworzył jej drzwi i zanim je zamknął, rzucił: – Uważaj na palce.

\*

Działo się to w tym roku, kiedy Jamie nie mógł zaakceptować swojego nauczyciela.

– Niedobrze mi się robi z jego powodu – powiedział Jamie, rzucając buty do sieni.

Podobnie jak ojciec, Jamie nie był zbyt rozmowny, a matka, przyglądająca się tej scenie, gwałtownie poczerwieniała.

– Czy pan Potter jest dla ciebie niemiły?

– Nie.

– Więc o co chodzi?

– Nie wiem.

Jamie chodził do czwartej klasy i Sylvia kochała go bardziej niż córki, a to dlatego, że budził w niej nieznośną słodycz, która rozlewała się po jej sercu. Myśl, że mógłby cierpieć, była nieznośna. Sylvia kochała Annie łagodną miłością, bo dziewczynka była bardzo dziwna i nieszkodliwa. Środkowe dziecko, Cindy, kochała z umiarkowaną szczodrością. Cindy, najnudniejsza z całej trójki, chyba najbardziej przypominała jej matkę.

W tym samym roku Jamie zaoszczędził pieniądze i kupił ojcu na urodziny magnetofon. To była okropna chwila, ponieważ ojciec, po rozpakowaniu prezentu prawie bez rozdzierania papieru, jak zawsze wszystko rozpakowywał, powiedział:

– To ty chciałeś dostać magnetofon, Jamie. Nie wypada dawać komuś prezent, który sam chciałbyś dostać, chociaż zdarza się to bez przerwy.

– Elgin – mruknęła Sylvia.

Jamie faktycznie marzył o magnetofonie i teraz poczerwieniał. Magnetofon odłożono na najwyższą półkę w szafie.

Chociaż Annie była niezmiernie gadatliwa, nie wspomniała o tym nikomu, nawet babci mieszkającej obok nich. Babcia mieszkała w małym pudełkowatym domku, który podczas długich białych zimowych miesięcy wydawał się nagi, surowy, z oknami jak szeroko otwarte oczy patrzące w stronę farmy. Staruszka pochodziła z St. John Valley i ponoć swego czasu była piękna. Na zdjęciach można było zobaczyć, że matka Annie też była kiedyś piękna. Dzisiaj staruszka była chuda jak szczapa, z siateczką zmarszczek na twarzy.

– Chciałabym umrzeć – powiedziała leniwie, leżąc na kanapie. Annie siedziała obok na dużym krześle z nogą założoną na nogę. Staruszka kreśliła palcem w powietrzu. – W tej chwili chciałabym zamknąć oczy i odejść. – Uniosła siwą głowę i powiedziała do Annie: – Jest mi smutno. – Potem znów opuściła głowę.

– Tęskniłabym za tobą – stwierdziła Annie.

Była sobota, przez cały dzień padał śnieg, duże, mokre płatki zalegały w dolnej części szyb.

– Wcale byś nie tęskniła. Przychodzisz tu tylko po słodycze. Przecież masz brata i siostrę, z którymi możesz rozmawiać. Nie pojmuję, czemu nie

bawicie się we trójkę.

– Nie mamy apetytu. – Kiedyś Annie poprosiła brata, żeby zagrał z nią w karty, a Jamie odparł, że nie ma apetytu. Annie podłubała w dziurze w skarpetce. – Nasza nauczycielka mówi, że jak będziesz patrzeć na pole zaraz po tym, jak spadł śnieg i świeci mocne słońce, możesz oślepnąć. – Annie wyciągnęła szyję, by wyrzec przez okno.

– To nie patrz – poradziła babcia.

\*

W piątej klasie Annie zaczęła częściej zostawać u Charlene Daigle. Annie wciąż była pełna życia i buzia jej się nie zamykała, ale doszło do pewnego zdarzenia związanego z zapomnianym magnetofonem – był to wspólny sekret jej i Jamiego – po którym wokół jej rodziny zacisnęła się jakby pętla: wokół farmy, milczącego brata, nadąsanej siostry oraz uśmiechniętej matki, mówiącej często:

– Wcale mi nie żal Daigle’ów. On jest zawsze naburmuszony i wydziera się na dzieci. Mamy wielkie szczęście, że jesteśmy kochającą się rodziną.

Słuchając tego wszystkiego, Annie wyobraziła sobie kiełbasę, wydłubała w skórce otwór i próbowała ją wycisnąć. Tak naprawdę pan Daigle wcale nie krzyczał na swoje dzieci. Kiedy Annie i Charlene się kąpały, często przychodził, żeby umyć je myjką. Dla ojca Annie ciała były czymś prywatnym i ostatnio zrobił się czerwony i wydzierał się – i to strasznie! – ponieważ Cindy nie owinęła dokładnie podpaski przed wyrzuceniem jej do śmieci. Kazał córce przyjść, wyjąć podpaskę i porządnie ją owinąć. Annie zatrzęsała się w środku; skórka kiełbasy była wstydem. Jej rodzina była otoczona wstydem. Annie bardziej to czuła, niż wiedziała, jak to bywa z dziećmi. Pomyślała, że kiedy ta okropna rzecz przytrafi się jej ciału, będzie zakopywać te rzeczy w lesie.

Po lekcjach chodziła więc do Charlene, lepiły wielkie bałwany, które pan Daigle polewał wodą ze szlauchu, żeby rano pokryły się warstwą lodu. Kiedy było za zimno na wychodzenie na dwór, Annie i Charlene wymyślały historie i je odgrywały. Ojciec Annie przychodził po nią i przyglądał się dziewczynkom razem z panią Daigle. Pani Daigle malowała usta na czerwono i miała w sobie coś gwałtownego. Gdy Elgin Appleby rozmawiał z nią, w oczach zapalały się mu błyski. Nie było ich, kiedy rozmawiał z żoną, a



w pewne sobotnie popołudnie Annie zapytała nieoczekiwanie:

– To przedstawienie, które wymyśliłyśmy, jest głupie. Chcę wracać do domu. – Po drodze, jak zwykle, trzymała ojca za rękę. Wokół nich rozciągały się bezkresne białe pola, obrzeżone ciemnymi pniami świerków z gałęziami uginającymi się pod śniegiem. – Tato, co jest dla ciebie najważniejsze? – wyrzuciła z siebie.

– Ty, rzecz jasna. – Ojciec nie zwolnił kroku. – Moja rodzina – odpowiedział natychmiast i spokojnie.

– A mama?

– Jest najważniejsza ze wszystkiego.

Annie poczuła, jak rozlewa się wokół niej radość, którą zapamiętała na długie lata. Droga powrotna do domu z ojcem trzymanym za rękę, cichnące jasne pola, drzewa przechodzące w morską zieleń, mleczne słońce w kolorze śniegu. Po wejściu do domu zapukała cicho w drzwi pokoju brata. Jamie chodził już do liceum i nad górną wargą sypał mu się wąs. Annie zamknęła za sobą drzwi i oznajmiła:

– Nana jest wstrętą starą wiedźmą. Nikt jej nie lubi. Ani jedna osoba.

Brat wciąż wpatrywał się w otwarty komiks.

– Nie wiem, o czym mówisz – stwierdził. Kiedy jednak Annie westchnęła i odwróciła się, żeby odejść, dodał: – Oczywiście, że jest wiedźmą. Nie przejmuj się nią. Ty zawsze we wszystkim przesadzasz. – Jamie cytował matkę, która mówiła, że Annie zawsze przesadza.

Farma należała do ojca Sylvii. Elgin mieszkał trzy miasteczka dalej, choć pochodził z Illinois; wychował się w przyczepie w rodzinie, gdzie nie było pieniędzy, ziemi ani religii. Pracował jednak na farmach i znał się na roli, a poślubiwszy Sylvię, odziedziczył farmę po śmierci teścia. Kiedyś, tak dawno, że Annie nie pamiętała, wybudowano domek dla babci. Wcześniej mieszkała razem z resztą rodziny.

– Posłuchaj tego – powiedział Jamie, przychodząc pewnego wieczoru do Annie przed kolacją. Brat i siostra poszli do stodoły i przycupnęli na górze. – Przed przyjściem mamy schowałem to pod kanapą Nany. – Magnetofon klikał i szumiał. Potem rozległ się wyraźny głos babci mówiącej do swojej córki:

„Rzygać mi się chce, Sylvio. Leżę tu i mam ochotę wymiotować. Ale tak sobie pościeliłaś. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz, moja droga”. – Potem usłyszeli płacz matki i jej ciche pytanie. Czy powinna porozmawiać z pastorem?

„Na twoim miejscu byłabym zbyt zażenowana” – stwierdziła ich babcia.

\*

Wszystko to zdawało się trwać wiecznie: biały śnieg wokół nich, babcia leżąca w sąsiednim domku na kanapie i pragnąca umrzeć, nieustannie paplająca Annie. Chuda jak szczapa, miała metr osiemdziesiąt i długie, falujące ciemne włosy. Pewnego dnia ojciec znalazł Annie za stodołą i oznajmił:

– Chcę, żebyś przestała chodzić do lasu. Nie wiem, co tam knujesz.

Zdumienie Annie wiązało się bardziej z niesmakiem oraz jego gniewnym wyrazem twarzy. Odparła, że nic nie knuje.

– Ja cię nie proszę, Annie. Ja ci każę. Przestań albo dopilnuję, żebyś została w domu na dobre.

Annie otworzyła usta, jakby chciała zapytać: Zwariowałeś? Potem jednak przyszło jej na myśl, że może właśnie tak się stało, i przestraszyła się tak, jak nie sądziła, że człowiek może się przestraszyć.

– Dobrze – powiedziała.

Okazało się jednak, że w słoneczne dni nie jest w stanie trzymać się z dala od lasu. Świat materialny pełen cętkowanego światła, jej pierwszy przyjaciel, rozkładał ramiona piękna i czekał na przyjęcie jej podniecenia, jakiego nie budziło nic innego. Annie poznała rytm życia osób wokół niej, wiedziała, gdzie i kiedy będą, zaczęła chodzić do lasu bliżej miasta lub za szkołą, gdzie łagodnie i z całego serca śpiewała piosenkę ułożoną przez siebie przed laty:

– Tak się cieszę, że żyję, cieszę się, że żyyyję... – Annie czekała.

Potem przestała czekać, ponieważ pan Potter zobaczył Annie w szkolnym przedstawieniu teatralnym, załatwił jej występ w teatrze letnim, ludzie z teatru letniego zabrali ją do Bostonu i Annie wyjechała. Miała szesnaście lat i dopiero później uzmysłowiła sobie, że rodzice wcale się nie sprzeciwiali, nie

prosili nawet, by ukończyła szkołę. W tym okresie było wielu mężczyzn, często grubych, miękkich, z dużymi pierścieniami na palcach, którzy tulili Annie w ciemnych teatrach, szeptali, że jest cudna jak sarenka w lesie, posyłali ją na kastingi, znajdowali ludzi, którzy mieszkali z nią w rozmaitych pokojach w rozmaitych miastach, ludzi, jak się przekonała, wyjątkowych i niewiarygodnie dobrych. To samo skupienie Boskiej obecności, które poznała w lesie, rozciągało się na nieznanym, którzy ją kochali; zjeżdżała teatry w całym kraju, a odwiedziwszy znów dom na końcu drogi, zdziwiła się, jaki był mały, jakie miał niskie sufity. Podarki przywiezione przez Annie – swetry, biżuteria, portfele i zegarki, tanie podróbki kupione od ulicznych handlarzy – zdawały się wprawiać rodzinę w zakłopotanie. Sama jej obecność wprawiała ich w zakłopotanie.

– Zostałaś prawdziwą tespijką<sup>[\*]</sup> – mruknął ojciec z wyraźnym niesmakiem.

– Nieprawda – zaprzeczyła Annie, bo myślała, że nazwał ją lesbijką.

Twarz ojca stała się nalana, chociaż wciąż był szczupły. Zegarek przesunął po stole w stronę Annie.

– Znajdź kogoś innego, komu to się przyda. Widziałaś, żebym nosił zegarek?

Za to babcia, wyglądająca tak samo jak dawniej, usiadła na kanapie i powiedziała:

– Wypiękniałaś, Annie. Jak to się stało? Opowiedz mi o wszystkim. – Annie usiadła więc na dużym krześle i opowiedziała babci o garderobach, o małych mieszkaniach w różnych miastach, o tym, jak wszyscy się sobą opiekowali, i o tym, że nigdy nie zapomniała kwestii. – Nie wracaj tu, Annie – poradziła babcia. – Nie wychodź za mąż. Nie miej dzieci. To wszystko przyniesie ci tylko zgryzotę.

\*

Annie nie przyjeżdżała do domu przez długi czas. Niekiedy tęskniła za matką, jak gdyby z oddali docierała do niej fala smutku Sylvii, ale kiedy Annie dzwoniła, matka zapewniała zawsze:

– Och, nie wydarzyło się tu nic nowego. – Nie sprawiała przy tym szczególnie zainteresowanej losami córki. Siostra Annie nigdy nie pisała ani

nie dzwoniła, Jamie bardzo rzadko. Na Boże Narodzenie Annie posyłała do domu pudła z prezentami, aż matka westchnęła kiedyś do słuchawki i powiedziała:

– Twój ojciec pyta, co twoim zdaniem mamy zrobić z tymi śmieciami. – Annie poczuła się urażona, ale nie na długo, ponieważ ludzie, z którymi żyła, znajomi z teatru byli dla niej bardzo dobrzy, okazywali jej ciepło i oburzyła ich postawa jej rodziny. Starsi członkowie trupy traktowali ją z wielką czułością, przez co ona – nie zdając sobie z tego sprawy – pod wieloma względami pozostała dziewczynką.

– Twoja niewinność cię ochrania – powiedział jej raz reżyser, ale Annie naprawdę nie wiedziała, co ma na myśli.

Jest takie powiedzenie, że każda kobieta powinna mieć trzy córki, bo wtedy jedna zaopiekuje się nią na starość. Annie Appleby była wszędzie, w Kalifornii, Londynie, Amsterdamie, Pittsburghu, Chicago, ale jedynym miejscem, gdzie Sylvia mogła ją znaleźć, było plotkarskie pismo w kiosku, gdzie nazwisko Annie łączono ze sławnym gwiazdorem filmowym. Sylvia poczuła się zakłopotana, a ludzie z miasteczka pilnowali, by o tym nie wspominać. Cindy mieszkała niedaleko, w New Hampshire; szybko urodziła dużo dzieci, a jej mąż chciał mieć ją w domu. Tak więc na farmie został Jamie, który się nie ożenił. W milczeniu pracował ramię w ramię z ojcem, który zachował krzepę na stare lata. W milczeniu Jamie opiekował się babcią mieszkającą tuż obok.

– Co byśmy bez ciebie poczęli, Jamie? – pytała często Sylvia, ale syn tylko potrząsał głową. Jamie wiedział, że matka czuje się osamotniona. Widział, że ojciec coraz rzadziej się do niej odzywa. Ojciec zaczął jeść niechlujnie, czego nigdy nie robił. Żuł głośno, kawałki jedzenia spadały mu na koszulę.

– Elgin, na miłość boską – mówiła Sylvia i wstawiała po serwetkę, ale on ją odtrącał ze słowami:

– Na rany Chrystusa, kobieto!

Na osobności Sylvia pytała:

– Co się dzieje z twoim ojcem?

Jamie wzruszał ramionami i nie rozmawiał o tym aż do chwili, gdy

dowiedział się z książek, co się działo. To było okropne, ale miało sens: kłótność ojca, jego nagłe pytania o Annie: „Gdzie się podziało to dziecko? Znowu poszła do lasu?”. Wszystko to wpadało Jamiemu do wnętrza jak kamień wrzucany do cichej ciemnej studni. Rok później nie mogli już poradzić sobie z ojcem; uciekał, podpalił stodołę, zadreślał ich pytaniami: „Gdzie jest Annie? Czy ona poszła do lasu?”.

Znaleźli dla niego dom opieki, ale przebywanie tam wzbudzało w Elginie wściekłość. Sylvia przestała go odwiedzać, bo reagował na nią gniewem, raz nazwał ją krową. Powiadomiono córki, Cindy przyjechała do domu na kilka dni, ale Annie nie mogła. Powiedziała, że może przyjechać na wiosnę.

Kiedy zjechała z autostrady numer 4, spostrzegła ze zdziwieniem, że piaszczystą drogę wylano betonem i wcale nie była już wąska. W pobliżu Daigle'ów wyrosło kilka nowych, dużych domów. Z trudem rozpoznawała okolicę. Cindy stała w kuchni, która sprawiała wrażenie nawet mniejszej, niż wydało się Annie podczas ostatniej wizyty, a gdy Annie pochyliła się, żeby pocałować siostrę, Cindy nawet nie drgnęła. Jamie powiedział, że matka jest na górze i zejdzie, kiedy dzieci porozmawiają. Annie poczuła fizyczne, niemal elektryczne aspekty niepokoju, rozpięła płaszcz i powoli osunęła się na krzesło. Jamie mówił rzeczowo i wprost. Ich ojcu kazano opuścić dom opieki. Jamie opowiadał, że ojciec zachowywał się obraźliwie wobec pracowników, dopuszczał się seksualnych zaczepek wobec mężczyzn, łapał ich za krocza, siał zamęt. Zobaczył się z nim psychiatrą, a ojciec zezwolił na upublicznienie ich rozmów, choć Jamie nie miał pojęcia, jak człowiek z demencją może udzielać zezwolenia. W rezultacie Sylvia dowiedziała się, że Elgin przez lata miał romans z Sethem Potterem. Sylvia stwierdziła, że od dawna to podejrzewała, a Elgin pomimo demencji mówił o sobie jako o aktywnym homoseksualiście. Niezwykle obrazowo wszystko opisywał. Najpewniej będą musieli go umieścić w znacznie mniej przyjemnym domu, nie mieli pieniędzy, chyba że sprzedadzą gospodarstwo, a dzisiaj nikt nie kupował farm nastawionych na uprawę ziemniaków.

– W porządku – powiedziała w końcu Annie. Brat z siostrą długo milczeli. Wyglądali tak młodo i smutno, choć byli w średnim wieku, to mieli zmarszczki na twarzach. – W porządku, damy sobie radę. – Pokiwała głową, by dodać im otuchy.

Potem odwiedziła babcię, która o dziwo, wyglądała na niezmienną.

Leżąc na kanapie, patrzyła, jak wnuczka chodzi po domu i zapala światła.

– Przyjechałaś, żeby zająć się sprawą ojca? Twoja matka przeżyła piekło.

– Tak – powiedziała Annie i usiadła na dużym krześle.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, twój ojciec zwariował z powodu swego zachowania. Dlatego, że jest zboczony. Zawsze wiedziałam, że jest homo, co może odebrać ci rozum i właśnie mu odebrało. Takie jest moje zdanie, jeśli chcesz je znać.

– Nie chcę – odparła Annie łagodnie.

– W takim razie opowiedz mi coś ekscytującego. W jakich niezwykłych miejscach byłaś?

Annie spojrzała na staruszkę. Na twarzy babci malował się wyraz dziecięcego oczekiwania i Annie poczuła prawie nieznośny przypływ współczucia dla tej kobiety, od lat mieszkającej w małym domku.

– Byłam w domu ambasadora w Londynie – powiedziała. – Całą ekipę podjęto tam kolacją. To było fascynujące.

– Och, opowiedz mi o wszystkim, Annie.

– Pozwól mi chwilę posiedzieć. – Obie milczały. Babcia leżała na plecach, jak ktoś, kto czeka cierpliwie, natomiast Annie, która aż do tego dnia czuła się jak dziecko i dlatego nie wyszła za męża, nie chciała być żoną, teraz poczuła się sędziwie. Myślała o tym, jak w ciągu wielu lat na scenie wykorzystywała obraz siebie idącej piaszczystą drogą i trzymającej ojca za rękę, wśród ośnieżonych pól, z lasem w oddali, jak wtedy rozlewała się w niej radość; przywoływała tę scenę, ilekroć chciała, żeby łzy napłynęły jej do oczu, ponieważ niosła ze sobą szczęście oraz żal utraty. Teraz miała wątpliwości, czy kiedykolwiek się to wydarzyło, czy droga naprawdę była wąska i piaszczysta, czy ojciec kiedykolwiek trzymał ją za rękę i mówił, że rodzina jest dla niego najważniejsza.

– Właśnie tak – powiedziała wcześniej do siostry, która zawołała, że gdyby tak było, toby to czuli. Annie nie powiedziała jej natomiast, że istnieje wiele sposobów niewiedzy. Jej wieloletnie doświadczenie rozpostarło się jak rozłożona na kolanach robótka z różnobarwnej włóczki, także ciemnej. Annie, dziś już po trzydziestce, kochała różnych mężczyzn; często łamano jej serce. Wszędzie płynęły strumienie zdrady i zakłamania, przybierając formy,

które nieodmiennie wprawiały ją w zdumienie. Jej liczni przyjaciele też doznawali rozczarowań, noce i dni upływały na udzielaniu i czerpaniu wsparcia; według Annie świat teatru przypominał sektę. Jednocześnie zadawał ból swoim członkom i o nich dbał. Mimo to ostatnio zaczęła snuć fantazje o tym, co nazywano „znormalnieniem”. Mieć dom, męża, dzieci, ogród i spokój towarzyszący takiemu życiu. Co jednak miała zrobić ze wszystkimi uczuciami, płynącymi w niej jak małe rzeki? Annie nie chodziło o brawa – w istocie często ledwo je słyszała – zależało jej za to na tej chwili na scenie, gdy wiedziała, że opuściła świat i w pełni weszła w inny. Nieco przypominało to ekstazę, jaką odczuwała w lesie jako dziewczynka.

Ojciec musiał się denerwować, że przypadkiem natrafi na niego w lesie. Annie poruszyła się na dużym krześle.

– Powiedzieli ci o Charlene? – zapytała babcia.

– Charlene Daigle? – Annie odwróciła się i spojrzała na staruszkę. – Co z nią?

– Założyła stowarzyszenie. Nazywa się chyba Ofiary Kazirodztwa.

– Mówisz poważnie?

– Założyła je wkrótce po śmierci ojca. Napisała w artykule w gazecie, że jedno dziecko na pięć jest wykorzystywane seksualnie. Słowo daję, Annie. Co za świat.

– Ależ to okropne. Biedna Charlene.

– Na zdjęciu nieźle wyglądała. Przybrała na wadze.

– Mój Boże – wyszeptała Annie.

Wcześniej Cindy powiedziała cicho:

– Musieliśmy być pośmiewiskiem całej okolicy.

– Nie – odparł Jamie. – Wszystko, co robił, robił skrycie.

Annie widziała udrękę malującą się na spiętych twarzach rodzeństwa.

– Och – powiedziała pod wpływem macierzyńskich, opiekuńczych uczuć do brata i siostry. – Tak naprawdę to nie ma znaczenia.

Ale miało! Och, miało.

W domu Sylvia zasiadła z dziećmi do kolacji w kuchni.

– Słyszałam o Charlene – powiedziała Annie. – To niewiarygodnie smutne.

– O ile to prawda – zauważyła Sylvia.

Annie popatrzyła na rodzeństwo, oni jednak przeżuwali, wpatrując się w jedzenie.

– Czemu miałyby to nie być prawda? Po co ktoś miałby wymyślać coś podobnego? – Jamie wzruszył ramionami i Annie spostrzegła, albo tak jej się zdawało, że kłopoty Charlene nic dla nich nie znaczą. Dla brata i siostry liczył się tylko ich własny wszechświat, tak niedawno wywrócony do góry nogami. Sylvia poszła na górę do łóżka, a rodzeństwo zostało przy piecu drzewnym. Zwłaszcza Jamie nie mógł przestać mówić. Ich ojciec, dawniej milczący, w stanie demencji nie mógł się powstrzymać przed opowiadaniem o wszystkim, co dusił w sobie przez lata, a Jamie, też milczek, musiał opowiedzieć siostronom wszystko, co słyszał.

– Raz widzieli cię w lesie, Annie, a potem ojciec zawsze się bał, że ich nakryjesz. – Annie przytaknęła. Cindy popatrzyła na siostrę ze zbolaną twarzą, jak gdyby oczekiwała po niej większej reakcji. Annie na chwilę położyła dłoń na dłoni Cindy. – Z tego, co mówił, najdziwniejsze było jednak to, że ojciec odwoził nas do szkoły, żeby choć przez chwilę znaleźć się blisko Seta Pottera – opowiadał Jamie, opierając się na krześle. – Kiedy nas podwoził, nawet go nie widział. Lubił jednak wiedzieć, że każdego ranka znajduje się blisko niego. Że Seth jest w odległości kilku metrów, w szkole.

– Boże, niedobrze mi się robi – powiedziała Cindy.

– Dla mnie jest to tylko zdumiewające – wyznał Jamie, patrząc na piec zmrużonymi oczami.

Twarze rodzeństwa były tak bezbronne, że Annie z trudem znosiła ich widok. Powiodła wzrokiem po ciasnej kuchni, spojrzała na tapetę z zaciekami, na fotel, w którym zwykł siadać ojciec, w rozdarciu poduszki było widać zawartość, na imbryk do herbaty na kuchni, ten sam od lat, na zasłone w górnej części okna z pajęczynami między nią a szybą. Potem znowu popatrzyła na brata i siostrę. Może nie odczuwali codziennej grozy, jaka była udziałem Charlene, ale prawdy nie dało się ukryć. Wychowali się karmieni wstydem; był składnikiem odżywczym gleby. O dziwo, jednak najlepiej



rozumiała ojca. Annie pomyślała, że brat i siostra, tacy dobrzy, odpowiedzialni, przyzwoici i uczciwi, nigdy nie zaznali namiętności, każącej człowiekowi ryzykować wszystko, co posiada, narażać na szwank wszystko, co jest mu drogie – tylko po to, by znaleźć się blisko oślepiającej bieli słońca, która jakimś cudem na te kilka chwil pozwala oderwać się od ziemi.

---

[\*] Tespis – grecki poeta i aktor, uważany za twórcę tragedii greckiej (przyp. red.).

# DAR

Abel Blaine się spóźnił.

Spotkanie z dyrektorami z całego stanu przeciągnęło się i całe popołudnie Abel spędził w sali konferencyjnej z okazałym stołem z drzewa wiśniowego, błyszczącym pośrodku jak ciemne lodowisko, a ludzie usiłowali tym bardziej prostować się na krzesłach, im bardziej byli zmęczeni. Młoda dziewczyna z regionu Rockford, według Abła starannie ubrana na swoją pierwszą firmową prezentację – uznał to za wzruszające – mówiła bez końca, ludzie zerkali na Abła z rosnącą paniką – Każ jej przestać – ponieważ to on kierował spotkaniem. Lekko się pocąc, wstał w końcu, schował papiery do nesesera i podziękował dziewczynie – kobiecie, kobiecie!, w dzisiejszych czasach nie wolno było nazywać ich dziewczynami, na miłość boską – ona oblała się rumieńcem, usiadła i najwyraźniej nie wiedziała, gdzie podziąć oczy, aż wychodzący ludzie, w tym Abel, zagadnęli ją miło. Abel dotarł w końcu do samochodu, wyjechał na autostradę, potem zagłębił się w wąskie ośnieżone ulice i, jak zwykle, ucieszył się na widok swego dużego ceglanego domu, gdzie tego wieczoru w każdym oknie paliło się białe światło.

Żona otworzyła drzwi ze słowami:

– Och, Ablu, zapomniałeś. – Nad kołnierzykiem czerwonej sukienki kołysały się kolczyki w kształcie zielonych bombek.

– Przyjechałem najwcześniej, jak mogłem, Elaine – zapewnił.

– On zapomniał – powiedziała jego żona do Zoe, na co ta oznajmiła:

– Nie dostaniesz nic do jedzenia, tato. Musiałyśmy nakarmić dzieci i jesteśmy naprawdę spóźnieni.

– Nie będę jadł – powiedział Abel.

Na widok zaciśniętych ust Zoe poczuł przelotny skurcz brzucha, ale wnuki klaskały i wydzierały się:

– Dziadek, dziadek! – A żona mówiła, żeby pospieszył się, na miłość boską. Abel wszedł w tę fazę życia, kiedy godził się już z faktem, że w okresie Bożego Narodzenia ludzie bywają poirytowani, ale nie umiał

zrezygnować z własnej wizji Gwiazdki: rozświetlonych choinek, szczęśliwych dzieci i skarpet z prezentami wiszących na kominku.

Idąc przez foyer teatru Littleton, zobaczył, że nie musi z niczego zrezygnować, ponieważ wszystko tu było: mieszkańcy zebrali się jak co roku, dziewczynki w nowiutkich sukienkach w szkocką kratę, chłopcy z szeroko otwartymi oczami, w koszulach z kołnierzykami jak mali mężczyźni; przyszedł pastor Kościoła episkopalnego, wkrótce przechodzący na emeryturę, którego miała zastąpić lesbijka, co Abel odważnie aprobował, chociaż chciał, żeby ojciec Harcroft pozostał na zawsze; był przewodniczący rady szkoły; była Eleanor Shawtuck, wcześniej uczestnicząca w zebraniu firmowym, a teraz machająca do Abła z szerokim uśmiechem; wszyscy zajmowali miejsca wśród szeptów i uciszeń, odgłosy zamierały.

– Dziadku, sukienka mi się gniece – usłyszał szept.

Jego słodka Sophia, ściskająca w piątce plastikowego kucyka z różową grzywą. Abel przesunął zdrętwiałą nogę, pozwolił jej rozprostować spódniczkę i szepnął, że Sophia jest najładniejszą dziewczynką w całym teatrze, ona zaś, trochę za głośno, oznajmiła:

– Śnieżka jeszcze nigdy nie widziała sztuki. – Kilka razy postukała kucykiem po kolanach. Światła zgasły i przedstawienie się rozpoczęło.

Abel zamknął oczy i momentalnie ujrzał swoją siostrę Dottie, mieszkającą w Jennisbergu, dwie godziny drogi od Peorii. Co też porabiała w Boże Narodzenie? Jego troska o siostrę, jego miłość do niej były autentyczne, ale odpowiedzialność, jaką wobec niej czuł, napełniała go obrzydzeniem, którego nie wyznałby nikomu. To dlatego, że Dottie jest sama i nieszczęśliwa, pomyślał i otworzył oczy. Może jednak wcale nie jest sama i nieszczęśliwa, skoro prowadzi pensjonat, którego, jak sądził, nie musiała zamykać na święta. Postanowił, że nazajutrz zadzwoni do siostry. Żona Abła jej nie znosiła.

Uściskał rączkę Sophii i całą uwagę skierował na przedstawienie, równie dobrze mu znane jak msza. Ileż to już lat przychodził oglądać *Opowieść wigilijną*? Najpierw z Zoe i jej braćmi, teraz z dziećmi Zoe, słodką Sophie i jej bratem Jakiem. Zdezorientowany umysł Abła nie potrafił w pełni otworzyć się na życie siostry ani na młodość jego dzieci; na myśl o niepojętym przepływananiu czasu zamierał. Ze sceny dobiegły rubaszne i

sztucznie brzmiące słowa:

– Wesołych świąt, wujku! – Trzasnęły cienkie drzwi i zdawało się, że runą.

– Też mi coś, bzdury! – odparł Scrooge.

Nieoczekiwanie Abła dopadł głód. Abel wyobraził sobie kotlety wieprzowe i niemal jęknął; miał wizję pieczonych kartofli i gotowanej cebuli. Założył nogę na nogę, rozprostował je, trącając kobietę przed sobą, nachylił się i szepnął:

– Przepraszam, przepraszam! – Odniósł wrażenie, że lekko się skrzywiła; przesadził z przeprosinami. Potrząsnął głową w półmroku.

Sztuka toczyła się wolno i ospale.

Zerknął na Sopię, pilnie wpatrzoną w scenę. Spojrzał na Zoe, ta zaś popatrzyła na niego z chłodem, którego Abel nie pojmował. Na scenie Scrooge łąził po sypialni, gdy ukazał się skuty łańcuchami duch Marleya.

– Jesteś uwięziony – powiedział Scrooge. – Wyjaśnij, dlaczego.

Do głowy Abła wleciała myśl, jak nietoperz śmigający spod krokwi: Zoe jest nieszczęśliwa. Myśl przybrała postać ciemnego kształtu na jego kolanach, jak gdyby Abel miał obowiązek tam ją trzymać.

Ale nie.

Zoe miała dwoje dzieci, które wymagały od niej ciągłej aktywności, a to przecież nie było nieszczęście.

Jej mąż musiał zostać tego wieczoru w Chicago, bo miał pracę, jak przystało na prawnika, który miał zostać współnikiem. Zoe nic nie dolegało. Należała do uprzywilejowanej warstwy społeczeństwa, określanej ostatnio mianem „jednego procenta”, co zawdzięczała po części ciężkiej pracy i wytrwałości ojca. Abel znajdował się tu, gdzie był, dzięki przyzwoitości. Ludzie zawsze mu ufali, a zaufanie było w interesach wszystkim. Zoe poślubiła człowieka, który miał pomóc zachować jej zajmowaną pozycję i przecież nie było w tym absolutnie nic złego. Abel tylko raz pokłócił się z zięciem, gdy młody człowiek zaczął mu podsuwać metody, dzięki którym mógłby płacić mniejsze podatki.

– Ja tylko myślałem... – zaczął zięć.

– Że jestem republikaninem i nie wierzę w rozrośniętą administrację, i masz rację. Ale zamierzam płacić podatki. – Na wspomnienie tamtej rozmowy Abel nie rozumiał, czemu ogarnął go aż taki gniew.

Na scenie Scrooge wyglądał w nocy przez brudne okno. Potem leżał na łóżku, słuchając dzwonu, później wstał, poruszony, ze słowami:

– To niemożliwe!

Właśnie wtedy Abel przypomniał sobie, jak kilka dni wcześniej żona podała mu przy śniadaniu gazetę i postukała palcem w artykuł. Linck McKenzie, aktor grający Scrooge'a, był może ulubieńcem mieszkańców miasteczka, ulubieńcem studentów, których uczył w ramach programu MFA w Littleton College, z pewnością jednak nie był ulubieńcem krytyka. Napisał on, że Linck McKenzie jest szczęściarzem, bo jako jedyny człowiek w teatrze nie musi oglądać swojej gry.

Wtedy Elaine i Abel się zgodzili: recenzja była przesadnie złośliwa. Cała historia wyleciała Ablowi z głowy, teraz jednak przypomniał sobie słowa krytyka. Scrooge był naprawdę marny, cała sztuka zdawała się śmiechu warta. Abel odnosił wrażenie, że wszyscy głośno recytowali swoje kwestie, co budziło jego zakłopotanie; pomyślał, że wyjdzie z teatru z poczuciem, że wszyscy napotykanii ludzie recytują kwestie. Przecież pójście do teatru nie powinno mieć takiego wpływu na człowieka. Zerknął na słodką Sophie, która posłała mu powściągliwy, przelotny uśmiech młodej kobiety. Abel uściśnął wnuczkę za kolano i znowu stała się dziewczynką, przekrzywiła główkę i wzięła go za rękę, w drugiej ściskając plastikowego kucyka.

Duch Bożego Narodzenia mówił:

– Samotne dziecko, zaniedbane przez przyjaciół, zostało porzucone.

Scrooge zaczął płakać, ale brzmiało to sztucznie, nieprzekonująco. Rączka Sophie wyslizgnęła się z dłoni Abła, który złożył ręce na kolanach i po chwili zaczął zapadać w sen. Poznał to po niezbornych myślach i poczuł wdzięczność, że może oddać się napierającemu miłemu wyczerpaniu; przypomniał sobie, a było to jak żółte światło świecące w półmroku pod zamkniętymi powiekami, jak w zeszłym roku spotkał Lucy Barton, gdy przyjechała do Chicago na promocję książki. Lucy Barton, córka kuzynki jego matki, ta biedna dziewczyna nagle pojawiła się przed nim jako dorosła kobieta, więc wszedł do księgarni i czekał w kolejce na autograf, a Lucy

powiedziała: „Abel”, wstała ze łzami w oczach – wszystko to niezmiernie go uszczęśliwiło, gdy zapadał w sen; potem zaczął szukać matki, jechał windą, która nie chciała się zatrzymać, gdy wciskało się przyciski, następnie szukał jej w wąskim korytarzu, tu i tam, wyczuwał obecność matki w ciemności, ale znikła, nawet głęboko uspiiony rozpoznawał tę starodawną, nieutuloną tęsknotę, która nie była do końca paniką... Abła obudziły okrzyki widzów.

Światła pogasły. Scenę spowijał mrok. Aktorzy przestali grać. Tylko nad drzwiami paliły się napisy WYJŚCIE. I rzędy świateł na podłodze w przejściu, jak jasne plamy. Abel poczuł lęk podnoszący się wokół niego jak ciemna woda. Sophia zaczęła płakać, podobnie jak inne dzieci.

– Mamo? – Abel podniósł drobną Sophie i posadził sobie na kolanach.

– Cichutko – uspokajał ją, kładąc dłoń z tyłu rozgrzanej główki. – Nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze. – Dziewczynka nie przestawała płakać.

– Jestem tutaj, kochanie – powiedziała Zoe.

Abel nie wiedział, jak długo utrzymywała się ciemność, pewnie najwyżej kilka minut, ale w tym czasie najbardziej dojmująco zdał sobie sprawę, jak wiele rodzin, z jego własną włącznie, zaczęło się gwałtownie sprzeczać.

– Zabierz nas stąd, Ablu – mówiła Elaine. – Pilnuj dzieci.

W ciemności ludzie przepychali się do przejścia, niektórzy oświetlając sobie drogę komórkami, przez co zdawało się, że w bezcielesnej ektoplazmie połyskiwały przeguby i mankiety.

– Przestań, mamo. W ten sposób ludzie tratuja się na śmierć. Tato, trzymaj Sophię. Ja mam Jake’a.

– Abel, chcę, żebyśmy stąd wyszli – powiedziała jego żona. – Jeżeli ty...

W ciągu wielu lat małżeństwa mówi się wiele rzeczy, dochodzi do wielu scen, sprawy się kumulują. Abła olśniło, że czułość między mężem a żoną od dawna się osłabiała, i może będzie musiał spędzić bez niej resztę życia. Z ust wyrwał mu się jęk.

– Tato? Wszystko w porządku? – Zoe oświetlała go komórką.

– Wszystko dobrze, kochanie – zapewnił. – Masz rację, poczekajmy.

Ktoś nawoływał ze sceny, by ludzie zachowali spokój, w końcu światła

się zapaliły, zaskakując rodziny w rozmaitych stadiach paniki i chaosu. Rodzina Blaine'ów – jako jedna z nielicznych – pozostała na miejscu, patrzyli, jak przedstawienie toczy się dalej, ale napięcie wywołane przerwą nie ustąpiło i kiedy w końcu światła pogasły, ludzie bili brawo, bo odczuwali ulgę.

W samochodzie Blaine'owie milczeli i dopiero gdy zbliżali się do domu, Abel spojrzął w lusterko i zapytał Sophię, czy podobała jej się sztuka mimo niefortunnego zdarzenia.

– Co to jest niefortunny? – spytała dziewczynka.

– Kiedy coś idzie nie tak – wyjaśniła Zoe. – Na przykład dzisiaj, kiedy zgasły światła.

– Ale dlaczego światła zgasły? – zapytał cicho Jake.

– Nie wiemy – przyznał Abel. – Czasem przepala się bezpiecznik. Nic się nie stało.

– Znaki wyjścia są zasilane przez generatory – dorzuciła swoje Elaine. – Dzięki Bogu przepisy wymagają, żeby oświetlenie awaryjne miało odrębne zasilanie.

– Zostawmy to już, mamó – poprosiła Zoe znużonym głosem. Możliwe, że Zoe, jak często bywa w przypadku dorosłych dzieci, dostrzegła słabości małżeństwa rodziców, obserwowała przez lata wypalanie się czułości i w efekcie czuła do nich głęboką awersję. „Moje małżeństwo nigdy nie będzie takie jak twoje, tato”. Dobrze, odpowiedziałby Abel, w porządku.

Chociaż był głodny, siedział z wnukami, gdy przebrały się w piżamy. Chcąc przepędzić strach, rozśmieszał dzieci, udając Scrooge'a. Sophia ześlizgnęła się z kolana dziadka i po chwili wrzasnęła. Z przerażającym, świdrującym krzykiem pobiegła do sypialni, gdzie zawsze spały wnuki, i tam krzyki przeszły w szloch.

Śnieżka zniknęła.

Szybko i dokładnie przeszukano samochód. Nie znaleziono plastikowego kucyka z różową grzywą.

– Chyba zostawiła go w teatrze, tato. – Zoe patrzyła na Abła przeprasząc. Sięgając po kluczyki do samochodu, powiedział do Sophii:

– Wrócę z twoim kucykiem.

Abel słańiał się na nogach ze zmęczenia.

– Kolejna niefortunność – stwierdziła Sophie zawstydzona. – Prawda, dziadku?

– Idź spać. – Pochylił się, żeby pocałować wnuczkę. – Kiedy się zbudzisz, wszystko będzie dobrze.

\*

Jadąc ciemnymi ulicami, przejeżdżając przez rzekę do centrum miasta, niepokoił się, że teatr będzie zamknięty. Zaparkował na ulicy, stwierdził, że główne drzwi teatru nie ustępują, nie widział nikogo przez ciemną szybę. Zaczął szukać komórki, ale zobaczył, że w pośpiechu zostawił ją w domu. Cicho zaklął, przesunął dłonią po ustach. Z bocznych drzwi wyłonił się człowiek.

– Poczekaj! – zawołał Abel. Domyślił się, że tamten musi być studentem szkoły teatralnej, bo uśmiechnął się do Abla, przytrzymał drzwi, a gdy Abel wyjaśnił: – Moja wnuczka zostawiła tu kucyka – odparł:

– Kierownik sceny chyba jeszcze nie wyszedł. Może potrafi panu pomóc.

Abel wszedł do teatru. Z powodu ciemności nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje. Boczne drzwi, którymi wszedł, najwyraźniej prowadziły za kulisy. Ostrożnie macał ścianę w poszukiwaniu włącznika światła, ale żadnego nie znajdował, posuwając się powoli przed siebie. Wreszcie – jest! Pstryknął, ale w oddali rozbrły tylko słabe światło, wydobywając z mroku wąski korytarz. Po obu stronach miał pomalowane na żółto ceglane ściany pokryte graffiti. Abel zapukał do pierwszych drzwi, na jakie natrafił, ale były zamknięte na klucz.

– Halo! – zawołał radośnie, ale nikt nie odpowiedział. Unosił się tu znajomy zapach i panowała typowo teatralna atmosfera.

Głód sprawiał, że korytarz wydawał się bardzo długi. Za dwiema czarnymi kurtynami Abel ujrzał coś, co musiało być sceną. Ponad nim ciągnęły się ciemne rzędy zgaszonych reflektorów, jak ogromne wyczekujące żuki.

– Halo! – zawołał ponownie i znowu nie usłyszał odpowiedzi, choć



wyczuł czyjąś obecność. – Halo! Szukam kierownika sceny. Moja wnuczka zostawiła tu...

Skręcając w prawo, Abel zobaczył kucyka wiszącego na pętelce z linki bieliźnianej, przyczepionej do nagiej zgaszonej żarówce w korytarzu. Śnieżka, z nogami skierowanymi przed siebie i sterczącą różową grzywą, została pochwycona z wyrazem wiecznej udręki, z szeroko rozwartymi oczyma i kokieteryjnie zawiniętymi długimi rzęsami.

Abel usłyszał za plecami nagły odgłos otwieranych drzwi i się odwrócił. Przed nim stał Linck McKenzie, Scrooge, ze zdjętą peruką, ale nadal umalowaną twarzą, przez co wyglądał trochę groteskowo.

– Dzień dobry – powiedział Abel i wyciągnął rękę. – Moja wnuczka zostawiła tu kucyka... – Ruchem głowy wskazał zabawkę wiszącą na żarówce. – Jakiś student pewnie się wygłupiał, ale muszę go zabrać do domu albo obawiam się, że stracę szacunek w oczach dziecka.

Scrooge odwzajemnił uścisk kościstą, mocną i bardzo suchą dłonią.

– Proszę wejść – powiedział Scrooge, jak gdyby przebywał w gabinecie, ale wchodząc, Abel zobaczył ciasne kwadratowe pomieszczenie pełniące chyba funkcję magazynu; trzymano tu pokrowce, stare lampy i stół bez nogi.

– Obawiam się, że potrzebuję drabiny albo krzesła – mówił Abel. – O, tanto... – W kącie stało staromodne krzesło z wygiętą poręczą.

Scrooge zamknął za sobą drzwi i rzekł:

– Cóż, jest tylko to jedno krzesło, więc może usiądziesz.

– Och, nie, naprawdę nie muszę...

Ruchem głowy Scrooge wskazał krzesło.

– Chcę, żebyś usiadł.

Abel zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem niezrównoważonym, ale to w osobliwy sposób tylko spotęgowało jego znużenie.

– Dziękuję, postoję – powiedział po chwili. – Czy mogę w czymś ci pomóc? – Uśmiechnął się do Scrooge'a, nadal opartego o drzwi. Abel chciał zapytać: Ile to będzie trwało? Uświadomiwszy sobie tę myśl, poczuł się dziwnie.

– Widzisz, chciałbym powiedzieć kilka rzeczy – rzekł Scrooge. – Kiedy skończę, będziesz mógł odejść. Sprawiasz wrażenie starszego człowieka, który uważa, że jest w dobrej formie, bo jeszcze nie miał zawału. – Scrooge przyglądał się Ablowi z niewesołym uśmiechem. – Nosisz drogie ubranie. – Skinął głową. – Oddana sekretarka organizuje ci dzień. Niczego się już właściwie od ciebie nie wymaga, jesteś figurantem. Owszem, pozostało ci jeszcze kilka cech przywódczych, ale śmiem wątpić w twoją siłę fizyczną. Usiądź więc.

Abel nie ruszył się z miejsca, ale czuł się całkowicie wyczerpany. Z wyjątkiem części dotyczącej zawału wszystko, co powiedział ten żaloszny osobnik, było zasadniczo prawdą. Zawał wydarzył się zaledwie rok wcześniej i napędził Ablowi porządnego stracha. Zrobił dwa kroki w stronę krzesła i usiadł, a krzesło, ku jego zdziwieniu, odsunęło się w tył.

– Miękkie kolana – stwierdził Scrooge. – Cóż, ja jestem silny jak byk. Poza tym znalazłem się na krawędzi. Nikt nie powinien siedzieć w pokoju z człowiekiem, który jest na krawędzi. – Zaśmiał się, odsłaniając plomby, Abła zaś przeszył autentyczny niepokój. Zastanawiał się, jak długo musi znajdować się poza domem, żeby jego żona, a może Zoe postanowiły przyjechać do teatru, na miłość boską.

– Ten kucyk należy do twojej wnuczki?

– Owszem – potwierdził Abel. – Jest do niego bardzo przywiązana.

– Nienawidzę dzieci – oświadczył Scrooge. Osunąwszy się po ścianie, usiadł na podłodze po turecku. Abła zdumiała jego sprawność, bo nie był już młody. – Są małe, szybko się poruszają i łatwo oceniają. Wyglądasz na zdziwionego.

– Całe to zdarzenie jest dziwne. – Abel spróbował się uśmiechnąć, ale Scrooge się nie uśmiechał. Czując suchość w ustach, Abel mówił dalej: – Posłuchaj, strasznie mi przykro, ale czy możemy...

– Czemu jest ci przykro?

– No, chyba...

– Utknąłeś w pokoju z wariatem i jest ci przykro?

– Rozumiem, co masz na myśli. Cóż, chciałbym już pójść, jeśli myślisz...

– Myślę, że chciałbym powiedzieć kilka rzeczy. Już to mówiłem. Po pierwsze, chcę powiedzieć, że jestem głęboko, naprawdę do głębi zmęczony teatrem. Zostałem aktorem tylko dlatego, że życie w teatrze każdego, zwłaszcza jeśli urodził się gejem, prowadzi do źródła, daje mu poczucie przynależności, zresztą fałszywe, sztuczne oraz głupie. Po drugie, chcę powiedzieć, że to ja dziś wieczorem zgasilem światła. Zrobiłem to za pomocą komórki pod piżamą. Wszystko można znaleźć w Internecie, wkrótce komórką będziesz mógł wysadzić w powietrze cały kraj. Postępowałem zgodnie z instrukcją i naprawdę się zdziwiłem. Chciałem wywołać chaos i tak też się stało. Tak czy owak, nie miałem komu o tym powiedzieć. Byłem z siebie bardzo zadowolony, ale teraz wydaje mi się to próżnym zwycięstwem.

– Mówisz poważnie?

– O próżnym zwycięstwie?

– O światłach.

– Całkowicie. Odjazdowo, jak by powiedziały dzieciaki. – Scrooge powoli potrząsnął głową. Celując palcem w Abła i akcentując słowa, powiedział: – Wszyscy chcemy mieć publiczność. Jeżeli coś robimy, ale nikt nie wie, że to zrobiliśmy? Cóż, wtedy może w lesie nie przewróciło się drzewo... [\*] – Na twarzy Scrooge’a odmalowało się zdziwienie. – Proszę, teraz, gdy o tym opowiedziałem, to się wydarzyło. Jestem zadowolony. Chociaż nie tak zadowolony, jak oczekiwałem. I co my z tobą pocniemy? Wyjdiesz stąd, opowiesz policji albo żonie i w końcu Linck McKenzie stanie się jeszcze większym pośmiewiskiem. Miasto będzie mogło obserwować jego upadek.

– To mnie nie interesuje – zapewnił Abel.

– Ale może cię zainteresować jutro. Albo pojutrze.

– Interesuje mnie odwiezienie kucyka wnuczce.

Po dłuższej chwili milczenia Scrooge rzekł:

– To bardzo dziwne, ale zżera mnie zazdrość. Pewnie chcesz powiedzieć: „Gdyby miał pan wnuczkę, Panie Teatralny Pedalski Świrze, może zrozumiałby pan tę miłość”.

– Wcale tak nie myślałem. Ani trochę. Myślałem o Sophii czekającej na kucyka. Mam nadzieję, że zdołała zasnąć.

– Sophia – powiedział Scrooge, marszcząc czoło. – Przypuszczam, że tej dziewczynce dobrze się powodzi?

– Owszem – potwierdził po chwili Abel.

– Czy w jej wieku byłeś bogaty?

– Ani trochę.

– Czy stałeś się bogaty dzięki ciężkiej pracy?

Abel znów się zawahał.

– Ciężko pracuję – powiedział. – Zawsze ciężko pracowałem.

– Ha! – Scrooge klasnął w dłonie. – Założę się, że wżeniłeś się w majątek! Nie rumień się, stary. To bardzo po amerykańsku, wszystko w porządku. Nie ma czego się wstydzić. Och, naprawdę cię zażenowałem. Szybko, zmieńmy temat. Jak sądzisz, czy ta Sophia też będzie ciężko pracować? To mnie martwi. Ludzie już tak ciężko nie pracują. A te dzieciaki! Słyszałem o przedszkolaku, który dostał złotą gwiazdę tylko za to, że przyszedł do przedszkola. Mój drogi, zrobiłeś się czerwony jak burak.

Scrooge rozejrzał się po pokoju i znalazł to, czego najwyraźniej szukał: plastikową butelkę z wodą. Podeszedł do niej szybko, wrócił i wręczył Ablowi, a ten nie protestował. W wełnianym garniturze było mu rozpaczliwie gorąco. Napił się, podał butelkę Scrooge'owi, ale ten potrząsnął głową i znowu usiadł oparty o ścianę.

– W jakiej branży pracujesz? – spytał Scrooge. Sięgnął po leżącą na stole wykałaczkę i zaczął dłubać w zębach.

– Klimatyzacja. – Abel na moment ujrzał młodą dziewczynę w sali konferencyjnej, zaabsorbowaną własną prezentacją. Pochodziła z Rockford, gdzie Abel dorastał. – Ludzie nadal ciężko pracują – powiedział.

– Klimatyzacja. Musisz kosić niezły szmal.

– I co rok przekazuję darowiznę na sztukę.

Scrooge przekrzywił głowę i przyjrzał się Ablowi. Bezbarwne wargi miał gdzieś gdzieś popękane.

– Proszę cię – powiedział cicho. – Nie bądź taki.

Abel milczał. Czuł, jak wbijano mu w pierś jego prywatny gwóźdź

wstydu; zlewał się potem. Przypomniawszy sobie, jak wcześniej odniósł wrażenie, że ludzie recytują kwestie i teraz pojął, że jest jednym z nich.

– Posłuchaj – ciągnął Scrooge. – Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchał i będziesz mógł sobie pójść.

Abel potrząsnął głową. Czuł, jak wiruje w nim krąg mdłości, ślina napłynęła mu do ust. Pojął niezbitcie: Zoe jest nieszczęśliwa.

– Przestraszyłem cię – stwierdził Scrooge tonem, który chyba i jego przestraszył.

– Moja córka jest nieszczęśliwa – powiedział cicho Abel.

– Ile ma lat? – spytał Scrooge.

– Trzydzieści pięć. Wyszła za mąż za wziętego prawnika. Ma wspaniałe dzieci.

Scrooge powoli wypuścił powietrze i stwierdził:

– Brzmi jak ciemna mogiła.

– Dlaczego? – zdziwił się szczerze Abel. – Powinno być doskonale.

– Doskonale samotnie. Wziętego prawnika nigdy nie ma w domu. Ona kocha dzieci, ale zajmowanie się nimi ją nudzi. Drażni ją opiekunka, drażni sprzątaczką, ale mąż nie chce o tym słuchać, więc ona nie chce już z nim sypiać, bo to kolejny przykry obowiązek. Twoja córka patrzy na resztę swego życia i myśli: Boże, co to jest? Dzieci dorosną, a wtedy ona naprawdę znajdzie się w Nuda-Zdroju. Kupi sobie nową bransoletkę, potem nowe buty, co pomoże jej, powiedzmy, na pięć minut. Niepokój będzie się nasilał, więc wkrótce przepiszą jej valium i antydepresanty, ponieważ społeczeństwo od lat ciągnie kobiety...

Abel uniósł rękę, dając tamtemu znak, żeby zamilkł.

– Wiem, chcesz iść – powiedział Scrooge. – Pójdiesz, pójdiesz. Wyluzuj. – Otworzył szeroko usta, podłubał wykałaczką i z potężnym westchnieniem wypluł jakiś kawałek. – Przepraszam, to było ohydne.

Abel niemal niezauważalnie skinął głową, by pokazać, że nic się nie stało.

Wcześniej w tym miesiącu obchodził sześćdziesiąte piąte urodziny.

Świetnie wyglądasz, mówili ludzie. Wyglądasz wspaniale. Nikt nie powiedział: Twoje koronki na zębach – twoja dawna duma i radość – wydają się rosnać z biegiem lat. Nikt nie mówił: Abel, słabo z tymi zębami. Może zresztą nikt tak nie myślał.

– To takie durne – mówił Scrooge. – Mówić ludziom, żeby się wyluzowali. Kiedy się wyluzowałeś dlatego, że ktoś ci to radził?

– Nie wiem – odparł Abel.

– Pewnie nigdy. – Scrooge mówił teraz łagodnym tonem, zagadywał, jakby znał Abła od lat.

Gdyby Abel miał więcej energii, opowiedziałby temu dziwnemu, udręczonemu człowiekowi, że przed laty pracował jako bileter w teatrze w Rockford, nieopodal rzeki Rock, i że właśnie ten zapach poczuł, gdy wszedł bocznymi drzwiami, sekretny zapach teatru. Tę pracę załatwił sobie jeszcze w liceum, miał szesnaście lat. W tym samym roku, kiedy jego młodszej siostrze kazali stanąć przed szóstą klasą, wytykali palcami plamę na jej sukience i mówili, że nikt nie jest tak biedny, że nie stać go na podpaski. Potem Dottie nie chciała wrócić do szkoły i Abel coś jej obiecał, choć nie pamiętał co. Pamiętał natomiast moc czeków, jakie dostawał za pracę w teatrze. W wieku szesnastu lat poznał zdumiewającą moc pieniędzy. Jediną rzeczą, jakiej nie dało się zdobyć za pieniądze, była przyjaciółka dla Dottie (albo dla niego, choć to nie miało takiego znaczenia), dało się za to kupić błyszczącą bransoletkę, właśnie to dostała! Wtedy się uśmiechnęła. Przede wszystkim jednak za pieniądze dało się kupić jedzenie.

To ponownie przywiodło mu na myśl Lucy Barton, jakaż ona była biedna. Kiedy Abel w dzieciństwie jeździł do rodziny Lucy każdego lata na kilka tygodni, chodziła z nim szukać jedzenia w śmietniku za Chatwin's Cake Shoppe. (Ależ Lucy zrobiła minę na widok Abła w księgarni w zeszłym roku, po tylu latach! Trzymała oburącz jego dłoń i nie chciała puścić).

Abła zdumiewało w życiu to, jak wiele człowiek zapominał, a jednak z tym żył; przypuszczał, że było to podobne do amputowanych kończyn. Dzisiaj nie potrafił już szczerze powiedzieć, co czuł, znajdując jedzenie w śmietniku. Pewnie radość na widok sporych kawałków steku, które dało się ogryźć. Człowiek staje się bardzo praktyczny, opowiadał po latach żonie. W pewnej chwili nie potrafiła ukryć przerażenia. „Nie było ci wstyd?” I

odpowieź, zrozumienie, które przyszło do niego w tej samej chwili, gdy zadawała pytanie: Cóż, to znaczy, że nigdy nie głodowałaś, Elaine. Nie powiedział tego żonie. Owszem, wstydził się, właśnie wtedy, gdy zadała mu to pytanie. Elaine zażądała, żeby nigdy nie mówił dzieciom, że kiedyś był tak biedny, że wyjadał odpadki ze śmietników.

– Rzygać mi się chce – powiedział Scrooge. – Chyba się od tego pochorowałem. Od dwudziestu ośmiu lat uczę te diabelskie bachory.

– Nie sprawia ci to radości? – Abel zdawał sobie sprawę, że coraz mniej rozumie, i miał nadzieję, że zadał właściwe pytanie.

– Och, to najbardziej perwersyjne zajęcie na świecie. – Scrooge machnął ręką z irytacją. – Przyjmujemy studentów z bogatych domów. Chyba że nie trafi się żadna zamożna beksa. Oczywiście zawsze potrzebujemy beksy, kogoś, kto umie płakać na zawołanie. Beksy zawsze uważają się za osoby szczególnie wrażliwe, szczególnie utalentowane, ale to wyjątkowe świry. – Scrooge wyglądał na wyczerpanego. Oparł głowę o ścianę i patrzył w sufit.

– Posłuchaj, według mnie... – zaczął Abel, ale dopiero po chwili znalazł odpowiednie słowa. – Według mnie jest ci przykro z powodu tej recenzji...

– Hej. – Scrooge zerwał się nagle na równe nogi i wycelował palec w Abła. – Nawet się nie waz. Możesz mi wierzyć, eleganciku, od bardzo dawna dochodziłem do krawędzi. – Z kieszeni koszuli wyjął papierosa, ale nie zapalił go, tylko postukiwał nim o nogę. – Powiedziałem ci na początku, że mam ochotę porozmawiać. I to właśnie robimy. Rozmawiamy. W porządku? Chcę porozmawiać. Rozmawiamy.

– To prawda – przytaknął Abel.

– No tak – powiedział Scrooge, westchnął potężnie i znów powoli osunął się po ścianie na podłogę. – O czym rozmawialiśmy? Szykowałeś się, żeby dzięki małżeństwu zacząć się wspinać na szczyt.

– Na miłość boską. – Abel zmusił się, by się wyprostować. – Nie będziemy rozmawiali o mojej żonie. – Zabrzmiało to niemal jak szept. Jego umysł nie wiedział, gdzie się podziać. Zmęczenie otulało go jak tkanina.

– Zgoda. Nie będziemy o niej rozmawiać. – Scrooge milczał przez chwilę, wreszcie wyznał: – Ale doskwiera mi samotność.

Abel spojrzał na tego człowieka, patrzącego mu prosto w oczy. Na głowie

wciąż widniały szare smugi po peruce.

– Rozumiem – powiedział Abel.

– Rozumiesz? – spytał Scrooge.

Abel niemal się uśmiechnął, choć nie wiedział, skąd wzięła się ta potrzeba. Potem – o zgrozo! – zebrało się mu na płacz. Powstrzymał się z najwyższym trudem, ale szloch dusił go w gardle, blokował słowa.

– Bo... ja też – wyznał Abel, co Scrooge skwitował zwyczajnym skinieniem głowy na znak, że rozumie. – Posłuchaj, mógłbym zostać twoim beksą.

– Nie jesteś wystarczająco stuknięty – stwierdził Scrooge. – Nie można ci jednak odmówić uczciwości. Bogom niech będą dzięki. Tak bardzo pragnąłem porozmawiać z człowiekiem i oto jesteś, prawdziwy człowiek, nie masz pojęcia, jak trudno znaleźć prawdziwego człowieka.

Obaj zamilkli, jak gdyby takie słowa należało przetrawić.

– Lubieś swoją matkę? – zapytał Scrooge tonem, jak się wydało Ablowi, niemal dziecinnym.

– Lubiełm ją. – Abel usłyszał własne słowa. – Kochałem ją.

– Taty nie było?

Pytanie zabrzmiało dziwnie, przypomniało Ablowi szkolne docinki, ale Scrooge mu nie docinał. Mimo to Abel oblał się rumieńcem. Nie, tata zmarł, kiedy Abel był bardzo mały. Raz, krótko – czyżby tylko na kilka dni? – pojawił się pewien mężczyzna, co Abel pamiętał głównie dlatego, że po jego odejściu Dottie dostała sukienkę ze sklepu, a on nowe spodnie. Spodnie szybko stały się za krótkie i ta sytuacja utrzymywała się przez blisko rok, niemniej jednak właśnie dzięki nim dostał pracę biletera, kiedy kuzynka matki – matka Lucy Barton – zajmująca się szyciem, przedłużyła je, gdy Abel do nich przyjechał.

– Och, widzę, że dotknąłem cię tym pytaniem – zauważył Scrooge. – Bywam okropnie nieczuły. Potem wkurzam się na ludzi, bo jestem wrażliwy. Nie lubię wrażliwców, którzy są wrażliwi tylko na własnym punkcie.

– Przepraszam – powiedział Abel, mrugając, ponieważ mącił mu się wzrok. – Wiesz, nie czuję się najlepiej. Rok temu miałem zawał.



Scrooge ponownie wstał.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jezu. Sprowadźmy pomoc.

– Spoko – zapewnił Abel. – Czy mógłbyś zdjąć tego kucyka dla mojej wnuczki?

Scrooge przyjrzał się mu tak uważnie, że Abel odwrócił wzrok. Od lat nikt nie przyglądał się mu tak bacznie, tak intymnie.

– „Spoko”? – spytał tamten niemal czule. – Kim ty jesteś?

– Człowiekiem, który dobrze się ubiera – odparł Abel, ponownie uświadamiając sobie dziwną potrzebę uśmiechnięcia się. – Człowiekiem, który nie kantuje na podatkach. A teraz ma zdumiewającą potrzebę płaczu.

– Istotnie, dobrze się ubierasz. – Scrooge otworzył drzwi i znikł Ablowi z oczu. Z oddali dobiegł jego głos: – Zawsze potrafiłem poznać garnitur szyty na zamówienie! Idę po kucyka, a ty się nie ruszaj. Siedź spokojnie tam, gdzie jesteś!

Krawcem Abła był londyńczyk imieniem Keith, a dwa razy do roku Abel wkraczał do hotelu Drake, gdzie zajmował apartament z widokiem na jezioro. W przegrzanych pokojach, gdzie syczały kaloryfery, Keith brał miarę za pomocą taśmy; subtelnymi, szybkimi ruchami nakładał Ablowi muślin na ramiona, klatkę piersiową, rękę i zaznaczał kredą. W drugim pokoju leżały próbki materiału, ale Abel niemal zawsze wybierał to, co sugerował Keith. Tylko raz czy dwa Abel wysunął sugestię, że materiał powinien być bardziej stonowany albo że prążki są – być może – zbyt szerokie.

– Nie chcę wyglądać jak gangster – zażartował.

– Naturalnie – zgodził się Keith.

Kiedy dotarła wiadomość, że Keith zmarł na raka, Abła ogarnęło zdumienie. Wiązało się ono ze śmiercią, z wymazaniem osoby, z faktem, że człowiek po prostu znikł. Abel był oswojony z oczywistością przemijania; nie był już młody, poznał odchodzenie innych, poczynając od śmierci ojca. Jednak po zdumieniu przyszedł wstyd, jak gdyby Abel postępował niestosownie całymi latami, każąc Keithowi szyć ubrania. W samochodzie, siedząc samotnie w biurze albo gdy ubierał się rano, szeptał:

– Przykro mi. Boże, tak mi jest przykro.

Nawet wtedy, gdy głosował na konserwatystów, odbierał doroczną premię od zarządu, jadał w najlepszych restauracjach w Chicago, nawet wówczas, gdy myślał to samo, co myślał od lat: Nie zamierzam przepraszać za to, że jestem bogaty, nawet w takich chwilach przepraszał, choć nie wiedział dokładnie kogo. Nieoczekiwanie zalewały go fale wstydu, jak fale gorąca latami nękające jego żonę, czerwieniła się na twarzy i po policzkach zaczynały płynąć strużki potu. W przeciwieństwie do niektórych kobiet z jego pracy Elaine nie umiała jowialnie podchodzić do tych epizodów. Teraz lepiej rozumiał, co musiała czuć podczas tych niekontrolowanych ataków, tak jak sam odczuwał niekontrolowane przyływy wstydu, nieposiadające, o czym był przekonany, żadnego zakorzenienia w rzeczywistości. Keith pracował. Dobrze wykonywał swoją pracę. Dobrze zarabiał. (W istocie nie tak dobrze).

Pewnego dnia podsłuchiwał rozmowę dwóch ludzi z działu produkcji. Pierwszy rzucił kąśliwą uwagę o tym, że „pracuje dla firmy, gdzie panuje zwykła korporacyjna chciwość”, na co drugi przewrócił oczami i odparł: „Nie bądź głupim młodym cynikiem”. Wściekłość Abela wzbudził pracownik, który odpowiedział: „Cynizm młodych ludzi jest nam potrzebny, to coś zdrowego. Przestań deprecjonować ludzkie wysiłki, nazywając je głupimi, na miłość boską!”. Później Abel martwił się tą rozmową, ponieważ miejsce pracy przestało być tym, czym było podczas całej jego kariery. O sprawę sądową było nietrudno i dział kadr miał pełne ręce roboty, choć trzeba przyznać, nie tyle, ile w innych firmach. Abel cieszył się szacunkiem. Nawet go kochano. (Jego wieloletnia sekretarka kochała go szczerze).

Rzecz jednak w tym, że chęć przepraszenia nie znikła i mocno mu ciążyła.

– Ożeniłem się z kobietą z wyższej klasy społecznej – powiedział Abel i z jakiegoś powodu zachciało mu się chichotać. – O, tak. Wydawała mi się cudowna jak choinka. Nie twierdzą, że wyglądała jak drzewo, ale symbolizowała wszystko...

– Gotowe, gotowe. – Linck McKenzie wrócił i wyciągnął rękę.

– Dziękuję – powiedział Abel. Ujrzał Lincka McKenziego w drzwiach, usłyszał, jak mówi:

– Wiesz, dobry z ciebie człowiek.

Obrzeża pola widzenia Abła pociemniały, w klatce piersiowej rozlał się ból; pomyślał, że ześlizguje się z krzesła. Usłyszał, jak Linck mówi do słuchawki: „Szybko”, co przypomniało Ablowi wcześniejszą wypowiedź: „Proszę się pospieszyć”, ale nie mógł jej umiejscowić, następnie pojawiło się mnóstwo odgłosów, otwierały się drzwi, zobaczył pomarańczowe nosze i zrozumiał, że go na nich położą.

Postawna kobieta w uniformie, tak muskularna, że wziął ją za mężczyznę, z krótko obciętych włosami – kiedyś nazwanoby ją „lesba”, przemknęła Ablowi przez głowę – zdecydowanym ruchem położyła go na pomarańczowych noszach i spytała, czy Abel wie, jak się nazywa. Musiał odpowiedzieć, ponieważ zaczęła z nim rozmawiać.

– Niech pan zostanie ze mną, panie Blaine.

– Przepraszam – mówił mu na ucho Linck, a może mówił to Abel. Chciał powiedzieć „podatki”. Nie wiedział, czy wymówił to słowo, ale chciał powiedzieć tej cudownej kobiecie, silnej jak mężczyzna, że podatki były po coś takiego jak ona.

– Panie Blaine, mam kucyka pańskiej wnuczki. Wie pan, jak nazywa się kucyk pana wnuczki? – pytała olbrzymka.

Abel musiał odpowiedzieć właściwie, bo kobieta odparła:

– Proszę trzymać Śnieżkę. Odwieziemy pana do szpitala. Rozumie pan, co mówię? – Poczł, jak wkładają mu w dłoń twardy plastik.

Kiedy zamykali drzwi karetki, zobaczył twarz Lincka, który chyba coś mówił.

Abel potrząsnął głową. Wydawało się mu, że potrząsnął głową, nie był pewien, ale chciał powiedzieć Linckowi McKenziemu – tak absurdalne, że aż wyzwajające – że cudownie się bawił, co musiało brzmieć zabawnie, ale takie nie było. Poczł w żyłach chłodny płyn, więc pewnie założyli mu kroplówkę i podali lek, nie znajdował słów, żeby spytać. Potem, gdy karetka ruszyła szybciej, Abel nie czuł lęku, ale dziwną niewysłowioną radość, ulgę, że sprawy w końcu i nieodwracalnie wydostały się spod jego kontroli. Była też jednak jeszcze smuga czegoś innego, jakby tuż za jego zasięgiem migotało światło, jak w oknie na Gwiazdkę; dziwiło to Abła i sprawiało mu przyjemność, i w tym stanie znużonej ekstazy to prawie do niego dotarło. Głos Lincka McKenziego: „Dobry z ciebie człowiek”. Abel uśmiechnął się,

choć czuł, jakby pierś przygniatały mu kamienie.

– Panie Blaine, niech pan się trzyma – rozległ się spokojny głos tej muskularnej kobiety. Abel pomyślał, że jego uśmiech wzięła może za grymas bólu, ale jakież to miało znaczenie. Teraz oddalał się bardzo szybko i łatwo, zostawiał ich, leciał – jak szybko mknął! – nad polami zielonej soi, a towarzyszyło mu najcudowniejsze zrozumienie: miał przyjaciela. Gdyby mógł, powiedziałby to, ale nie było potrzeby. Podobnie jak jego sładka Sophia kochała Śnieżkę, Abel miał przyjaciela. Skoro taki dar mógł do niego trafić w takiej chwili, to znaczyło, że wszystko – droga dziewczyna z Rockford wystrojona na spotkanie biegła nad rzeką Rock – otworzył oczy i tak, teraz to rozumiał, pojął tę mądrość: wszystko jest możliwe.

---

[\*] Zaproponowany przez George’a Berkeleya eksperyment myślowy polega na pytaniu: Jeżeli w lesie przewraca się drzewo, ale nie ma nikogo, kto by to usłyszał, czy takie drzewo wydaje odgłos?

# PODZIĘKOWANIA

Autorka pragnie podziękować następującym osobom za pomoc w pracy nad tą książką:

Jimowi Tierneyowi, Kathy Chamberlain, Susan Kamil, Beverly Gologorsky, Molly Friedrich, Lucy Carson, Frankowi Connorsowi (wspaniałemu opowiadaczowi historii) oraz niezrównanemu Benjaminowi Dreyerowi.

## O AUTORCE

Elizabeth Strout jest autorką następujących książek: uhonorowanej Nagrodą Pulitzera *Olive Kitteridge*, *Bracia Burgess* i *Mam na imię Lucy*, zajmującej pierwsze miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa”. Wkrótce nakładem wydawnictwa ukażą się kolejne powieści: *Trwaj przy mnie* i *Amy i Isabelle* – ta ostatnia wyróżniona Nagrodą Arta Seidenbauma przyznawaną przez „Los Angeles Times” i Nagrodą Heartland przyznawaną przez „Chicago Tribune”. Elizabeth Strout była finalistką Nagrody PEN/Faulkner i Nagrody Orange w Anglii. Jej opowiadania ukazywały się w licznych czasopismach, takich jak „The New Yorker” i „O: The Oprah Magazine”. Mieszka w Nowym Jorku.

# To, co możliwe

## Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

ZNAK

WIATRAKI

PEKNIĘCIE

TEORIA ŁUP W KCIUK

MISSISIPI MARY

SIOSTRA

PENSJONAT DOTTIE

ŚNIEŻNA ŚLEPOTA

DAR

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału  
ANYTHING IS POSSIBLE

Projekt okładki  
*Krzysztof Rychter*

Zdjęcia na okładce *Joanna McCarthy*/Getty Images (górne)

*Johner Images*/Getty Images (dolne)

Redakcja  
*Justyna Wodzislawska*

Korekta  
*Jadwiga Piller*  
*Halina Stykowska*

Copyright © 2017 by Elizabeth Strout

This translation published by arrangement with Random House, a division of  
Penguin Random House LLC

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Paweł Lipszyc, 2017

Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2017



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53

**02-953 Warszawa**

[www.wielkalitera.pl](http://www.wielkalitera.pl)

Odwiedź  
nas na 

ISBN 978-83-8032-191-5





Plik ePub przygotowała firma eLib.pl al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)